

# NOWA POLSKA

24. XII. 1943



KAROL ESTREICHER

## GWIAZDA MISTRZA EZENEKIERA

— Żeby zamąż wyszła dziewczyna miałaby walkę klas w domu i więcej uśmiechu — powiedziała matka.

Matka była taka, że lubiła wszystkich bronić. I teraz broniła naszej kuzynki Basi Januszewskiej, która była ciągle rozdrażniona, ponieważ była socjalistką. Od niej to razem z Ewą nauczyliśmy się „walki klas” i stosowaliśmy to określenie do wszelkich naszych spraw, zwłaszcza odkąd zauważyliśmy, że drażni to ciotki.

— Zamąż? Cóż ty też mówisz moja droga. A niechże Bóg strzeże, ona przecież na bombach sypia — dosadnie określiła ciotka, ale która to zamilczę.

— Stanowczo powinna wyjść zamaż. Jej także coś należy się od życia.

— Więcej na tym życie uciერი, moja kochana, więcej, ja swoje wiem. Kiedy ja szłam zamaż...

Kiedy ciotka zaczynała opowiadać jak szła zamaż wycofywałem się, cierpliwości matki zostawiając wysłuchanie tej historii. Mama trafnie oceniała co komu należy. Basia istotnie niedługo wyszła zamaż w Lubelskie i pisywała do nas listy. Gdy po wielu latach w pamiętnym wrześniu 1939 wśród paniki przewalającej się przez Polskę zgłosiłem się u niej w Zamościu, zastałem ją spokojną i twardą, przejmującą od jakichś rozbitków broń i kasę pułkową i przygotowującą, jak w czasach swej młodości, tajną robotę.

— Znowu nadszedł czas — powiedziała siwa i pełna godności Barbara — znowu nadszedł czas konspiracji — a mówiła to tak uroczyстым tonem, jak gospodarz który przystępuje do żniw.

Oddałem jej listy do rodziny, prosząc o przekazanie dalej. Mało mieliśmy czasu i ochoty na wspomnienia. Żegnając się ze mną, Barbara jakby wśród natłoku wspomnień o domu mych rodziców wybrała jedno tylko, lecz za to błyszczące świetnością.

— Pamiętasz, pamiętasz przedstawienie szopki u was w domu, bodaj ostatnie przed wojną, przed tamtą wojną oczywiście?

A jakże pamiętałem tę szopkę i nigdy jej nie zapomnę. To właśnie Basia sprawiła mamie tyle kłopotu, bo treść szopki zaczęła wyklądać jako „walkę klas”, co wzburzyło opinię konserwatywniej usposobionych członkiń rodziny. Nie wszystkie dysputy na ten temat pamiętam, ale sławne to musiały być boje skoro nie zamarła o nich tak prędko pamięć w rodzinie.

Przedstawienie szopki w naszym domu należało do programu świąt, tak jak we wszystkich krakowskich rodzinach. Przy jej urządzaniu zasługa matki była nieporównanie większa niż ojca, który przyjrząwszy się grze marionetek przez chwilę, zniknął zazwyczaj jakby go przedstawienie nudziło.

Mama była za to niezastąpiona. Trzeba było zaprosić rozmaite dzieci z matkami lub z bonami, babcią namówić aby koniecznie przyszła i ciotki. Trzeba było wszystkich pousadzać w salonie, tak żeby siedzieli w pierwszym rzędzie, co matka bardzo dowcipnie rozwiązała ustawiając fotele i krzesła w półkole. Drzewko wisiało u sufitu zwyczajem krakowskim.

Krakowskim zwyczajem! Mógłbym tomy napisać o obyczajach, które celebrowano w moim mieście rodzinnym na Rynku, na Uniwersytecie, w kościołach, w teatrze, podczas zabaw lub obchodów, i gdzie jeśli ktoś zwyczajów nie znał źle się czuł i za złe mu to brano. Instytucjami Kraków stał i obyczajem.

Ale aby to opisać trzeba by pióra ks. Kitowicza.

Krakowskim zwyczajem wisiało więc drzewko u sufitu, co Wyspiański w scenie Konradowej wizji utrwalił. Rzecz wcale nie błaha i wyjaśnienia się domagająca, jeśli nie uczonej dyskusji nawet. Pewien teoretyk literatury komentując „Plastykę sceny a wizyjność słowa u Wyspiańskiego” dowodził na przykładzie zawieszenia drzewka u sufitu jak rewolucyjnym był duch poety.

Oto co pisał w swym studium: „Umieszczenie drzewka u sufitu w scenie wizji Konrada, to zupełna rejekcja heterogenicznej tradycji, to wyzbycie się przez poetę pleśni obyczajów. Bo temu geniuszowi szło o coś więcej niż o przedstawienie życia. Drzewko w tej scenie buja, buja u pułapu nie w sensie rzeczywistości materialnej — ale celem wprowadzenia nowego rytmu falowań scenicznych, wnikliwych, rzutuujących w ekstazę pragnienia”.

Buja, buja, u pułapu — ale niestety nie bez sensu. Już od rana łąziłem po salonie z głową wykręconą do góry, z otwartymi ustami czekając czy może z drzewka co nie spadnie. Cały dzień wyglądałem wieczornej pory, bo wtedy było drzewko spuszczone po sznurze, którego koniec okręcono mocno o nogę komody.

Miało krakowskie drzewko wielorakie pedagogiczne znaczenie i wpływ. Przez cały okres świąt jak najgrzeczniej zachowywałem się z siostrami, bo inaczej gotowe drzewko wieczorem nie zjechać na dół, szybko pojąłem że w okresie Bożego Narodzenia przybywać zaczyna dnia bo coraz później mrok nastawał, że im więcej marzy się o czymś tym większe przychodzi pragnienie, że siostry dlatego są dziewczętami ponieważ im podobają się lalki a mnie żołnierze na drzewku.

Tak było. Wypiański poszedł za krakowską tradycją, która drzewko Bożego Narodzenia u sufitu na haku od lampy wieszac kazała. Gdy do pokoju wchodzili kolędnicy-szopkarze, choinka nie zabierała miejsca i nie zasłaniała widoku.

Matka umawiała się z szopkarzami o przedstawienie, a raczej ściśle mówiąc z ich przedstawicielem. Był nim Michał Ezenekier murarz i kaflarz krakowski, bo trudnił się po trosze oboma zawodami i w obu był prawdziwym mistrzem. Ezenekier, człowiek ubogi ale obywatel szanowany na Krowodrzy, gdzie miał domek z ogródkiem, od święta chodził w czamarze z koralową spinką. Czyszcząc lub przestawiając piec u mamy i babki zawsze gadał do kafli jakby do żywych ludzi:

— Jakeś zychoniówka to włącz tutaj. Widzisz żem poznał, żeś zychoniówka bo masz rond pasowany. Tylko stary Żychoń tak wypalał. Ze Spółki Kaflarskiej są sztabowane to i pękają, wiadomo, jak maszynówki.

Albo mrucał głębokim basem:

— Dobry piec, czysta palonka, wrocławskie kafle z polewą.

Jedyna podróż jaką w życiu odbył to była podróż do Warszawy, skąd przywiózł jako prawdziwy krakowianin same ujemne wrażenia. Nie podobały mu się tam piece i w ogóle murarska robota. Opowiadał o tym chętnie, tonem pełnym wyższości.

— Do Warszawy, panie dobrodzieju, wyjechalimy w szczęściu stawiać piece krakowskie kaflowe i pasowane. Robili my także sztukaterską robotę. Oni tam na kozacki sposób ceglane piece budują, bez naleźnego szycia a z fugami jakby do przedmuchu. W ogóle, panie dobrodzieju, murarka u nich licha. Sztucznego kamienia nie znają.

Jak wszyscy prawdziwi krakowianie i Ezenekier nie był konsekwentny w swojej warszawskiej niechęci. Kiedy usłyszał, że ktoś wyjeżdża do Warszawy radził aby tam kupić sobie parę bucików.

— Nie ma jak warszawskie buty. Kiedy na robocie przy pałacu Kronenberga zarobiłem, tom se buty kupił co je piętnaście lat nosiłem.

Tadeusz Stryjeński, architekt krakowski, był jego wyrocznią. „Radca Stryjeński mówił” — „z radca Stryjeńskim my pojechali” — „obliczył radca Stryjeński, a ja się zaraz do murarki brał” — powtarzał często. Prócz tego lubiał wspominać odnowienia Sukiennic przez Prylińskiego i malowanie kościoła Mariackiego przez Matejkę.

Zapamiętałem dobrze jego historię:

— „Pan Matejko na rusztowaniu leżał, a denerwował się! Majstrem już wtedy byłem, moje chłopaki usługiwały mu. Krzy-



czał pan Matejko, a wszystko dlatego, że się na grontowaniu nie znał. Mówiłem mu jak przy sklepieniu robił: więcej mlika, więcej mlika do grontu, bo będzie lazur pryskać. Powiadałem mu tak: zwiąże się mocniej farba ino bez to mliko. Nie słuchał i dennerwował się. Tak ja do pana Stryjeńskiego, pan Stryjeński na Komitet — uchwalili wiedźczyka pytać. Doradził im chytry Niemiec szwedzkiego kleju rybiego. Sprowadzili tego kleju rybiego, kosztowało ich tyle, żeby za te pieniądze wszystkie krowy w Polsce wydoili, nagotowali tego kleju, cuchło na cały kościół, a ja swoje lepiej wiedział, bom znał strych nad nawą jak lampy na sklepieniu zaczepione. Tam pod kołowrotem od ołtarza Mariackiego przechodzi wentylacja. Musi tam być cyrkulacja powietrza bo się sklepienie poci na wiosnę. Przecie krakowscy murarze stawiali, to wiedzą jak mają budować na krakowską pogodę. Ale mnie nie wierzyli. I co z tego wyszło? Od wentylacji sklepienie chodzi a lazur pana Matejki się pryska. Dopiero dwadzieścia lat jak pomalował a już ludziom podczas nabożeństwa gwiazdy na głowę lecą, kiedy wielki organ zagra. Wszystko dlatego, że mnie nie słuchali a ja swoje wiedział od mojego majstra”.

Te monologi Ezenekiera, których słuchałem z ciekawością, podkreślane były zdecydowanymi gestami jego obnażonej i żyłastej ręki. Zanurzał ją w kubie z świeżą gliną, ważył wydobytą ilość żeby się usiadła, a potem z siłą i z wprawą, wzięwszy odpowiedni zamach ciskał glinę tam gdzie wewnątrz pieca tego wymagało. Wszystko co było cegłą, kamieniem, wapnem, gliną sprawiało mu widoczną przyjemność materialnego dotknięcia. I szopka też. I wódka naturalnie. Ale nigdy nie pił podczas roboty.

Tego roku przyszedł do nas jak zwykle, zaraz po Bożym Narodzeniu. Tradycją domu było że przedstawienie szopki odbywało się u nas w pierwszą niedzielę po Trzech Królach.

Zaszedł od tyłu do kuchni, gdzie sobie siedział cierpliwie czekając, aż matka wróci z miasta. Nie spieszyło mu się. Dostał obiad a teraz próbował nawiązać rozmowę z Walentyną. Ale ta była na niego obrażona.

— Bez tego Józka proszę pani dobrodziejki, ona na mnie zła taka. A ja nie winien, bo u mnie nie był w terminie. Mówię do niej, pytam jak piec grzeje, czy nie wylepić koło szabaśnika a ba-ba burczy ino.

— No już dobrze, dobrze, przerwała matka, a cóż ze szopką będzie? W pierwszą niedzielę po Trzech Królach?

— Przyjdę, jak się należy z całą kompaniją. Awantury z Józkiem nie będzie, bom go rezonu nauczył.

Awantura z Józkiem to było istotnie zajście, które muszę opowiedzieć, lecz może trochę później, bo długa to i skomplikowana historia a mniej ważna od tych obrzędów które następowały z chwilą gdy umowa między matką a Ezenekierem stanęła i od tych wypadków które, jakby dla podkreślenia wagi przedstawienia działy się w dniu, gdy szopka była u nas grana.

W niedzielę o piątej po południu, śnieg sypał wielkimi płatkami i ujrzałem w świetle latarni jak okryta ceratą zajeżdża na sankach szopka. Za chwilę wniesiono ją do jadalni, gdzie wstęp był dzieciom dozwolony i ustawiono na dwóch krzesłach.

Równocześnie zaczęli się schodzić goście. Ojca nie było, miał przyjść później. Mama witała się ze wszystkimi. Dzieciom dała po szklance pysznego ponczu, w którym twierdziła Krysia że było nawet trochę wina. Zaraz każde dziecko w salonie siadło koło swego opiekuna. Krysia i Ewa musiały wszystkich częstować z koszyczków w których były pierniczki i czekolada. Miały nowe sukienki, a Krysi zaplotła matka warkocze.

Poznałem po pełnym szacunku witaniu się mamy że to przyszła babcia. Więc czym prędzej wybiegłem do przedpokoju bo babkę naprawdę kochałem i ona mnie również. Wszak była to jedyna osoba, u której mi było wolno robić wszystko, majstrować, psuć, ruszać, nudzić i hałasować, najeść się do syta słodyczami. Gdy raz wyciąłem z dywanu kwiatek babka wcale się nie gniewała tylko posłała dywan do naprawy w tajemnicy przed ciotkami.

Wiedziałem, że teraz kiedy przyszła, niedługo zacznie się przedstawienie i umieściłem się obok jej kolan. Miejsce moje było najlepsze, obmyśliłem je sobie chytrze i wiedziałem że nikt mnie nie będzie mógł ruszyć ze względu na powagę babki. Na wprost mnie widniały zamknięte drzwi do jadalni.

Nagle światło w pokoju zgasło, zapanowała cisza a równocześnie w drzwiach do jadalni rosła szpara przed nami. Powoli rozchyliła matka drzwi ku sobie aż wreszcie stanęła z rozkrzyżowanymi rękami w aureoli szopki. Potem cicho przeszła na widownię i siadła na krzesło koło wyjścia na korytarz.

Ukazała się szopka w całej krasie. Budynek to był który wysokością wypełniał ramy drzwi. Jej kolory rzucały się najpierw w oczy, potem dopiero kształt. Najpierw biły od niej barwy, potem dopiero architektura budynku zdumiewała: czerwień, zieleń, fioletry, niebieskie i żółte tony, czerń i minia, brzozy, srebro i złoto składały się na tę orgię barw jak ogień żywą i jak ogień przyciągającą.

Dwie wieże wznosiły się na przedzie, mariackie wieże oczywiście, tylko bogatsze w ornamenty uwieńczone u hełmów strzelistymi koronami. Pośrodku między nimi wielka kopuła złota, jak przystało być każdej kopule od Zygmuntofskich czasów.

Wszystkie baśnie Wschodu tu znajdowały swe urzeczywistnienie. Tak wyglądały pałace wielkich Szachów i Wezyrów, nieskończone bogactwa Sezamu, tak królestwa podmorskie i zaczarowane krainy Indii.

Shopka w dziecinną pamięć wbijała się silniej niż jakiegokolwiek dzieło sztuki, bo odpowiadała wewnętrznym naszym marzeniom.

Nad sceną teatrzyku pod kopułą kręciła się świetlicie gwiazda, powoli i z namysłem dając znać, że aktorzy-lalki przygotowu-

ją się do odegrania wielkiego dramatu. Przed pąsową kurtyną występ sceny, obrzeżony ząbkowaną rampą był miejscem gdzie tylko niektóre marionetki występowały, te które szczególnie spofalane były z publicznością.

Potem wśród włóczęgi po świecie widziałem wiele wspaniałych teatrów i świetnych przedstawień. Widziałem sale wielkich oper kapiące od złota i purpury. Widziałem balety w których jak kwiaty skupiały się i rozbiegały w takt muzyki najpiękniejszej tanecznic Ameryki. Widziałem starożytny teatr, ów w Syrakuzach, gdy grano na nim tragedię grecką, wśród najpiękniejszej dekoracji sycylijskiego nieba — widziałem olbrzymie pochody, imprezy i uroczystości lecz nigdy, o! napewno nigdy, nie ujrzę tak świetnego teatru i tak świetnego widowiska jakim była szopka mistrza Ezenekiera.

Przytulony do kolan babki, ssąc kwaśny cukierek wpijałem wzrok w budynek-zjawę przede mną. Tak czyniły wszystkie dzieci. W salonie panowała absolutna cisza, jaka tylko w oczekiwaniu zdarzeń wielkich i nadprzyrodzonych panuje.

Gwiazda nabierała rozpędu i gubiła powoli swe ramiona, zamieniając się w tęczowe koło.

Zza szopki dochodziły niepokojące szepty:

— Gdzież się skurczybyku z łapami pchasz? Spodnicęś królowej oberwał. Jak wystąpi?

— Cicho tam bądźcie, — dobiegał głos reżysera, zaczynajcie kolędę.

Uderzyła harmonia, bas, skrzypce i sześć męskich głosów:

— Wiwat Jezus i Maryja  
Śliczna w niebie kompanija!  
Przyślimy tu po kolendzie  
Niech Państwu przykro nie będzie  
A czy będzie czy nie będzie  
Kolendować zwyczaj wszędzie.  
A ino!

Śpiew ucichł, kurtyna szła w górę. Na scenie laleczki pastuchów podrygiwały budzone przez Anioła. Wielka nowina została im oznajmiona. Bartek i Szymek biorą co się da, cielę, capa lub barana i postanawiają złożyć hołd Panu. Tylko Żyd nie chce uwierzyć. Bartek zaczynał go turbować i Żyd podnosił wrzask:

— Żydzie, żydzie, zara cie nauczę  
Jak cie z przodu, jak cie z tyłu tą palicą zmlóćę.

— Aj waj gwałt, aj waj gwałt, abo to tu rozbój  
Co wyrabiasz, głupi chłopie, Pana Boga się bój!

— Antysemityzm — usłyszałem jak Basia dosyć głośno syknęła, ale mało mnie to obchodziło bo na scenę wszedł gruby Policaj, który przywrócił natychmiast porządek, kładąc areszt na Bartku.

— Co tu robisz przy szopie, jakies konfuzyje,  
obudzisz paniąteczko, więc cię haresztuję.

Każda scena z żydem wywoływała wybuchy śmiechu gromadki dzieci. Wszystkie ludowe postaci szopki były zresztą komiczne i ze wszystkimi byliśmy dobrze obznajmieni.

Pan Twardowski w kontuszu przy karabeli śpiewał:

— Czy to w dzień czy to w noc  
Zawsze wesół, zawsze pjan.  
Zawsze wesół, zawsze hoc,  
Jezdem sobie wielgi Pan!

Choć w żupanie, znaj mospanie  
Ześ mi winien oddać cześć,  
Taka mina i czupryna  
Nie da sobie na wąż wsięść!

Przyjdą djabli, ja do szabli —  
Czapka na bok, poły w pas —  
Gdy się zbliżą, chlast dwa krzyże,  
Gdzieście djabli? Nima was!

Znowu Basia siedząca obok panny Szymańskiej, nie mogła się jakoś powstrzymać, aby nie powiedzieć głośno:

— Typowy obszarnik szlachecki...

Babcia ani drgnęła, ale ciotka Helena, która pochodziła ze znakomitego choć zubożałego rodu ziemiańskiego poruszyła się gwałtownie.

Tymczasem na scenę wpadli krakowiaczy i to zajęło mą uwagę. Z brzękiem, z wdziękiem, z chrzęstem swych pasów nabijanych kółeczkami i sprzączkami, pełni animuszu i życia weselnicy krakowscy tańczyli w takt muzyki. Po nich smętna wydała się dumka kozacka. Ożywiała się widownia wskutek sporu dwóch legionistów, sapersza z ułanem kłócących się która broń lepsza.

— To nie saper, który,  
Ale ułan dobywał w Hiszpanii góry...

I wreszcie nadchodziło sentymentalne zakończenie aktu, gdy dwóch górali prosi piękną góralkę, aby jednego z nich wybrała.

— Ani tego, ani tego,  
Nie chce pojąć se żadnego  
Boście nic nie warci oba,  
Żaden mi się nie podoba.

I wówczas odpowiedział jej jeden z górali:

— Ano pójdzmy bracie co się będziemy prosić  
Weźmiemy se kosy, na wanderkę kosić!

— Nędza naszego chłopca — głośno odezwała się Basia ale zgłuszyła ją wrzawa dzieci i oklaski, które posypały się na widok spadającej kurtyny.

Teraz następowała przerwa, w czasie której mama każdemu dziecku podała lody śmietankowe na talerzyku oraz rurkę chrupiącą. Trzeba było zjeść i ostudzić się w oczekiwaniu drugiego i ostatniego aktu dramatu.

Pytany co działo się na widowni, które dzieci ze znajomych domów były a które nie — nie potrafię po tylu latach odpowiedzieć. Ale sądzę, że nawet następnego dnia nie potrafiłbym dać odpowiedzi. Wiem, że była Renia Wróblewska córka kolegi ojca, bo pamiętam że dała mi swoje pierniczki i lody. Renia była śliczną blondyneczką dla której czułem szczególny afekt, co zaraz siostry moje zauważyły i bezlitośnie się ze mnie wyśmiewały. Musiałem z Renią uciekać od nich lub trawiłem czas na jałowych rozmyślaniach jakby zemścić się na siostrach, szczególnie na Krysi, której ostry język zwalczyć było trudno.

Nie pamiętam co działo się podczas przerwy, nie pamiętam, bo wiedziałem, że teraz nastąpi na scenie straszliwa zbrodnia i tragedia.

Znałem tekst szopki na pamięć, wiedziałem że króla Heroda odegra stary Ezenekier, a jednak już na samą myśl o tym co nastąpi strach mnie zbierał.

Kłęcząc obok kolan babki oparłem się o nie mocno i czekałem aż podniesie się kurtyna.

W świetnej sali na tronie pod baldachimem siedzi Herod, okrutny pan świata, w koronie i z berłem w ręku. Tyran którego wszyscy się boją, sam jednak jest przelękniony.

Oto mówi:

— Świetna złota ma korona,  
Tron broni tysiące mieczy,  
We mnie wszelka jest obrona,  
We mnie szukają pieczy  
Wszystkie somsiednie narody.  
Zowią mnie żem królem świata  
Ale nie wiem co się dzieje  
Ze się tron pode mną chwieje?

— Ruchy proletariatu! — usłyszałem nagle głos Basi.

Prawda że Basia jest, że nawet coś żywo klóciła się podczas przerwy z ciotką Helena. Ale nie miałem się czasu zastanowić nad teoriami mej kuzynki, bo oto trzej Królowie złożywszy hołd Herodowi zawiadomili go, że przyszedł Pan świata urodził się w stajence. Wówczas Herod wydał straszny rozkaz zabicia wszystkich dzieci, nawet własnego syna. I z tym rozkazem wychodzi Hetman:

— Pamiętny będzie dzień dzisiejszy wiecznie  
Na próżno będą matki lzy wyliwać  
Twoje rozkazy będziem wykonywać  
Chociaż od jęków zadrzą wszystkie mury  
I ziemia z swojej natury.

— Klasy posiadające zawsze wysługują się tyranom... — cicho tłumaczyła Basia naszej nauczycielce.

Na próżno krwawego monarchę błagała o wolność królowa, już nie dla siebie, nie dla syna — lecz dla narodu.

— Pogardzam takowym stanem.  
Wolność dla mnie dziś żywiołem  
A nie dla narodu mego!

— Kapitalizm obawia się wolności ludu — dowodziła Basia.

Napięcie dramatyczne dochodziło szczytu gdy po przekleństwie królowej zjawiła się śmierć. Kościotrup z kosą w ręku, bezlitosny, zimny, przerażający, jednym wprawnym ruchem ścinał głowę Herodowi. Tułów bez głowy rzucał się po scenie, gdy śmierć oznajmiała krótko:

— Bez rozkaz boski  
Łeb ścięty królewski.

— Rewolucja ludowa — rzuciła Basia, której objaśnienia zaczęły niecierpliwie nawet babcię, bo się obejrzała.

Wszystkie dzieci rozgorączkowane i przestraszone tuliły się do swoich opiekunów. Siostry moje objęły się za szyję i bały się widocznie, chociaż mnie tłumaczyły żebym ze strachu nie wrzeszczał tak jak przeszłego roku.

Nagle na scenę wpadał diabeł czerwony z ogonem, z niemiec-ka ubrany, z widłami w ręku:

— Królu Herodzie za twe zbytki  
Chodź do piekła, boś ty brzydki,

i nabijając na widły kadłub królewski porwał go do piekła.

To był szczytowy punkt tragedii!

Zapadała się posadzka w sali tronowej, ogień różnokolorowy z płomieniami buchał z pod ziemi, płonął czas krótki i wśród



ognia i grzmotów zniknął diabeł wraz z ciałem potępionego monarchy.

I w tym momencie gdy przerażenie widzów dosięgło szczytu, gdy nawet któreś z dzieci pierwszy raz oglądające scenę zaczęło płakać ze strachu, wesoło, z humorem wskakiwał na scenę Żyd. Zakasał sobie chałat tak, że widać mu było nogi w białych ponczochach. Śpiewał:

— Teraz żyd będzie tańczył  
Bo diabeł króla pochował  
Aj waj, aj waj, bim!  
I zatańczy hebrajskiego  
Krakowiaczka żydowskiego  
Aj waj, bim, bim!



— Oto radość najbardziej uciśnionych klas — objaśniała niewyczerpana Basia.

Lecz nie tylko ona. Od jakiegoś czasu zauważyłem że w salonie panuje niepokój. Uczułem także zapach tytoniu. Kiedy obejrzałem się dojrzałem że w drzwiach wiodących do pracowni ojca stoją jacyś panowie i żywo ze sobą rozmawiają. Widocznie ojciec przyprowadził ze sobą gości.

— Kapitalne, doprawdy kapitalne, cóż za talenty aktorskie — mówił jeden — uczyć się od nich gry i swobody głosu.

Uwagę moją skupiły znowu laleczki w szopce.

Teraz rozgrywały się na scenie szopki znane wesołe dialogi: Czarownica i diabeł, żaczek krakowski który na wszystkie pytania umie zręcznie odpowiedzieć, a wreszcie największa radość dzieciarni dziadek z torbą na patyku:

— Prosi dziadek prosi,  
Torbę z dzwonkiem nosi.  
Prosi dziadek na rany  
Bo mu się trzęsa gałgany!  
Na ogolenie bródki  
Na pół kwaterek wódki!  
Kto włoży, człowiek boży  
A kto nie włoży  
Ten pójdzie do kozy!

Każde z nas miało przygotowane parę groszy, które niosło pod szopkę i wtykało do torby dziadka trzymanej na długim drążku. Była to przyjemność, jeszcze większa niż składanie pieniędzy na tackę w kościele. Dziadek podskakiwał, potrząsał torbą i wcale nie spieszył się zejść ze sceny.

Jeden z tych panów, którzy przyszli z ojcem podszedł do mnie i wtykając mi zwinięty banknot kazał wrzucić do torby dziadka. Ów Pan nie nosił wąsów, ogolony do gładka był bardzo chudy i miał dziwną, ruchliwą twarz, podobną do małpy.

— Daj to dziadkowi do torby, żeby nam jeszcze raz powtórzył swój występ.

Dziadek ucieszył się, zaczął tańczyć, skakać, raz jeszcze powtórzył swe piosenki. Powstał ogólny śmiech.

— Oto śmiech z nędzy proletariatu — głośno odezwała się Basia.

Tym razem reakcja cioci Heleny była ostra i bezwzględna.

— Cóż ty moja kochana, wiesz tu przychodzisz urządzać?

Na szczęście wszystko zagłuszył śpiew końcowy. Zapadła kurtyna, światło w salonie zajaśniało i usłyszeliśmy kolendę:

— Coraz to dalej szopa się wali,  
Józef nieborak kijem podpira,  
Wiatr zewsząd wieje, nic nie zagrzeje,  
Wicher do reszty strzechę obdzira.  
Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja,  
Wiwat święty Józef, cała kompanija!

Zrobił się ruch w pokoju. Obce dzieci natychmiast zaczęły wychodzić, a starsi przeszli do pokoju ojca.

Korzystając z zamieszania wyrwałem się i poleciałem do szopki, zajrzeć poza jej kulisy. Tam przecież byli aktorzy tego teatru i koniecznie chciałem ich zobaczyć. Interesowały mnie zawsze kulisy. Ledwo skończyło się przedstawienie znajdowałem się po drugiej stronie szopki. Tu na stole, odarte z grozy lub wdzięku którymi zdumiewały widzów, leżały lalki martwe i sztywne, ułożone równo jedna przy drugiej. Tu szopka przedstawiała się nie jako błyszczący świetnością pałac, lecz jako skomplikowane rusztowanie z drzewa, drutu, blachy, w które powstawiano światełki. Kopuła leżała obok budynku, wykręcona gwiazda miała nadpalony promień.

Lecz czaru szopka nie traciła mimo to. Przeciwnie, życie w atmosferze przedstawienia i złudy miało w sobie jakiś szczególny urok. Długo, długo nosiłem w sercu utajone marzenie, że kiedyś gdy dorosną Ezenekier weźmie mnie do swojej trupy. Marzeniem moim było zostać szopkarzem i w noc zimowe po szynkach i restauracjach lub domach przedmiejskich chodzić z szopką, turloniem, gwiazdą i śpiewać kolendy. Były to tak tajne marzenia, że nie zwierzyłem się z nich nikomu aż czynię to dopiero dzisiaj.

Trupa Ezenekiera składała się z sześciu ludzi. Sam mistrz grał na skrzypcach i był dyrektorem zespołu, przed magistratem i policją biorąc odpowiedzialność za całość imprezy. Jego głównym pomocnikiem był Antek Świdrzak który był w Ameryce, a miał tylko jedno oko, bo drugie wypłynęło mu na oceanie. Antek grał na harmonii i gwizdał ładnie, której to sztuki nauczył się od Indian amerykańskich jak powiadał. Jego brat przyrodni Walek Lis jękał się więc grał tylko na basie, ale i tu się zaczął jak na niego przyszło. Podczas przedstawienia był inspicjentem. Podawał lalki dwom braciom Łabuniewskim, którzy byli mistrzami w ruszaniu kukiełek na scenie.

Bracia Łabuniewscy znani byli w szerokich sferach Krakowa jako właściciele firmy murarskiej na Dębniakach za Wisłą. Zdolni to byli ludzie. Starszy Łabuniewski, Feliks obdarzony był pięknym basem, który mu się jednak zanieczyścił trochę wskutek przymusowego pobytu przez cztery lata u św. Michała, gdzie nie mógł płukać gardła należycie. Młodszy Łabuniewski, Staszek, przez ten czas prowadził przedsiębiorstwo brata i czasowo, dla dobra interesu, ożenił się ze szwagierką o co były między braćmi srogie awantury, które musiał swą powagą rozsądzać Ezenekier. Opowiadał to raz Walentynie ze wszelkimi szczegółami, ale nie-stety zapomniałem ich.

Wreszcie ostatnim członkiem zespołu bywał młody chłopak z klarownym głosem. W przeszłym roku był nim Józek, wyrostek kilkunastoletni, w tym roku przyprowadził Ezenekier innego. Ten był rudy i zaspiany, pociągał nosem, ale miał głos piękny, tak że mógł grać i śpiewać wszystkie kobiece partie w szopce. Józek który przeszłego roku występował śpiewał ładniej i delikatniej. Ale Ezenekier był bardzo zły na niego.

— Co się z nim stało? — spytałem Felka Łabuniewskiego.

— Dostał po mordzie od starego, żeby kawałów nie robił — odpowiedział groźnie pierwszy bas zespołu.

Awantura z Józkiem tak ściśle złączyła się w mej pamięci z szopką i szkopkowaniem, że nie mogę pominąć jej w tym wspomnieniu.

Kiedy szopkarze mieli przyjść do nas mama opróżniła przedpokój, wynosząc z niego nasze płaszcze, szaliki, kalosze, usuwając parasole i laski i nawet talerz na bilety wizytowe. Dwie szafy stojące w przedpokoju zamykała starannie na klucz. Tak samo kredens w jadalni i drzwi z jadalni do pokoju siostr.

Po skończonej szopce zapraszała mama całą trupę do kuchni, gdzie przygotowała zakąskę. Otóż poprzedniego roku po odejściu szopkarzy Walentyna stwierdziła, że srebrna chochła, którą schowała do szuflady, w niewytłumaczony sposób zniknęła z kuchni. Mimo poszukiwań w całym domu nie mogliśmy jej znaleźć. Wówczas mama wiedziona trafnym przecuciem postanowiła poradzić się Ezenekiera. Rano posłała po niego, a on przyszedł natychmiast. Przy rozmowie nie byłem. Odbyla się ona w cztery oczy, w najuprzejmiejszej formie bo Ezenekier wyszedł zmartwiony bardzo, ale zapewniając matkę o swoim szacunku dla całego domu. Po południu przyszedł, coś z matką pogadał i już wieczór rozdzielała mama zupę chochłą, twierdząc że chochła zginęła przez pomyłkę.

Teraz Ezenekier przypomniat tę historię i częściowo wyjaśnił.

— Józek był frajer bo pierwszy rok szkopkowanie praktykował. Zawodu nie znał, to nie wiedział co i gdzie można, ale już się ode mnie nauczył.

Z Józka wyrósł zresztą bardzo porządny człowiek i z czasem doszedł do przyzwoitego stanowiska tak że szopkowaniem się nie trudnił. Pamiętam że kiedy w naszej kamienicy ukradli bieliznę na strychu, przyszedł ubrany w cyklistówkę, w nieprzemakalnym płaszczu, z fajeczką w zębach i przedstawił się jako rodzimy Sherlock Holmes, który ma wyszukać sprawców kradzieży. Sprawców co prawda nie znalazł, ale z czasem zaawansował i z kryminalnej policji przeszedł do politycznej. Po pierwszej wojnie spotykałem go z teczką pod pachą. Lubił siedzieć u Michalika lub w Esplanadzie lub w Grandzie w pobliżu stolików, przy których obywatele krakowscy dyskutowali sprawy polityczne, miał bowiem dla tych dyskusji duże zainteresowanie. Wspecjalizował się także po roku 1926 w towarzystwie tym z pomiędzy naszych mężów stanu, którzy zjeżdżali z Warszawy do Krakowa radzić o sprawach publicznych. Sikorski, Rataj, Witos, Niedziałkowski cieszyli się szczególnymi względami Józka, który jako człowiek polityczny doceniał ich znaczenie. Jak dalece kochał on swój zawód to dowodem iż nie porzucił go nawet za okupacji niemieckiej i na emigrację nie ruszył, lecz nadal pracuje w Krakowie.

— Ja się go zresztą pozbył, bo on za mądry — powiedział Ezenekier. Ale inksza inszość że on na pana wyjdzie z tym swoim rozumem.

Pakowali do skrzynki lalki, ostrożnie obwijając głowy papierem, zbierali swoje przybory, szopkę nakryli ceratowym pokrowcem i ustawili pod ścianą.

Słyszałem na korytarzu ruch, świadczący że mama zegnała zaproszone dzieci z ich opiekunami. Było już zresztą późno bo przedstawienie szopki trwało do dwóch godzin. Nagle wszedł do jadalni ojciec z dwoma panami. Jednym z nich był pan Rydel, drugiego widziałem po raz pierwszy.

— Oczywiście mój syn już za kulisami. Mama cię szukała. Pożegnałeś się z babcią? — zapytał ojciec.

Przywitałem się z obu panami i dowiedziałem się że tym drugim był znakomity aktor pan Ludwik Solski, który z panem Rydlem przyszedł obejrzeć u nas szopkę. W teatrze wystawiono Betlejem Polskie i Rydel i Solski chcieli porównać oba przedstawienia.

— Panie Majstrze — zwrócił się Rydel do Ezenekiera — jakże jestem zachwycony poziomem waszego zespołu, tą wspaniałą odegraną szopką, lalkami ruszanymi tak zgrabnie i głosami tak dobrze podzielonymi, że trudno o podobną umiejętność nawet w teatrze, gdzie się widzi dopiero, że sztukę rozumie naprawdę lud, i że odrodzenie naszego życia artystycznego wyjdzie od was, od ludu polskiego, od którego musimy się wszyscy uczyć — nieprawdąż panie Ludwiku — czym jest gra szczerą a jednak pełną uczucia, czym jest intonacja, gest i ta odrobina ironii, potrzebna zarówno poecie, jak i aktorowi, co nie sądzę by gdzie indziej było do znalezienia jak tylko u polskiego ludu który bez maniery, bez egzaltacji z piosenki pieśń czyni, z rzeczywistości dramat, z tragedii pełną wydobywa grozę, wdzięk w czar zamienia, i tak unosi nas w krainę marzeń bujnych i rozkołysanych, szerokich, nieogarniętych jak nasz kraj...

Pan Rydel byłby jeszcze więcej i piękniej mówił do gromady murarzy stojących przed nim w jakimś zawstydzeniu nieprzyzwoitym, gdyby nie przerwała mu mama, która weszła do pokoju niosąc razem z Magdusią tacę pełną szynki, sera i kiełbasy, oraz flaszkę wódki.

— Panie Lucjanie i Panie Ludwiku musimy razem z naszymi aktorami napić się, bo z pewnością są spragnieni po swoim występie.

Za czym każdemu z artystów trupy Ezenekiera nalala spory kieliszek wódki i zaprosiła ich by sami częstowali się zakąską.

Jedli i pili milczący i zażenowani. Byli widocznie zmęczeni ale także i zadowoleni z dzieła. Lubili szopkować, uważali to za szlachetne zajęcie, które wymagało inteligencji, dowcipu i pamięci, ale rozprawać o tym nie umieli. Rydel każdego z nich o coś pytał, i nie czekając odpowiedzi, pełen entuzjazmu dawał ją sobie. Oni gadać o szopce i szopkowaniu nie chcieli. Jeszcze najwięcej odzywał się stary Ezenekier, ale i on chętniej usta do szklanki niż do odpowiedzi otwierał.

— Ho ho! — śmiał się Solski. — Mam w Betlejem Polskim Rydla grać właśnie dziadka z torbą, to tutaj podpatrzyłem jak trzeba to robić!

— Sztuka polska ma wielkich bezimiennych artystów — ciągnął swoje. — Piję ich zdrowie!

Jakby w odpowiedzi na ten toast, ujął Ezenekier skrzypce w rękę, Antek harmonię, a Walek przysiadł przy basie. I zamiast odpowiedzi czym jest sztuka ludu zaczęli grać skoczne krakowia-ki, podochoceni wódką i powodzeniem.

Ukryłem się w kącie za firanką. Słyszałem jak siostry poszły do swego pokoju gdzie dostały kolację. Liczyłem że może zapomni o mnie matka i że będę mógł oglądać dalsze zabawy i śpiewy.

Przyszła Basia przyjrzeć się i przysłuchać. Zjawiła się i pani Pawlikowska i Rudolf Starzewski.

Basia tłumaczyła ojcu zawzięcie teorię walki klas która się odzwierciedla w szopce krakowskiej i przedmiot swego zażartego sporu z ciotkami.

— Zapewne, zapewne — łagodnie przyznawał ojciec — wal-  
ka klas może się odzwierciedlać wszędzie.

— Tylko nigdy tam gdzie ją odnajdują socjaliści — dodał nie  
bez złośliwości Starzewski.

A tymczasem muzyka grała. Obaj Łabuniewscy poprosili pa-  
nie do tańca. Rzucił skrzypce stary Ezenekier i podkręciwszy węż-  
sa, wpół wygięty zatańczył eleganckiego sztajerka.

Potem tańczyli krakowiaka, potem znowu pili, zwłaszcza że  
gdzieś znalazło się czerwone wino, które wszystkim bardzo sma-  
kowało.

Dostałem i ja kieliszek tego napoju od Ezenekiera, który mnie  
w kącie dojrzał.

— Pij, powiadam, pij bo jak aksamit spływa. Ino w życiu to  
twoje co wypijesz!

Bawili się, gadali, śpiewali, tańcowali do późna. Różne basy  
i skrzypce, zawodziła tonami harmonia.

Nagle matka odszukała mnie i zaprowadziła do swego pokoju.  
Dała zaimprovizowaną kolację, rozebrała, umyła mnie, kazała  
mi się przeżegnać i położyła mnie do swego łóżka. Nie chciałem  
spać taki byłem ciekaw dalszego ciągu tej zabawy.

— Już nic nie będzie — powiedziała — dostali napitek, zegrali,  
zatańczyli i zaraz pójdą. Śpij.

I rzeczywiście usłyszałem niedługo śpiewy pożegnalne.

Wiwant, wiwant już idziemy,  
Za kołędę dziękujemy,  
Byście wszyscy długo żyli,  
Zdrowi i szczęśliwi byli  
Na ten Nowy Rok!

Gdy zasypiałem po dniu pełnym wrażeń widziałem przed so-  
bą szopkę rozjaśnioną światłami, a na jej przodzie kręcącą się  
majestatycznie gwiazdę mistrza Ezenekiera.



*rys. Janiny Konarskiej*

## KWIATY POLSKIE

Wierszu mój, dziwne twoje dzieje...  
 Bo pomyśl: Rio de Janeiro  
 Było twych kwiatów oranżerją,  
 A tam (— pamiętasz orchideje,  
 Flor de Ipà, Jasmin de Cabo,  
 Maracujã, Flamboyanty,  
 Sześciopiętrowe drzew giganty,  
 Kwiatami obsypane krwawo? —)  
 A tam, powiadam, mało trzeba,  
 By z ziemi, jeśli łaska nieba,  
 Trysnęło co ci się zamarzy  
 I jeszcze więcej, nad marzenia:  
 Takie tam niebo, taka ziemia.  
 I nagle — jakbym wonne żniwo  
 Garściami z miodnej łąki zgarniał —  
 Z Copacabany, z Ipanemy,  
 Z Tijuca, Botafogo, Leme,  
 Wybuchu polskich słów kwiaciarnia!  
 I grzmi po Rio de Janeiro  
 Zgiełkliwa, pstra, jak jarmark perski  
 I jak karnawał cariocański  
 A w niej ogrodnik — nie floreiro,  
 Nie jardineiro brasileiro,  
 Lecz nasz przyjaciel — pan Dziewierski...  
 O, Rio barw! O, Colorio,  
 Mozajek migające żmiją  
 Na wielkim łuku Avenidy!  
 O, Rio, kępo Atlantydy,  
 Cudem na globie ocalała —  
 I trzymająca się lazuru  
 Masztami palm, linami ljan,  
 Zębami wzgórz i skał stromych!  
 Rio kolibrów wibrujących  
 Za oknem, w wilgę, mgławym lotem!  
 O, Rio nocy nieruchomych  
 I brzasków z rozpalonej miedzi,  
 Przeżłacającej się w spiekotę!  
 Kto cię wymyślił? Kto wybredził?  
 Chyba ocean swym bełkotem  
 Wmówił cię brzegom łatwowiernym  
 I wrzeźbił w ziemię cud bezmierny...  
 A inni mówią — i uwierzę —  
 Że to Stworzyciel na spacerze  
 Pijanym krokiem cię wytańczył,  
 Gubiąc po drodze palmy, skały,  
 Murzynów, kwiaty i upały...  
 Błogosławiona eskapado!...  
 Dziękuję. Muito obrigado  
 Za Rio i za wiersz wygnańczy.

WYZNANIE

Królestwo moje nie jest z tego świata.

Gdzieś, ponad nami, inny świat szeleści  
I strąca czasem, jak zapowiedź lata,  
Liście oliwne na wydmy boleści.

Ludzie chwytają rękami drżącemi  
Liljowe płatki i szepcą pacierze,  
I wierzą znowu w spełnienie na ziemi  
Królestwa swego. I ja z nimi wierzę.

Wierzę w świat lepszy i wierzę w świat nowy  
I w burzę serca, co wolnością dyszy,  
I w świt, co znajdzie sekret wspólnej mowy,  
I w noc, co straci sekret wiecznej ciszy.

Wierzę, że przyjdzie, wierzę, że jest blisko;  
I razem z tymi, których ufność splata,  
Powtarzam: — wierzę... A pomimo wszystko.

Królestwo moje nie jest z tego świata.

STANISŁAW BALIŃSKI

K L Ę S K A

Nic ci nie mogę dać nadto  
— Choć wszystko jestem ci dłużny —  
Prócz łyzy, spalonej zanadto,  
I resztek cudzej jałmużny.

Nic ci nie mogę dać więcej  
— Choć wszystko jestem ci winien —  
Prócz męki, nierównej męce,  
I krwi, co krwią już nie płynie.

Nie poznasz mnie, bo jak poznać  
Jesień dawnego spojrzenia  
I ufność, której rozpoznać  
Nie można wśród zatracenia.

A miałem być kiedyś pieśnią,  
Wezbraną twoim oddechem,  
Lecz słowo stało się pleśnią,  
A oddech jest tylko echem  
Miłości...

REGNUM OSTATNIE

*Oto dni przychodzą, że posłę głód  
na ziemi, nie głód chleba ani pragnienie  
wody, ale s'uchania słów.*

*Dnia onego pomdleją panienki piękne  
nawet i młodzieńcy od onego pragnienia.*  
Amos 8. 9.

Pod drzewem, które grom rozdarł,  
Na wichrze, w burzy i mroku,  
Zamyka Regnum ostatnie  
Dziejopis Księgi Proroków.

I oto wyrokiem boskim,  
W dziejów zawiłym pochodzie,  
Równasz się polski narodzie  
Z biblijnym ludem żydowskim.

I wstaje polski Jeremiasz,  
Joel Mazowsza i Gdyni,  
Zacharjasz płacze na murach  
Nie istniejącej świątyni.

Kłęcząc u wód Babilonu,  
Wyjąc jak wilki w mrok nocy,  
Bijąc głowami jasnemi  
Modlą się polscy prorocy.

Pod nogi ścielą rogoże,  
I głowy sypią popiołem,  
I czoła kryjąc w pokorze  
Chylą przed gniewnym aniołem.

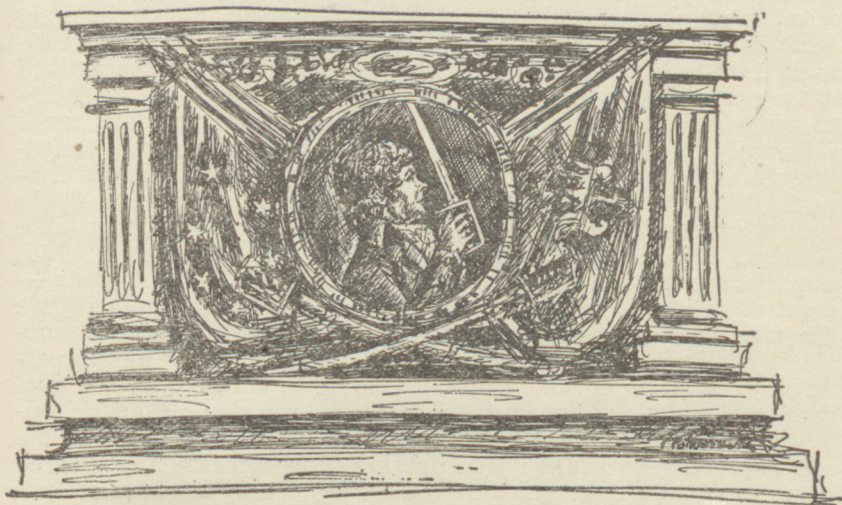
Za cóż w boleści i w prochu  
Jak robak tarzasz się lichy?  
Pisz wyrok — polski proroku  
Na murach świątyni pychy.

Wołajcie z brodów szerokich,  
Z krużganków wież, z krańców ziemi,  
Usłyszają wasze wołanie  
Skrzywdzeni i poniżeni.

Wasz gniew niech będzie ich gniewem,  
Ziemskie granice przekreśli,  
Buntem, wolnością i śpiewem.  
Łzami i krwią Syna Cieśli.



## WEST POINT



Echa Saratogi rozchodziły się tymczasem po świecie, budząc wszędzie to samo wielkie wrażenie i wciąż inne refleksje. W Londynie panowało oficjalne oburzenie i cicha, coraz powszechniejsza, coraz też mniej skrywana, Schadenfreude opozycyjnej opinii. Jerzy III-ci nie był królem cudzoziemcem, jak jego dziad i pradziad, ale był arbitralny i przejęty swym prawem monarszym: minister Lord North był nielubiany, a przedłużanie się wojny amerykańskiej zwiastowało zwiększenie podatków na wojsko. W Paryżu na wiadomość o Saratodze pękła owa poprawna, dyplomatyczna neutralność, jaką dotąd utrzymywał dwór i ministrowie, ale wcale nie wyznawały ani opinia, ani ulica. Rozdźwięk jaki trwał od tylu lat pomiędzy oficjalną Francją Wersalu, a nieoficjalną filozofów, salonów i mieszczaństwa, teraz niespodzianie się wygładził. Jedni cieszyli się z klęski Anglii, bo leżała ona w interesach Francji: inni, bo w Ameryce triumfowały te hasła jakie chciano by zwyciężyły we Francji. Każdy tydzień parł teraz do wojny, i firma Hortalez and Co. otrzymawszy nowe subwencje, pchała całkiem jawnie liczne partie ochotników. Wśród małych dworów niemieckich panował także ruch ożywiony: jeśli wojna za oceanem się przedłuży, to potrzeba będzie więcej niemieckich żołnierzy, i cena na nich wzrośnie. Istotnie, w Hanowerze płacono już od głowy po czterdzieści dolarów, i były uzasadnione nadzieje że zapłaci się i więcej. — Najślabsze echa wywołała Saratoga w Polsce. Książa uważaliby zapewne rewolucję za akt wysoce karygodny i bezbożny, i gdyby powstanie wybuchło w koloniach Hiszpanii czy Portugalii nie mieliby żadnych wątpliwości. Ale pech chciał że wybuchło na ziemiach podległych heretyckiemu królowi angielskiemu, mogłoby więc być poniekąd uważane za słuszną karę Nieba na morderców Marii Stuart. W Rosji Katarzyna Druga była zadowolona z kłopotów Anglii, ale zaniepokojona nawet dalekim buntem: stąd więc także żadna wskazówka nie przyszła. W taki to sposób rozchodziły się po świecie echa działań amerykańskich.

W samej Ameryce Saratoga miała przede wszystkim ten skutek, że wyniosła bardzo szybko Gatesa: dla Kościuszki zaś tylko ten że oddzieliła go od dowódcy do którego przywiązał się tak silnie jak do nikogo dotąd w życiu. Gates został powołany na stanowisko prezesa Board of War, to jest ministra wojny; opuścił więc armię a przeniósł się do siedziby Kongresu, mieszczącej się teraz w Yorktown: wybito na jego cześć medal; urządzano bankiety i snuto bardzo dalekie i rozliczne plany. Przede wszystkim odżyły dawniejsze jeszcze pomysły wyprawy na Kanadę. Byłby to jakby pościg leśnymi tropami Burgoyne'a, który przecież szedł z Kanady ku Saratodze; w Kanadzie były poważne bazy zaopatrzenia armii brytyjskiej, a właśnie tego bardzo brakowało Stanom. Wreszcie Kanada, do niedawna kolonia francuska, miała ludność przeważnie francuską, i francuscy oficerowie w sztabie Waszyngtona, z Lafayette'em na czele, parli do tej wyprawy. O jej dowództwie marzył dla Gatesa Kościuszko. „Wierz mi panie — pisał do niego — jeśli nie owdładniemy Kanadą, Brytania będzie dla was źródłem nieustannych kłopotów. Nie powinniście znosić nie tylko jej, lecz w ogóle żadnej obcej potęgi w naszej północnej części Ameryki”. Zapiszmy sobie te słowa, choć ich prośroctwo raczej się nie spełniło. Kościuszko mówił o Stanach mówi „my”, mówi o „naszej” północnej części Ameryki, troska się o przyszłość tego kraju i jego dalekie niebezpieczeństwa. To co pisze to niemal doktryna Monroe'go, już wtedy krążąca w tym świecie. Widać zrosł się dobrze ze sprawą za którą walczył.

Rozłąka z domem Gates'a była przykrą i listy krążyły między nim a nimi. Poza samym Generałem była pani Gates, jej osiemnastoletni syn, adiutant pułkownik Troop; wszyscy oni byli teraz daleko i wszyscy byli mu głęboko przyjaźni. Ten „zdolny inżynier i jeden z najsubtelniejszych rysowników jakich kiedykolwiek poznałem”, pisał o nim jeszcze przed rokiem Gates. „Ten zdolny młodzieniec” dodawał teraz w polecającym liście. Wszyscy oni byli niezawodnie zżyci z sobą ogromnie i kiedy dom Gates'ów opuścił był Albany, gdzie przebyli zimę i podążył do Yorktownu, Kościuszko pisał do pani Gates: „Może pani jest zadowolona obecnie że nie jest już wśród towarzystwa holenderskiego, tak ponurego i poważnego, lecz natomiast znajdzie pani tam gdzie jest obecnie ludzi mówiących tylko o polityce przy butelce, ścisnąc ją mocno od czasu do czasu, a przyjęcie podobne nie zabawi Pani, jestem tego pewien. Wprawdzie sekretarz francuski Pani da jej zawsze dosyć powodów do śmiechu swoją twarzą, swoim nosem i swoim okiem astronomicznym, a pułkownik Troop dotrzyma Pani towarzystwa w tym względzie! Lecz nie usłyszycie Pani wyrażenia holenderskiego tak grzecznego i uprzejmego... Chciałbym widzieć Panią w podróży, wyjmującą sucharki z magazynu przenośnego, w którym z takim staraniem były układane, i rozdająca je swojej familii, mówiąc: chodź tu, synu mój, to dla Ciebie: Troop, chodź pan, weź ten sucharek, bardzo jest dobry. A później chciałbym widzieć generała Gates'a jak bierze jeden i wykrzykuje. „ba, to nic nie warte!” O Pani, jakżebym się śmiał”. Do generała Gates'a pisał w innym tonie. „Nie zapominaj sprawy Yankesów”. Albo, jak pisze rok temu, „zwyćiężymy, generale, mając ciebie na naszym czele”. Zawdzięczał mu zresztą nowe stanowisko. Z początkiem roku Gates, jako prezes wydziału wojny, posłał go bowiem na Północ, w strony nad Hudsonem, gdzie planowano właśnie nowe, potężne fortyfikacje. Miały one przegrodzić szlaki komunikacyjne Anglikom i umocnić w tych stronach władzę Stanów. Właśnie wybierano miejsce i na tym tle powstał

spór. Amerykańscy dowódcy, z generałami Parsonem i Putnamem byli za wzniesieniem nad Hudsonem, zwanym West Point; francuski inżynier pułk. de la Radiere, upierał się przy Fort Clinton.

Kościuszek, wysłany przez Gatesa i opatrzony przez niego poleceniami opowiadał się za planem amerykańskim i ostatecznie zgodzono się na West Point. Ale spór, chwilowo przesądzony, zaraz rozgorzał na nowo. Kto ma fortyfikować pierwszą twierdzę amerykańską: polski inżynier czy francuski? Nie był to tylko zatarg pana Kościuszki z pułkownikiem Radiere; sięgał znacznie głębiej. „Mnie tu jeszcze wcześniej wysłał naczelny wódz, generał Waszyngton”, oponował Radiere; „mnie tu później przysłał prezes wydziału wojny w Kongresie, generał Gates” dowodził Kościuszek. Ktoż jest władzą w ustroju republikańskim? Kongres przedstawicieli ludu, czy dowódca wojska? Z tą chwilą spór, zrazu techniczny i kompetencyjny, wypływał na pełne morze bardzo aktualnego konfliktu.

Od samego początku rewolucji amerykańskiej panowała w tym świecie nieufność w stosunku do armii regularnej, wodza i jego władzy. Kongres niechętnie zwiększał zaciąg do armii stałej, znacznie chętniej polegał na milicji, chciał sam mianować generałów i pułkowników, sam rządzić armią. U schyłku ostatniego roku tarcia jeszcze wzrosły. Naczelny wódz poniósł kolejno dwie klęski, pod Germantown i nad Brandywine, Kongres musiał uciekać z Filadelfii i gwałtownie Waszyngtona stanęła bardzo nisko. Zwycięstwo Gatesa pokazało nadto że w armii jest inny zdolny generał, w dodatku bez manier arystokratycznych Południowca, co tak raziło na Północy, a z poglądami tak postępowymi jak mało który z członków Kongresu. Uwielbiały go niesforne milicje, stał za nim ludny, przedsiębiorczy i wpływowy stan Massachusetts, wielu członków Kongresu. Wyniesiono go na prezesa wydziału wojny z dość wyraźną myślą aby przeciwstawić go naczelnemu wodzowi.

Byli to ongiś towarzysze broni a nawet przyjaciele Waszyngtona i Gatesa, ale teraz to wszystko miało się szybko rozprząć. Gates był teraz generałem wysuwany przeciwko Waszyngtonowi; w tej rywalizacji zatarg Kościuszek — Radiere był tylko małym fragmentem, rozgrywką stożoną na krańcach szachownicy, o drugorzędny pionek. Za Kościuszką a przeciw Radierowi stali zresztą wszyscy. „Pan Kościuszek — pisał komendant West Pointu — zdaniem tych co oglądali roboty ma więcej praktyki od pułkownika Radiere i jego sposób obchodzenia się z ludźmi jest przyjemniejszy niż tego ostatniego. To właśnie skłoniło Parsona i gubernatora Clintona do zdania, aby mógł dalej prowadzić roboty w West Point”. Waszyngton umiał dopuszczać drobne przegrane, jeśli nie były istotnymi. W West Point kandydat jego rywala umiał zaczepić się lepiej niż jego własny. Na tym odcinku zatem skapitulował i odwołał Radiera. Tego ostatniego nie ujrzymy już nigdy więcej. West Point było odtąd umacniane wedle planów i pod kierownictwem Kościuszki.

W walce z Gates'em padły już wcześniej pierwsze strzały i wobec nich cała potyczka westpointska schodziła na plan bardzo daleki. Oto, jeszcze zimą, niedługo po Saratodze i Brandywine, jeden ze sztabowców Gates'a, pułkownik Wilkinson wygadał się, że w kwaterze jego szefa obiegał wszystkich list pisany do Gates'a przez generała Conway. Był to Irlandczyk ze służby francuskiej, ponoć dobry technik wojskowy, mianowany generałem przez Kon-

gres, wbrew Waszyngtonowi. List zawierał — oględną zresztą — krytykę naczelnego wodza, ale w zestawieniu z nastrojami jakie panowały właśnie wyglądał prawie na wojskowy spiszek. Waszyngton, urażony, zapytywał Gates'a co znaczy ów list, przezeń rozpowszechniany w wojsku; Gates tłumaczył się niejasno; wybuchła otwarta nieprzyjaźń. Większość wyższych oficerów, nie lubiących Gatesa za jego „rewolucyjne maniery” poparła naczelnego wodza, przyjaciele Gates'a z Kongresu nabrali wody w usta. Pojedynek pomiędzy Conway'em a jednym z zauszników Waszyngtona położył kres służbie Irlandczyka. Conway wyszedł zeń ze strzaskaną szczęką, po czym wrócił do Francji. Miał w dalszej karierze wojskowej okazać dużo talentu i dosłużyć się marszałkowskiej buławy.

Z wiosną nie tylko Waszyngton utrzymał się jako naczelny wódz, ale i Gates odszedł z powrotem na Północ. Zdaje się że był zniechęcony do licznych obietnic jakich mu nie szczydził ludzie Kongresu, a potem do ich odstąpienia go. Wolał armię. Teraz jego miejscem postoju był przeważnie Boston, kolebka rewolucji, gniazdo radykałów. Tu czuł się znacznie lepiej. Dolegała mu tylko bezczynność, nieco i zdrowie. Czekał na sposobność do nowej Saratogi, ale tej Waszyngton nie chciał mu udzielić tak łatwo. Naczelny wódz był pamiętliwy. Nie zapominał że jedna Saratoga omal nie skończyła się tragicznie nie tylko dla Anglików, ale i dla niego jako naczelnego wodza. Wyszędłszy cało z opresji postanowił sobie nie przymnażać więcej Gates'owi niebezpiecznych laurów.

Tymczasem nadeszły i dla Waszyngtona szczęśliwsze dni. Francja pod wpływem opinii, wypowiedziała wojnę Wielkiej Brytanii i niebawem jej flota pod banderą o złotych liliach burbońskich zawinęła do amerykańskich brzegów. Na przededniu lata, pory upatrzonej do nowych działań wojennych, była to dla Anglików poważna przeszkoda, a dla sprawy amerykańskiej wielka pomoc. Z akcjami Stanów poszły też w górę i akcje osobiste Waszyngtona. W lasach pod Valley Forge pruski generał Steuben ćwiczył mu tymczasem nowe wojska, cienie Brandywine'u i Germantown'u wyblakły, a mało ludzi pamiętało, że Francję porwały do wojny właśnie echa gatesowskiej Saratogi.

Na jesieni spory wojskowe odżyły jednak tym silniej. Przede wszystkim odbyła się rozprawa sądowa przeciwko generałowi Saint Claire. Był to ów niefortunny dowódca Ticonderogi który musiał ją opuścić, a ponieważ rewolucyjna opinia wszędzie wietrzyła zdradę — zresztą nieraz aż nadto słusznie — przeto niemal w każdym wypadku klęski pokonani generałowie amerykańscy stawali przed sądem wojennym. Sprawa zapowiadała się ciekawie: w Albany, gdzie proces miał miejsce, znajdował się Waszyngton, a liczne powikłania dawały jej posmak polityczny. Formalnie, proces był wytoczony Saint Claire'owi, jako temu co poddał, a raczej opuścił, fort: ale cała opozycja republikańska zmierzała do tego by uniewinnić Saint Claire'a, jako wykonawcę rozkazów swego bezpośredniego dowódcy, którym był Schuyler. Schuyler był tak samo ceniony przez koła umiarkowane, Waszyngtona i sztaby, jak znieawidzony wśród radykałów i milicyj. Na procesie, w charakterze świadka, zjawił się Kościuszko. Zgłosił się sam: i niewątpliwie jego zeznania szły po linii interesów opozycji, oraz, oczywiście, Saint Clair'a. Kościuszko dowodził, że przyczyna klęski było mylne ufortyfikowanie Ticonderogi: uniewinniał Saint Claire'a, a obciążał Schuylera. Pomiędzy nim, a innym świadkiem, pułkownikiem Carterem, doszło na sali

sądowej do gwałtownego zajścia. Carter rzucił się nań nawet z pistoletem: rozumiemy jego przejęcie się sprawą, gdyż był zięciem Schuylera.

W następstwie zimowej intrygi Conwaya doszło wtedy do jeszcze jednego zatargu. Gates wyzwał mianowicie Wilkinsona, który wypaplał historię owego listu. Czwartego września, pod White Plans, NY, odbył się pojedynek — z trzykrotną i bezskuteczną wymianą strzałów. Kościuszko był sekundantem Gatesa; Carter, Wilkinsona. Po starciu zredagowano protokół zajścia, przy czym zaszła pomyłka. Czy to nie znając zbyt dokładnie podobnej procedury, czy też jeszcze słabo władając angielskim, Kościuszko dopuścił do tego by w protokóle stwierdzono jedynie że sprawa została zakończona honorowo dla Wilkinsona: o Gatesie protokół milczał. Spostrzegłszy pomyłkę, Kościuszko udał się do Cartera, zażądał protokołu i odmówił oddania go, póki ten nie zgodzi się na poprawkę. Carter odmówił. W listach, ogłoszonych potem w prasie, nazwał Kościuszkę złodziejem, z powodu nieoddania owego dokumentu, groził sądem: nawzajem, na innych łamach, Kościuszko piętnował go jako tchórza, gdyż wyzwany przezeń nie stanął, i kłamcą, skoro fałszywie przedstawił sprawę. Wreszcie groził pobiciem. „New York Packet” i „Evening Post” przedrukowały skwapliwie te wzajemne wymyślenia, tym silniejsze i soczystsze, że Carter ani nie stanął do pojedynku, ani nie poszedł do sądu, jak zapowiadał. Wetował sobie zato wyzwiskami. Kościuszko był jego zdaniem „a mercenary bravo”, „nędznym awanturnikiem nie mającym nic do stracenia” i tak dalej. Jak wiemy z opowieści samego Wilkinsona ów „najemny bandyta” nie miał własnej kółdry w czasach gdy dla Stanów Zjednoczonych budował reduty w lasach Północy, poborów nie widywał miesiącami i żył z kotła. Ale zięć bogatego generała miał uprzedzenia dość często u prawicy: doszukiwania się u wszystkich pobudek natury pieniężnej. Nie musiało to oczywiście zbliżyć Kościuszkę do tamtego obozu. Tym silniej pewnie przykuwał go do siebie Gates i obóz Gatesa. Tam był on cudzoziemcem, wyznającym te same co oni poglądy, i dlatego walczącym wespół z nimi. Nie kondotierem.

W ten sposób powoli urastał także mur obcości pomiędzy młodym Polakiem a człowiekiem który miał tu wystrzelić ponad wszystkich bohaterów dramatu. Jerzy Waszyngton był bowiem w Albany i bardzo możliwe że tam właśnie przedstawiono mu Kościuszkę, o którym słyszał już nieco, co odbiło się w paru wzmiankach w listach, ale z którym dotąd się nigdy nie spotkał. Były one nawet pochlebne; mówiły że Kościuszko jest a gentleman of science and merit. Ale teraz Jerzy Waszyngton był wrogiem Gatesa: a w oczach otoczenia Gatesa był kunktatorem wojskowym, zwolennikiem metod miękkich i postępów powolnych, większym zwolennikiem Ładu niż Postępu, Niepodległości niż Rewolucji. Wedle nich Jerzy Waszyngton odrzucał może monarchię z łaski bożej i to raczej obcą monarchię niż w ogóle monarchie. Jerzy Waszyngton byj istotnie człowiekiem pierwszej połowy XVIII wieku. Wierzył w postęp dokonywany z góry, przez oświecenie rządzących, nie ufał temu który szedł z dołu, a zwłaszcza z mas. On chciał z tych kolonij stworzyć jedno państwo więcej: oni nowe państwo. Był to w ich oczach bardzo oświecony arystokrata, ale przecież arystokrata, i takim go widzieli yankeci z Massachusetts którzy po Brandywine'ie chcieli mieć Gatesa naczelnym wodzem. Stosunek Jerzego Waszyngtona do obcych intruzów co przychodzili się tu bić był może mniej entuzjastycz-

ny. Owszem, uwierzył w młodzieńczą bezinteresowność markiza de Lafayette, spodobała mu się kawaleryjska brawura hrabiego Puławskiego, cenił fachowców, ale lewicowi i książkowi teoretycy, zapanbrat z milicją, może smakowali mu mniej. Gates był dla niego teraz intrygantem i demagogiem: a ten młody polski inżynier był najwyraźniej człowiekiem Gatesa. Stąd między ostrożnym naczelnym wodzem a zapalnym młodym inżynierem polskim nie nawiązała się ani wtedy, ani potem, żadna nić sympatii, na przekór późniejszym zmartwieniom historyków.

Nie nawiązały się nawet na bardziej neutralnym gruncie niż proces w Albany: w West Point. Pomimo ciągłych zwłok w robociznie, trudności pieniężnych przede wszystkim, prace szły naprzód. West Point jest miejscem gdzie olbrzymi Hudson przełamuje się poprzez wyżyny gigantycznym jarem i forty okoliczne miały strzec żeglugi na nim. Kolejno wyrastały cytadela, składy, forty. Waszyngton oglądał początki tych prac jeszcze owej procesowej jesieni. Przybył ze swym własnym szefem inżynierii, francuskim generałem Du Portail, którego kierownictwo chciał przecież narzucić, przynajmniej jako nadzór, protegowanemu Gatesa. Jerzy Waszyngton był człowiekiem systematycznym, nie zapomniał swego ustępstwa z Radierem, chciał je sobie powetować.

„Jego Ekscelencja, pisał do Gatesa Kościuszko, (nie bez ironii podkreślając tytuł), był tu z generałem Portail aby oglądnąć roboty. Ostatecznie zrobiono tę konkluzję że nie jestem najgorszym z inżynierów. Generał Waszyngton powiedział mi, aby mi dał instrukcję, lecz on mi nie powiedział nic takiego co by nie było już wprzód zaprojektowane i aprobowane, niekiedy nawet wbrew jego woli. Widzę jasno, że było to uczynione w celu aby wykazać, że mam kogoś nad sobą jako zwierzchnika. Oczekuję szczęśliwego wyzwolenia stąd na wyprawę północną. Pamiętaj o mnie, Drogi Generale”.

Z tym wszystkim narzucenie nadzoru Du Portaila nie udało się. Roboty były już bardzo daleko poprowadzone, tak że trudno je było zmieniać. Waszyngton, na dowodzenia Du Portaila, zajął raz jeszcze pojednawcze stanowisko. Ogół prac Kościuszki zatwierdził, a tam gdzie jeszcze nie były przeprowadzone większe roboty, polecił stosować się do uwag Francuza. Natomiast próśb Kościuszki o wysłanie na bardziej czynny teren wojenny nie wysłuchał. Tak samo jak wcześniej jeszcze nie godził się na podobne próśby generała Gatesa.

Wojna w tym roku wlokła się powoli; spadek pieniądza papierowego, drożyzna, brak produktów, dawały się coraz bardziej we znaki. Zima przerwała roboty wczesnymi bardzo śniegami, ale na wiosnę podjęto je z tym większą energią. Przez całe lato następnego roku — był to już rok pański 1779 — nie wiele się zmieniło w egzystencji Kościuszki. Tylko roboty poszły szybszym tempem — 2500 robotników pracowało teraz na całym terenie twierdzy — i przybył tu na czas dłuższy naczelnny wódz. Był to może moment do poprawienia stosunków, ale i teraz do tego nie doszło. Za to korespondencja z Gatesem była do dawnemu ciepła. „Generał Waszyngton zamierza obchodzić uroczystie rocznicę kapitulacji Burgoyne’a, słyszałem, że i Kongres także. Byłbym szczęśliwy gdybym mógł obchodzić ten dzień z tobą i twoimi jankesami”. „Nie zapominaj o mnie że jestem przez połowę Jankesem”. „Popieraj interesa Jankesów”. To były stałe motywy jego listów. A Jankesi — to była właśnie harda, niespokojna, republi-

kańska ludność Massachusetts i Bostonu. — Korespondencja z Waszyngtonem miała zgoła inny charakter. Starania o opuszczenie West Pointu by udać się do Gatesa; spory z Du Portail'em; potem o rum dla robotników czy o brakujące obuwie. Najwidoczniej dbał o nich. Ale to i wszystko.

Wojna ma takie właśnie długie zastaje, paroletnie unieruchomienia, z których później we wspomnieniach nie pozostaje nic prawie, bo wszystko powlekła tą szarą barwą monotonia czasu. Miano zapamiętać tylko, że mieszkał u niejakiej wdowy pani Warren, że współżył blisko z robotnikami swych prac, że założył sobie ogródek w którym chętnie przesiadywał: drobiazgi. Kiedy wreszcie wyjechał stad została po nim skrzynia z papierami, rysunkami i dokumentami. Waszyngton który był wtedy daleko dowiedział się o tym i pchnął list do dowódcy West Pointu. Skrzynia, jego zdaniem, miała zawierać dokumenty natury publicznej i należało co rychlej przeprowadzić ich zabezpieczenie. Dlaczego nie zwrócił się z tym wcześniej do Kościuszki? Nie wiadomo. Ale rozkaz był spóźniony. Dowódca West Pointu odpowiedział, że, niestety, w czasie niedawnego spisku w twierdzy, pani Warren, bojąc się że przechowuje jakieś nielegalne papiery wszystko spaliła. Jest ciekawe, że gospodyni Kościuszki mogła przypuszczać iż główny inżynier głównej twierdzy Stanów Zjednoczonych może być podejrzanym konspiratorem. A jednak, tak przypuszczała. I kto wie, może powiedziałyby nam niejedno owa skrzynia, trudna do zabrania w daleką drogę i na wojnę, a pozostawiona z taką ufnością w bojaźliwej pieczy Mrs. Warren?

## MARIA DANILEWICZOWA

### D O M

Wiosną 1922 rozeszła się po Włocławku wiadomość, że Janicki wydzierżawił aptekę w Żychlinie i że wkrótce wyjeżdża tam z całą rodziną. Jedni dziwili się, skąd wziął pieniądze na kaucję, inni wspominali z rozrzewnieniem niedawne (— a kto by myślał, że ostatnie!) wielkanocne mazurki pani Janickiej.

Do Żebrowskich przyniosła wielką nowinę panna Stasia, gdy — jak co miesiąc — krążyła od domu do domu, ściągając składki na Czerwony Krzyż.

— Wyjeżdżają zaraz po św. Janie, niech tylko zaczną się wakacje w szkołach. Stary Baranowski już rozgląda się za nowymi lokatorami.

Wiadomość przeszła bez wrażenia. Profesor Żebrowski rozciął dalej książkę, pani Bronisława otwierała, jak gdyby nic szufładę od biurka.

— Nie powiedziała ani słowa — opowiadała podniecona panna Stasia w następnym domu, — jakby Janiccy byli jej wrogami. Ci Żebrowscy zawsze tacy. Myślą widać, że ich Pan Bóg z lepszej gliny ulepił. A każdy wie, że on jeszcze niedawno za gryziopórka na kolei wiedeńskiej służył, a profesorem został dopiero jak do Włocławka przyjechał. On nawet człowiek nie najgorszy, to tylko ona takie fasony odstawia. Że to niby nic ją nie obchodzi, że państwo Janiccy wyjeżdżają...

I pobiegła dalej wzdłuż suchotniczych akacji, wymijając kałuże i wyboje.

Brzeską, w kierunku katedry, ciągnął sznur kleryków, parami, ze spaceru. Pan Górski, weteran z polskiego powstania, stał przed sklepem kuśnierza, bacznie obserwując barometr. Miało się na pogodę: gliniana figurka zakonnika opuściła malutką kapliczkę i dowędrowała niemal do stóp krzyża, co nie zdarzyło się już od wielu tygodni a co niechybnie oznaczało dłuższy okres pogody. Pan Baranowski otworzył drzwi sklepu na oścież, widać było z ulicy, jak układał skórki karakułowe w głębokich szufladach, przesypując je obficie naftaliną.

Kazio Wichrowski pełznął powoli chodnikiem, pojadając landrynki. Dzień był ciepły, poświęteczny, nie sprzyjający nauce, toteż nie śpieszyło mu się na lekcję do pana Żebrowskiego. Zamiast martwić się dwóją z geometrii, przyglądał się pudłowi doktora Maciejewskiego i zdumiewająco sprawnie obliczał w pamięci, że do wakacji zostało jeszcze 39 dni, w tym 6 niedziel i dwa święta.

Pan Żebrowski skończył tymczasem rozcinięcie książki, spojrział na zegarek i westchnął. Trzeba było zrezygnować z lektury i przestawić się na wykład twierdzenia Pytagorasa w interpretacji dostępnej dla rozbieganej nieco wyobraźni Kazia. Podszedł do okna, otworzył je szeroko. Wydało mu się, że na dworze jest cieplej, niż w pokoju.

Przed oczyma rysował się pierścień murów wewnętrznego podwórza kamienicy z sześcianem śmietnika w dole i trójkątem bladego nieba w górze. Od szyb przeciwnych mieszkań odbijały się zabłąkane, jakby kradzione promienie słońca i jak smuga blasku z reflektora, biegingy ukosem przez pokój, oświetlając jasno kwadrat spłowiełej tapety.

Żebrowski uświadomił sobie nagle, że mieszkanie jest piwniczne i ponure. Że zupełnie nie czuje się w nim wiosny. Że — czegoś w nim brak. Nawet w Warszawie, w zadymionym mieszkanku na Chmielnej czerwieniły się pelargonie i wiatr przynosił na balkon suche, szeleszczące motylki z okwitających akacji.

„Siedzę, bom przywyknął” — dowodził ongiś ptaszek w klatce z bajki Krasickiego. To — nie była klatka. To — było własne mieszkanie, do którego wracało się po lekcjach w polskim Gimnazjum Ziemi Kujawskiej, a nie, jak dawniej, z Wydziału Taryfowego Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, gdzie dzień dłużył się bez końca nad liczydłem i monotonnymi mnożeniami. Tu był wreszcie u siebie i doprawdy, jak zwykła mawiać żona, miał wszystko, co człowiekowi niezbędne jest do egzystencji: dach nad głową, stół do pracy, spokój...

W tym właśnie momencie Kazio wszedł ociężałym krokiem do sieni. Był już zupełnie zrezygnowany. Mógł zyskać na czasie bardzo niewiele — od mieszkania Profesora dzieliły go tylko schody.

Do wysokości pierwszego piętra były one „marmurowe”, ozdobione mosiężnymi prętami, które od czasu zbudowania domu powiadały na próżno założenie dywanu. Na półpiętrze gipsowa, pomalowana olejno, naga postać kobieca wznosiła ku plafonowi, usianemu gęsto złotymi gwiazdami, pochodnię zakończoną różowym kłosem w kształcie płomienia. Był on do połowy stłuczony i odślaniał brudną, przez muchy upstrzoną żarówkę.

Kazio obejrzał skrupulatnie „Wenusę”, by stwierdzić, że stróż pozmywał starannie pewne drobne uzupełnienia, których on i jemu podobni dokonali w czasie poprzednich bytności. Uświadomił sobie natychmiast, że Grzegorz zamiata ulicę i postanowił znowu



zaryzykować. Obejrawszy się przezornie na wszystkie strony wyjął z kieszeni „atramentowy” ołówek, poślinił go z namaszczeniem i, wspinając się na palce, wymalował sumiaste wąsy na obliczu bogini, po czym, oglądając się z lubością w tył, wolno i statecznie zaczął się wspinać na drugie piętro. Obojętnie przeszedł obok wspaniałej blaszanej palmy — najlepszy ołówek nie miał się błyszczącej polewy donicy. Nic tu nie było do zrobienia.

Schody tymczasem zmieniły zasadniczo wygląd. Były już tylko drewniane, węższe i bardziej strome. W górze połyskiwała tabliczka z napisem „Bronisława i Stefan Żebrowscy”. W chwili, gdy Kazio zgodnie z zachętą „Proszę kręcić” miał zamiar zadzwonić, wzrok jego padł na wielką niebieską muchę, łążącą sennie po drzwiach. Był to wspaniały okaz, wart zachodu. Polowanie trwało krótko. Owad, złapany z małpią zręcznością, brzęczał już po chwili w kieszeni, objając się bezradnie o ścianki pudełka od zapalek.

Dłużej, niestety, nie można było zwlekać. Kazio zadzwonił lekko, pełen cichej nadziei, że — a nuż — służąca nie posłyszycy. Bestia miała jednak diabelski słuch i wyskoczyła natychmiast ze słowami:

— Co to kawaler dziś tak późno?

Kazio uznał, że nie warto odpowiadać. Wyprostował się, przeszył Lodzię na wylot zimnym, jak stal spojrzeniem i bohatercko przemaszerował przez korytarz.

Profesor stał jeszcze przy oknie, pogrążony w myślach, co wydało się Kaziowi zdecydowanie złą wróżbą. Stary był widać nie w humorze, będzie nudził i czepiał się wszystkiego.

Żebrowski odwrócił się jednak ze słowami „A to ty, biedaku” i z życzliwym uśmiechem zajrzał do Kaziowego zeszytu.

— Będzie brał na ambit — pomyślał Kazio podejrzliwie.

Żebrowski przeglądał kartkę po kartce od początku kajetu. Z masy kleksów i koślawych rysunków odślaniało się jasno, że proste prawdy Euklidesa przenikały opornie do Kaziowego umysłu.

Przed oczyma Żebrowskiego mignęła twarz maszynisty Wichrowskiego, ojca chłopaka. Znał go z kursów wieczorowych sprzed wojny. Stary uczył się gorliwie, by — jak mówił — dzieci nie potrzebowały się wstydzic ojca. Marzył, by syn został inżynierem. Chłopak jednak lenił się, groziło mu zostanie na drugi rok. Na korepetytora nie było pieniędzy. Toteż gdy Żebrowski zaofiarował się z bezpłatnymi lekcjami, „po starej znajomości”, stary miotać się począł między nadzieją a czarną rozpaczą, między gniewem a rozczuleniem. Dziękował niezdarne, głośno, przysunięty blisko, jakby nawet w pustej klasie przekrzykiwać trzeba było łoskot kół. Jak ludzie żyjący w ustawicznym zgiełku i hałasie, wpatrywał się uporczywie w twarz mówiącego, by z jej wyrazu i ruchów ust lepiej zrozumieć znaczenie słów. Znać było na nim, że dwadzieścia lat przepracował na kolei. Tik parowozowy jest, tak samo charakterystyczny, jak marynarski: mało jest miejsca w maszynie, podłoga biega rytmicznie w prawo i w lewo, stać trzeba mocno, na szeroko rozstawionych nogach. Ciągłe wypatrywanie sygnałów wyciąga twarz ku przodowi, czoło marszczy się gęsto, brwi zwisają nad oczyma.

— Jakoś się jeszcze trzymam, panie Żebrowski, ale chciałbym, żeby chłopak miał lepsze życie. Wałkoń z niego, oka ojcowskiego mu brak. Od Wszystkich Świętych będzie lepiej, obiecuję mnie dać na manewry, jak tylko Walczak pójdzie na emeryturę. Będę wtedy codzień w domu i dopilnuję łobuza. A teraz, sam pan wie,

ciągle na maszynie (— słowo wymawiał twardo, z akcentem na pierwszej zgłosce), w domu same baby, chłopak rozpuścił się, jak dziadowski bic. Życie ma jedwabne.

Żebrowski rozumiał go dobrze. Obaj brali życie podobnie: surowo i twardo, z pełnym poczuciem odpowiedzialności. On sam przecie, niewiele starszy od Kazia, biegał z „korki” na „korkę”, wyciągając za uszy leniwych synów lubelskich czynowników i bogatych żydowskich kupców. W szkole snuły się ponure postaci brodatych „obrusitelej”, w domu żaloba zazębiała się o żalobę, zgryzoty panowały i choroby, we wtórce bezpłodnych rozpamiętywań dawno straconych dostatków. Ojcem miotała tęsknota za szerokim poszumem dziadowskiej dąbrowy nad Świsłoczą, — wątpy głos matki nucił do snu straszliwą kołysankę klęski: „Jeden mi tylko pozostał strój: czarna sukienka...” — Jakże lekko bierze życie dzisiejsze pokolenie!...

Kazio starał się tymczasem robić jak najlepsze wrażenie. Siedział wyprostowany, skupiony, nasłuchując brzęczenia muchy w kieszeni. Czas dłużył się niemiłosiernie. Żebrowski wpatrywał się uparcie w kreślenia Kazia, żywcem ściągnięte z zeszytu kolegi.

— Tak, — powiedział wreszcie. — Jakoś to nie wychodzi. Za moich lat szkolnych twierdzenie Pytagorasa nazywaliśmy „mostem osłów” — „pons asinorum”. Ciężko ci będzie budować mosty w przyszłości, jeśli nie przebrniesz teraz przez ten pierwszy, zasadniczy.

— Kiedy, proszę pana psora, ja nie chcę się dalej uczyć. Ja nie chcę być inżynierem. Ja chcę być na kolei, jak ojciec. Ja nigdy nie zrozumieję tego wszystkiego. To jest okropne.

Okropne było także i to, że w odruchu rozpaczony ze zgniecionego przypadkiem pudełka, wyleciała pośpiesznie zmaltretowana, na pół oślepiąca mucha, i — brzęcząc — objąć się zaczęła o szyby i ściany.

Lekcja nie kleiła się stanowczo. Stary dał jakby za wygraną, odłożył zeszyt, wyciągnął kolorowe ołówki, papier, pomyślał chwilę, szukać zaczął czegoś w szufladzie — i wydobyl tabliczkę czekolady.

— To na później, powiedział, — teraz potrzebny nam będzie „srebrny” papier.

Obaj zaczęli wycinać, jak w przedszkolu. Trójkąt. Kwadraty. Mierzyli kąty, boki, przykładali, sprawdzali. Wszystko się zgadzało. Stary Pytagoras miał rację. Kazio orzekł, że — już rozumie i że nigdy nie myślał, że to takie proste. „Spodnie” wielkiego Greka powiewały znów, jak sztandar wiedzy z głębi zamierzchłej starożytności, a czekolada zniknęła w czeluściach łakomej paszczy.

— Przyjdź jutro, chłopcze. I przychodź codzień w Zielone Świątki. Dużo trzeba nadrobić, a ja mam właśnie sporo wolnego czasu.

Było to, mówiąc szczerze, dalekie od prawdy. Na biurku, na stole, na szafie nawet, piętrzyły się stosy zeszytów z niedawnych klasówek. Ale dopiero późnym wieczorem zasiadać zwykł Żebrowski do ich przeglądania i do bolesnej operacji stawiania ocen. Pora przedwieczorna była dla niego najcięższym odcinkiem dnia.

Przywykł i lubił za dawnych warszawskich czasów, że po powrocie z biura witała go w domu naprzód matka tylko, a potem także i Bronka. Aspir szczeakał, pachniało grzybami i rosółem. Przychodzili krewniacy, koledzy. Coś się działo, czegoś się spodziewano, coś nadchodziło.

Matka nie doczekała wolności. Umarła, przeżarta oczekiwaniami, nieświadoma wagi przeżywanego wypadku. Wojna miała się wtedy ku końcowi. Potem Bronka zaprzęła się do pracy w szpitalu, a on walczył uczciwie i ofiarnie, jak to inteligent, żołnierz-amator potrafi. Po demobilizacji nie wrócił już na kolej. Przypomniano sobie, że pisywał do „Poradnika dla Samouków” i do „Kosmosu”, że nie załamał się w jałowym trudzie ciężkich lat dziesięciu. Dano mu wreszcie pracować w szkole. Nastąpił dla niego pokój, stan zadowolenia i odprężenia, wyższy nad wahania marki i porachunki partyjne. Stracił z nimi kontakt, nie rozumiał ich. Były mu obce. Jedno się liczyło: możliwość pracy w polskiej szkole.

Z Bronką było inaczej. Dla niej trwał dalej stan wojny. Szpital otworzył jej oczy na sprawy nieznanne mężczyznom, tym nawet, którzy najbardziej bohatersko mierzyli się z wrogiem. Zapamiętała krzywdy inwalidów, zubożniętą na grypy i katary czasu pokoju. W napadach wściekłego buntu przeżyła dwie epidemie w szpitalu. Naprzód — tyfusu, wiosną 1920, potem krwawej dysenterii w zwycięskim sierpniu, gdy brud i zaraza jady, jak mówi przysłowie, czerwone jabłka.

Potem już nigdy nie zatrzymała się w pracy. Zmieniał się tylko przedmiot pasji. Ugrzęzła wreszcie w organizacjach opieki nad sierotami i dziećmi nieślubnymi, których — jak to w czasach wojennych — nie brakło. Na dom, na myślenie „o garnkach i gałganach” nie było już czasu. Tam była bardziej potrzebna. Stefan miał zawsze małe wymagania, a od przyjazdu do Włocławka, gdy lepiej się im zaczęło powodzić, mogli już sobie pozwolić na stałą służącą, wybraną — oczywiście — spośród pupilek Bronki. Naprzód była to dzieciobójczyni, będąca postrachem podwórza, która zjawiła się w domu Żebrowskich po odsiedzeniu kary ze skromnymi oszczędnościami z pracy w więziennej fabryce koronek. Gdy podwoić je zdołała po roku konsekwentnych wyrzeczeń, nawinał się starszawy rzeźnik o reputacji pijaka i godniej najwyższej pochwały obojętności w stosunku do przeszłości obłudnicy. Żebrowski przyjął z westchnieniem ulgi wiadomość, że młoda para wyjechała do Lubrańca, by tam rozpocząć nowe życie.

Następczyni była już tylko matką nieślubnych bliźniąt, oddanych „na garnuszek” do rodziny na wsi. Była ładna, o miłym spojrzeniu i bujnych jasnych włosach, upiętych wokół głowy w „koronę”. Kilka razy nadarzała się jej sposobność zamążpójścia, — kandydaci jednak wycofywali się w popłochu, bądź na samą wiadomość o istnieniu zakonspirowanych na wsi dzieci, bądź — później nieco — po obejrzeniu nielegalnego przychówku Łodzi. Obaj chłopcy byli potwornie rudzi i piegowaci i przystojnie wyglądali tylko na fotografii. Myśl o tym, gnębiąca Łodzię nieustannie była przyczyną pewnego roztargnienia, które na zewnątrz przejawiało się tłuczeniem porcelany i przypalaniem mleka, co znów było powodem wielu gorzkich łez i stosunkowo częstych zmian chlebowdawczyń.

Pani Żebrowska odbiegała jednak wyraźnie od szablonu znanych Łodzi pań domu. Do rudzielców nie żywiła żalu o to, że pojawili się na świecie, w Łodzi oceniła szybko dobrą wolę i znajomość gospodarki domowej. Oznaczało to dla niej zwolnienie od i tak już zredukowanych obowiązków gospodarskich. Dla Żebrowskiego pojawienie się Łodzi kojarzyło się w pamięci z końcem kłopotów ze skarpetkami i chustkami do nosa. Łodzią pamiętała o wszystkim, wszystko było zrobione na czas.

Ogarnęła jednak wtedy Żebrowskiego sprzyjająca ponoć twórczym rozmyślaniom, kłamliwie chwalebna samotność, którą on zwykł zwać po imieniu — opuszczeniem.

— Lodzia da ci kolację, muszę iść do Czerwonego Krzyża, nie czekaj.

Potakiwał, godził się. Ale po staremu nadczekiwał koło szóstych szybkich kroków żony i szarpanego chrzęstu dzwonka.

W domu nie liczył się zupełnie. Ze wzrostem społecznej aktywności żony rósł dystans między starszawym od życia oderwanym belfrem a bojownicą, walczącą zażarcie w obronie kobiet uwiedzionych, skrzywdzonych i porzuconych przez nikczemnych przedstawicieli płci brzydkiej. Profesor ponosił w pewnym stopniu konsekwencje tych poglądów. Aczkolwiek nie skrzywdził dotąd nikogo, mógł przecież jako mężczyzna dopuścić się wszelkiej podłości. Możliwości te tkwiły w nim w formie potencjalnej. Bronka dała im najpełniejszy wyraz w pewnej historycznej sprzeczce małżeńskiej, zakończonej diagnozą: „Właściwie powinienś być katem”.

Żebrowski powracał często w myślach do tej koncepcji. Kat kojarzył się w jego wyobraźni z pojęciem rosnącego draba w jaskrawo czerwonym ubraniu, wznoszącego nad głową ofiary błyszczącej w słońcu topór na oczach barwnego tłumu w średniowiecznych strojach. Z wrodzonym samokrytycyzmem stwierdzał, że do roli tej nie nadawał się zupełnie: był chuderlawy, krótkowzroczny, zrywanie kwiatów wydawało mu się przeciwne naturze. Bronka przeceniała stanowczo jego możliwości.

Zdawał sobie równocześnie sprawę, że klasyczne określenie „pod pantoflem” nie oddawało wiernie wypadku, który reprezentował. Życie Bronki płynęło obok, bujne, gorączkowe, niespokojne. Listonosz przynosił codzien stopy korespondencji: adresy dotyczyły żony. Raz po raz rozlegał się dzwonek. Jakieś paczki, wезwania na zebrania... On był sprzętem domowym, zjawiskiem nieszkodliwym, jak wielka szafa w przedpokoju lub pusty kredens w jadalni.

Wieczorami zasiadał samotnie i o spóźnionej porze zaczynał spożywać rozgotowaną brukselkę i wysuszoną pieczeń. Miłe mu było wówczas wszystko, co myśl odrywało bodaj na chwilę od nudy przewlekłego czekania: szcęk talerzy w kuchni, turkot przejeżdżającego wozu, plamy nawet zniekształcone na lśniącej powierzchni ceraty.

Stół nakryty był bowiem ceratą. Nie tyle dla oszczędności, ile jako wyraz poglądów Bronki, która w białym obrusie widziała symbol marnotrawienia czasu i pracy ludzkiej. Żebrowski cierpiał podwójnie. Błękitny szlaczek, imitujący ornamenty z tunik starożytnej Hellady, „grekiem” pospolicie zwany, raził go niedociągnięciami w proporcjach i farbkowym błękitem. Nie znośił przy tym dotknięcia do zimnej ceraty.

Był to zresztą jeden tylko z wielu szczegółów, sprzecznych z jego pojęciem domu. Brakło mu nie tylko widoku wywoskowanej świeżo posadzki, ale i sukien, które czekać powinny w przedpokoju na szanującego się pana domu, — a nawet zaniepokojonych spojrzeń służącej przynoszonych z zabłoconych butów na lśniąca podłogę, rezultat żmudnych wysiłków. Żebrowska zerwała z przesadami i na tym także odcinku i dlatego podłogę jadalni pokrywało niewyraźnej barwy linoleum w deseni naśladowający słoje dębu. Żebrowski uznawał celowość inwestycji, czuł się jednak nieswojo. Przy pierwszej okazji, z racji zbliżających się imienin żony wysunął nieśmiało propozycję kupna kilimu.

Wyznał, że z oszczędności na tytoniu zebrał na ten cel trochę pieniędzy.

Wiadomość ta rozpałała w Bronce święty ogień wyrzeczeń. Uznała z miejsca, że jedyną przyjemność sprawić jej może przekazanie oszczędności na fundusz wydawniczy Patronatu. Z kielimu można i należy zrezygnować.

— Nie rozumiem, czego ci właśnie brak — dowodziła rozżalona. Żyjemy wygodnie. Mamy wszystkie niezbędne sprzęty. Pomyśl tylko: człowiek inteligentny wyrwał się wreszcie z niewoli przesądów, zdobył na szersze spojrzenie, wyszedł z ciasnego kręgu domowej krzątaniny na szerokie gościńce świata. My, kobiety, walczymy o lepsze jutro, borykamy się z trudnościami, umiałymy zdobyć się na obcięcie włosów i reformę stroju, a tobie zachciewa się galganów! Pomyśl, jakież to niehigieniczne, jakież niezdrowe! Toż to, mówiąc szczerze, zbiorniki kurzu, przytułki dla mikrobow, rozsadniki epidemij. Sądziłam, że stworzyłam ci warunki, sprzyjające idealnie pracy umysłowej, którą, jak mówisz, lubisz się zajmować. Masz wszystko, czego człowiek rozsądny potrzebuje do życia. Czego ci jeszcze brak?

— Niczego — odpowiadał Żebrowski ponuro, spoglądając na brunatny sweter żony, pasiaste rolety w oknach i oszkloną serwantkę, w której zamiast rodzinnych szkielec i porcelany walały się smętnie zardzewiałe puszki do kwest ulicznych.

Brakło mu jednak właściwie bardzo wielu przedmiotów, których nazw, kształtu i celu nie mógłby nawet jasno określić. Chciał odgrodzić się od podwórza jakąś lekką firanką, serwantkę zapełniał w wyobraźni kruchymi porcelankami, w niszy kredensu stawiał bukiet barwnych kwiatów. W czasie długich godzin czekania na żonę, raz po raz kierował wzrok na pustą przestrzeń między drzwiami i kredensem, w którym to miejscu w szanującym się domu zwykły był w owe czasy wisieć duży zegar z wahadłem i biciem „wieżowym”.

Czasem, gdy głód dobrze dał mu się już we znaki a z kuchni dochodziły szczególnie obiecujące zapachy pieczeni lub smażonych kartofli, przemykał się przez korytarz, prosząc o „coś do przegryzienia”. Mógł, oczywiście, zadzwonić. Mógł zjeść kolację sam, we właściwej porze. Bronka miała mu stale za złe, że tego nie robi. Stanowisko jego było powodem niezliczonych sprzeczek. A przecież ludził się stale, że Bronka wróci lada chwila i że razem zasiądą do stołu, „jak ludzie”. Prócz tego — lubił zaglądać do kuchni.

Było tam jakoś zupełnie inaczej, ciepło i domowicie. Każdy szczegół nosił na sobie piętno dbałej kobiecej ręki. Ogień trzaskał wesoło pod blachą, kurki mosiężne błyszczały w ciepłym świetle lampy, ozdobionej abażurem z kolorowej bibułki. Półki kuchenne oklejone były pracowitymi wycinankami z papieru, których motywy i sposób wykonania świadczyły wyraźnie o penetracji wpływów z dalekiego Łowicza.

Na honorowym miejscu, nad stołem cykał hałaśliwie blaszany budzik, uwieńczony potężnym dzwonkiem i przyciągający oko postaciami dwu Tyrolczyków, piłujących wytrwale i bezskutecznie wielką kłodę drzewa na tle cyferblatu. Budzik był chlubą Łodzi: wygrała go na strażackiej loterii fantowej. Mawiała, że tykanie jego skraca dni czekania na dzieci, odwiedzające Włocławek regularnie w dni targowe, gdy opiekunka ich zjeżdżała spod Brześcia Kujawskiego i zjawiała się rankiem w kuchni Żebrowskich ze świeżym ładunkiem jaj, masła, sera i śmietany. Już w przeddzień ogarniała Łodzię nerwowe podniecenie. Meble ku-

chennie wyjeżdżały na środek, odbywały się generalne porządki, połączone z zalepianiem gipsem dziur mysich i walną batalią z „prusakami”, których trupy pływały po zalanej wrzątkiem podłodze. Lodzia twierdziła zawsze, że przychodzą przez wentylator od sąsiadów. Dlatego też zalepiała go starannie kawałkiem starej gazety, który systematycznie odklejał się po upływie kilku dni i żałośnie zwisał nad piecem. „Prusaki” pojawiały się znowu. Skrupulatne badania wykazały wreszcie „alibi” sąsiadów. Wentylator nie miał nie tylko połączenia z sąsiednim mieszkaniem, ale nawet z kanałem wentylacyjnym. Był tylko symbolem nowoczesnych porywów budowniczego, — składał się z efektywnej kratki i płytkiego zagłębienia w murze poza nią. Wtedy, wbrew logice, papier oderwano, a walka przeniosła się w dół, na teren podwórza, gdzie złe oko Łodzia zatrzymało się na starym drewnianym śmietniku. Odtąd datowała się wojna domowa z dozorcą, którego niechęć przeniosła się stopniowo także na Żebrowskich, od czasu zwłaszcza pewnego artykułu na temat problemu śmietników z punktu widzenia higieny osiedli miejskich, ogłoszonego przez Bronkę w „Gońcu Kujawskim”. Następstwem tego wystąpienia były z jednej strony — inspekcje posterunkowego i obowiązek skrapiania śmietnika karbolem, — z drugiej — akcja odwetuwa dozorczy, wyrażająca się zaostrzeniem regulaminu korzystania ze strychu.

Owego dnia w kuchni panował nastrój niecodzienny. Łodzia, zdyscyplinowana zazwyczaj i spokojna, siedziała na stołku pod oknem z groźną miną, obojętna na charakterystyczny zapach przypalającej się szarlotki. Gdy głowa Żebrowskiego wsunęła się przez uchylone drzwi, Łodzia wybuchnęła, jak bomba:

— Proszę pana, ja sobie chyba odejdę, bo już sił nie mam zreć się tak dalej z tym łobuzem. Doktorowa ma klucz od góry na każdą przepiórkę, pani komisarzowa — że to pieluchy musi suszyć. Nasza pani ma swoje zmartwienia, a czym ja w sobotę łóżka zaścielę, proszę pana? Kociół już pożyczyłam na jutro, Grzelakowa zamówiona do prania, a on mi mówi, że państwo Dudekowie klucza dotąd nie oddali. A od czego on jest? — jak miesiąc temu godzinę klucz przetrzymałam, to z pyskiem zaraz przyleciał. Psi jego obowiązek przysiąc i klucz w zębach przynieść.

W tej chwili dzwonek zabrzączał władczo trzy razy u drzwi wejściowych. Żebrowski zdążył tylko rzucić uspakajająco:

— Łodzia się złości niepotrzebnie, a Grzegorz pewno z kluczem właśnie przyszedł.

Głos jego nie miał w sobie przekonywującej pewności. Dozorca nie przychodziłby frontowymi drzwiami z kluczem od strychu. Nie przewidywał jednak najgorszego.

— Proszę pana — zagał zwawo Grzegorz — ja względem tego kawalera, co to niby na lekcje tu przychodzi. Nie moja sprawa, czego on się tu uczy, ale że szkodę robić na schodach potrafi, to potrafi. Całą „statuję”, co za nią pan Salzstein za ruskiego dzieścię rubli dał, w dryzg rozmalował, że do niczego niepodobna. Ja tego zmywał nie będę. Niech to pan gospodarz sam zobaczy. Ja tylko przyszedłem powiedzieć, że wiem, co się w domu święci, żeby się szczeniakiowi nie zdawało, że mu wszystko wolno.

Tu skłonił się oszczędnie i ruszył w dół schodów, nie czekając na odpowiedź. O kluczu nie było w ogóle mowy.

Żebrowski zawrócił do stołowego, nie patrząc na Łodzię. Nie mógł usiedzieć przy stole. Porwał się, zaczął chodzić po pokoju,

z rękoma założonymi do tyłu, od okna do pieca i z powrotem, krokiem szybkim i nerwowym.

Lodzia cierpiała samotnie w kuchni. Jak pamięć jej sięgała, pan nigdy nie robił czegoś podobnego. Kropla przepełniła czare goryczy.

Żebrowski chodził i chodził. Nie myślał jednak o represjach na Kaziu ani o rozprawie z dozorcą i właścicielem domu. Konstatował po prostu, że obrzydły mu do ostateczności i śmietnik na podwórzu i widok więzienny z okna i „statuja” na klatce schodowej. Solidaryzował się skrycie z Kaziem — sam zrobiłby to samo, gdyby wiek i pozycja społeczna nie stały na przeszkodzie. Myśl puszczona samopas błędziła w poszukiwaniu jakiegoś realnego wyjścia z przykrewnej sytuacji. Zmienić mieszkanie? — nowy dozorca z pewnością, a prawdopodobnie i nowa „statuja”. Mieszkanie bez dozorczy i sąsiadów, domek z ogródkiem, własny strych, własny śmietnik? Może i pies własny?

Psa tego zobaczył oczyma duszy. Był to lśniący czarny jamnik, o kłapiastych uszach i sentymentalnym spojrzeniu. Nagle uświadomił sobie, że pies istnieje. Że nazywa się Ciapek i że jest własnością Janickich. Janickich? — toż oni właśnie wyjeżdżają z Włocławka, opuszczając biały domek na Biskupiej. Toż przecież Baranowski szuka już lokatorów!

Myśl zaczęła pracować żywo. Nie chciał jednak polegać na pamięci.

Lodzię ogarnęło przerażenie. Pan wybiegł szybko z mieszkania, zatraskując głośno (tak!) drzwi wejściowe. Rzuciła się pośpiesznie do okna w stołowym. Z dołu nie dochodziły jednak odgłosy awantury. Żebrowski skręcił w prawo, kierując się, jak zwykle, w stronę Gimnazjum. Nie wszedł jednak w uliczkę, wiodącą do czerwonego gmachu szkolnego, lecz szedł szybko, biegł prawie, dalej.

Ściemniało się już na dobre i ulica, rojąca się przed chwilą od młodzieży, wracającej hurmem z klasztoru i z katedry z „majowego”, wyludniła się niemal zupełnie, jak to w porze wieczery. Zapalono latarnie uliczne, rzadko rozsiane, połyskujące zaledwie z daleka słabymi żarówkami w zapadającym mroku. Prawdą a Bogiem pociecha z nich była tylko w zimie, gdy bezlistne drzewa otwierały światu drogę ponad kałużami. Wiosną ponad latarniami wyrastały ciężkie gruzły lepkich pąków, z których ulewy majowe wymywały nocami listki lipowe, jasne, błyszczące, starannie unerwione, obrzeżone równiutkimi ząbeczkami. Latarnie traciły kontakt ze światem, przestały zaglądać do okien, sobie tylko świeciły i najbliższym gałązkom, jakimś wybranym listeczkom, okalającym jasną kulą zieleni błyszczącą pestkę żarówki.

Domek Janickich stał na zakręcie, przy ostatniej latarni. Od ulicy oddzielał go malutki ogródek, który w dzień przyciągać zwykł oczy czerwoną kulą szklaną umieszczoną na słupku, rabatami stokrotek i bratków i zielonymi sztachetkami. Wieczorem tonął w mroku, który wydawał się gęstszy i ciemniejszy, niż na chodniku przez kontrast ze światłem, bijącym z wnętrza domu. Żebrowski przeliczył okna. Było ich cztery, nie licząc małego górnego, oświetlającego korytarzyk przy wejściu. Domek nie był więc tak duży, jak obawiał się poprzednio. Mógł mieć najwyżej cztery pokoje — trzy raczej i kuchnię. I ogródek. Dwa nawet ogródki, kwiatowy przed domem i większy, warzywno-owocowy na tyłach zabudowań. Małe to wszystko było, oszczędnie zaprojektowane. Ale domek był „sam w sobie”, na uboczu, spokojny i ludziom przychylny.

Lampę w jadalni przerobiono na pewno z naftowej. Zwieszała się nad środkiem stołu na ciężkich łańcuchach, rzucając jasny krąg światła spod mlecznego szerokiego klosza. Jak kiedyś w Warszawie. Przed oczyma Żebrowskiego zmartwychwstał ze wszystkich szczegółami obraz tego, co było mu sercem domu: fragment białego obrusa, talerz drewniany, chleb na nim połyskliwy, ręce matki.

Tu działo się to samo, według odwiecznego rytuału. Chleb było widać, — dużo chleba —, parę bijącą kłębami z wazy i jasne główki dzieci. Pani Janicka rozlewała barszcz, raz po raz widać było mignięcia talerza poprzez gałązki bzu ustawionego w wazonie pod oknem.

Po dłuższej dopiero chwili Żebrowski złapał siebie na grzesznej czynności podglądania bliźnich. Ośmieszał się wobec przechodniów, wystając po ciemku przed cudzymi oknami. Wstydził się zawrócić. Nogi same poniosły go dalej, znanym szlakiem do końca uliczki, w głąb długiego podwórza. Tam także z okien biła łuna światła. Wszyscy, wszyscy dokoła siadali do wieczerzy, w kręgach jasnych światła, w szczękę łyżek i noży, w odorach smakowitego jada...

Zrezygnował z zobaczenia kolegi. Po książkę wstąpi kiedy indziej. Teraz — nie pora. Wracał spłoszony, drugą stroną ulicy, wzdłuż parkanów, jak pies przegnany, świadomy winy. Do domu nie spieszyło mu się zupełnie. Jakże to mawiała żona — „Nie rozumiem, czego ci właściwie brak...”

\* \* \*

Fakt, że Bronka aprobowała projekt przeprowadzki niemal bez wahania, zaskoczył i zdezorientował Żebrowskiego. Zwycięstwa odniesione bez walki kryją w sobie zawsze ziarno niepokoju, a łatwe triumfy nie należą do najzaszczytniejszych. Profesor przygotowywał się do walki, prowadził imaginacyjne dialogi, przekonywał, trwał twardo na stanowisku, obmyślał argumenty. A tu — obeszło się bez ich wytaczania, zgoda przyszła bez walki.

Czuł się głupio. W głębi świadomości nurtowało go stale podejrzenie, że — decydując się na zmianę mieszkania, wkracza na niebezpieczne tory łatwej mieszczańskiej egzystencji, że postępując egoistycznie i podstępnie, wciąga za sobą Bronkę, w której cenił przecież najgłębiej to właśnie, co pozornie drażniło go i niecierpliwilo: jej szczerą, czujną gotowość wyrzeczeń, instynkt wyuczania krzywdy i radość z niesienia pomocy.

Usnął dobrze po drugiej, solennie postanawiając, że rankiem wycofa propozycję — niech wszystko będzie po staremu. Spał źle, niespokojnie. Śniły mu się jakieś uliczki na przedmieściach, mrowiska ludzkie wśród straganów na targowisku, śnieg tający na chodnikach, ciemne wnętrza sklepików, szewc-staruszek skrzęcony nad kopytem, w żółtawym świetle naftówki... Przebudził się pełen wstydu i niesmaku, leżał z otwartymi oczyma, przebijając się wzrokiem przez mrok, zalegający dokoła.

Pokój wydał mu się większy i wyższy, niż w dzień, ściany pięły się w górę, okno — rozszerzone i rozciągnięte w poprzek, nie mieściło się w polu widzenia. Uszy miał pełne nieznośnego brzęku, zwielokrotnionego echem w ciszy najgłębszej nocy. Z trudem rozpoznał w tym dokuczliwym dźwięku tykanie własnego zegarka, położonego, jak co wieczora od tyłu lat, na krześle przy łóżku. Odrzucił koc, grzejący wprost nieznośnie, i starym nawykiem zaczęła powtarzać w pamięci liczbę  $\pi = 3,14159265358979323846264...$  Kiedyś pamiętał sto pierwszych cyfr po przecinku, wyuczył się



ich na postrach uczniom, a jak mawiał nic lepiej nie zabijało bezsenności. Dziś jednak niezawodny środek nie pomagał — na domiar złego ogarnęło go wrażenie przenikliwego zimna. Naciągnął koc z powrotem — i natychmiast zasnął.

Po chwili znalazł się na dnie dolinki w zwałach sypkiego piachu, tamującego kroki, wdzierającego się złośliwie do obuwia. Piął się w górę stromym zboczem, czepiając się obłych korzeni drzewa. Szyszki, tyle szyszek... Sosna bo rosła na ospysku, przycięta wiatrami, czerniejąca czeluścią dziupli... Jakże trudno dojść do niej, jak straszliwie, straszliwie daleko...

Zbudziły go, później niż zwykle, odgłosy przygotowań do śniadania i głos Bronki:

— Wstawaj, leniwcze. Toż musisz iść do Baranowskiego w sprawie domku. Lodzia mówi mi właśnie, że kandydaci stoją w ogonku i że trzeba się śpieszyć. W pokoju od frontu zrobię sobie gabinet do pracy, ściągnę maszynę do pisania i będę odwalala korespondencję Patronatu w domu.

Postanowiono, że z p. Baranowskim trzeba pomówić jak najprędzej, jeszcze dziś rano, w czasie dużej pauzy. Nie można już dłużej żyć w tych warunkach. Nie można zwlekać — trzeba przecież mieć swój własny, prawdziwy DOM.

*Stannore, październik 1943.*

HERMINIA NAGLEROWA

## C H L E B

„Kirpiec”, z którego budowano lepianki, wysychał i kruszył się od żaru słonecznego. W ścianie powstała więc szczelina, przez którą wpychało się światło. Z rana wyglądało to jak szklana przejrzysta tafla. W miarę przybywania godzin dnia, światło żółkło, pęczniało, stawało się ruchliwe od wirującego w nim pyłu. Jankowi wydawały się te iskierki pyłu podobne do małych muszek. Kiedy słońce przesunęło się na drugą ścianę domu, światło w szczelinie stawało się znowu nieruchomą taflą. Wraz ze zmierzchem tafla zniknęła.

Był to jakby zegar słoneczny Janka.

Matka ze starszym bratem Jędrkiem wychodziła o świcie do pracy w stepie. Zbierali się po ciemku, starając się zachować jak najciszej. Janek udawał, że śpi, toteż matka, nachylając się nad nim, mówiła uspokojona:

— Dobrze, że się nie obudził. Zdaje się, że dziś nie ma gorączki.

Janek słyszał, jak stawiała na ziemi obok jego pośłania kubek z przygotowaną wodą. Słyszał nawet, jak lekko otarła się kromka chleba o brzeg kubka. Westchnienie matki zdawało się być tylko głębokim oddechem. Nie patrząc wiedział, że robi nad nim znak krzyża. Ale Jędrzek naglił prawie już na głos:

— Chodźmy, bo dostaniemy najcięższe grabie.

Po wyjściu obojga, Janek natychmiast otwierał oczy. Przez kilka chwil patrzył w szare, mętne powietrze wypełniające izdebkę. To nie było zajmujące. Szczelina w ścianie ledwie zieleniała przed świtem.

— Nie ma jeszcze czwartej — stwierdzał Janek i znowu przykrywał powieki, nie żeby usnąć, tylko żeby sobie coś swojego wyobrazić.

Wyobrażenia brały się z byle czego. Czasem Janek wysnuwał je wprost z siebie samego, a czasem jakieś słowo rozwijało się i mnożyło w obrazy, Jędrrek powiedział: „grabie”. I zaraz wyobraził się Jankowi jasny, słoneczny dzień w Kaniówce, gdzie spędzał raz wakacje u swojego przyjaciela, Kazika. Byli właśnie na łące, na której ludzie grabili siano. Janek i Kazik leżeli pod kopiec. Zapach siana dymił jak kadzidło. Na blade błękitnym niebie płynęły obłoki srebrzone blaskiem słońca. Jaskółki latały nisko i skwir ich podobny był do zgrzytu noża po szkle.

— To na deszcz tak latają — powiedział Kazik. Janek spierał się, że deszczu nie będzie. Kazik nazwał go mieszcuchem. — Co takie „lwowskie dziecko” wie o tych sprawach! — Pokłócili się, zaperzyli na siebie, ale potem zgodnie poszli grabić siano. Grabie były ciężkie, a kije sięgały ponad głowy chłopców.

Działo się to dawno, chyba ze dwa lata temu. Teraz Janek nie gniewał się już na przyjaciela. Pełny troski myślał: — Gdzie teraz jest Kazik? Może i jego tak samo wywieźli aż tu, do Kazachstanu? — Jędrrek obliczył raz, że do Lwowa jest stąd więcej niż pięć tysięcy kilometrów. Pięć tysięcy to duża cyfra. Pięć tysięcy — to bardzo daleko.

Janek znał dobrze to dziwne uczucie, które zrazu tłucze się w sercu urywanym łomotem, aby następnie długo nękać żalem, który wszystko ogarnia i niczego nie dosięga. Uczucie to nazywa się — tęsknotą i jest bardzo podobne do głodu, którego nie ma czym nasycić.

Nie otwierając oczu, sięgnął Janek po chleb i wodę. Posilał się „na ślepo”. Jadł powoli, odgryzając małe kęski. W ten sposób wydawało się, że chleba jest dużo. Można też było wmówić sobie, że chleb jest posmarowany masłem. Smak wody był mdły, ale na upartego można było wyobrazić sobie, że to nie woda, tylko herbata, kakao, mleko.

Zjadł całą porcję chleba i wypił cały kubek wody. Powinien był podzielić, żeby trochę teraz zjeść, a trochę zostawić na później. Matka zawsze nakazywała: — Nie od razu, Janku, bo potem przez cały dzień będziesz głodny. — Ale czy to nie wszystko jedno? I teraz, po tym śniadaniu był głodny. Zupę jaglaną albo jęczmienną ugotuje matka dopiero wieczorem, kiedy przyjdzie z pracy. Wolałby kaszę na gęsto, kopiało nałożoną na talerz.

Myślenie o tym było dokuczliwe i w jakiś sposób obrażało. Jędrrek, który nie dobierał słów, powiedział raz: — Ciągłe tu człowiek tylko myśli o żarciu. — A matka martwiła się: — Czym ja was nakarmię? Janek taki chudy. Malaria go zjada. Jędrrek rośnie i ciężko pracuje. — I matka myślała ciągle o „żarciu”, bo w worku było kaszy już tylko na dzień. Mały chlebek dzieliła sprawiedliwie na trzy porcje, wycinając nożem figurę podobną do „Y”. Jej spracowane, opalone ręce były tak brazowe jak skórka chleba. Żył na rękach także przypominały literę „Y”. Jędrrek tylko udawał, że nie patrzył łapczywie na chleb. Czasem mówiła matka: — Zjedz, Jędrku, bo ja jakoś nie mam apetytu. — Jędrrek ociągał się, nie chciał, ale na ostatku zjadał. Janek nie

byłby się nikomu przyznał do tego, że patrząc na Jędrka zjadającego dodatkową porcję, przestawał go na moment lubić.

Matka mówiła wtedy ni stąd ni zowąd: — Gdyby nie Jędrak, nie dałabym sobie rady. — I tak było naprawdę. Zaradny, mocny, zdrowy potrafił Jędrak wszystko zrobić. Stoły zmajstrował z deseczek, które skądś wy dostał, w stepie zbierał suche badyle do palenia, z „aryku”, płynącego o pół kilometra stąd, przynosił wodę. A raz przyniósł Jankowi kawałek cukru...

Janek niespostrzeżenie znowu zaczął myśleć o tym, że zjadłby dużo cukru i cały bochenek chleba. Gdyby tak na dzień, każdemu po bochenku, możeby starczyło, może nie byłiby głodni. Nie raz, jak mu głód już bardzo dokuczył, połykał proszek chininy razem z papierkiem. Robił to tak: zanurzał papierek w wodę, potem skręcał w kulkę, a jak kulka zatrzymywała się w przełyku, zapijał wodą. Nie czuł wtedy gorzkiego smaku proszka i miał uczucie, że trochę pozbył się czczości w żołądku. Ale chininy nie dostawał już od dłuższego czasu od „mediestry”. Już w ogóle nie przychodziła do Janka. Kiedy była ostatni raz, poradziła mu, żeby sam z siebie wyzdrowiał.

Jędrak wybrał się więc po chininę do miasteczka, które było odległe o 30 kilometrów i tylko stracił dwa „trudodni”, bo lekarstwa nie dostał w aptece. — Nie ma i już nie będzie — powiedział aptekarz. Jędrak oświadczył wtedy Jankowi ponurym głosem: — Postaraj się wyzdrowieć, bo przecież na zawsze tu nie zostaniemy. — Janek doskonale rozumiał Jędrka. Bo, żeby nie wiedzieć co, wróć do Polski, do Lwowa i znowu mieszkać będą w tym samym mieszkaniu przy ulicy Nabelaka. Będą tak samo grać w piłkę albo „kiczkę” na placu. I wszystko będzie tak, jak było. Bo tamto istnieje naprawdę, a to tutaj — śni się tylko. Tamto czeka na przebudzenie się, na otwarcie oczu.

Janek otworzył więc oczy, ale „tamto” przestało nawet snuć się w wyobrażeniu, bo oczy dojrzały szare ściany lepianki i wsunięta przez szczelinę taflę światła słonecznego.

— Siódma — powiedział Janek głośno.

W stepie zaryczał płacziwie osiołek, kogut zapiął gdzieś blisko. Zaraz też usłyszał Janek człapiące kroki starej Kazaczki, do której należał osiołek, kogut i lepianka. Z początku, kiedy wynajęli tę izdebkę, Janek bał się czarnej staruchy. Ale z czasem przyzwyczał się do jej płaskiej twarzy i do chrapliwego brzmienia jej głosu. Wchodząc siadała od razu na progu. Wyglądała wtedy jak na obrazie w tym swoim szafirowym, spłowiełym chalcie i w białej chustce na głowie. Futryny drzwi były niby ramą, zamykającą płaski krajobraz — step popielaty, chropawy od wyschłych ostów, ścielących się daleko aż do podnóża „sopek”. Jędrak mówił, że te niskie pagórki są odnogami gór Altajskich. Sopki rysowały się falistą linią pod niebem ciemno błękitnym.

Kazaczka mówiła tylko trzy zrozumiałe wyrazy: chleb, lepioszki, pierożki. Brzmiało to jak wiersz. Niekiedy śpiewała jakąś melodię, podobną do lamentu. A potem znowu: chleb, lepioszki, pierożki... Na jej chudej, pomarszczonej szyi widać było wyraźnie ruch przełykania śliny. Janek mimo woli tak samo łykał ślinę. Czasem dawała mu kazaczka garść ziarenek słonecznika, uśmiechając się przy tym porozumiewawczo. A raz przyniosła mu cały słonecznik z żółtymi listkami kwiatu i z meszkiem żółtych pręcików na tarczy środku. Wyglądało to ładnie, ale ziarnka, białe jeszcze i puste, nie były jadalne.

I dziś weszła kazaczka do izby, aby powiedzieć to samo: chleb, lepioszki, pierożki. Potem prześpiewała swój lament i odeszła. Dzień dłużyl się Jankowi. Mógłby wprawdzie poczytać trochę w czytance „Dawniej i dziś”, nie wolno mu jednak było wyjmować jej z walizki zamkniętej na klucz. Od czasu do czasu przychodził bowiem „predsiedatiel”, aby szperać po wszystkich kątach.

Oto właśnie stanął w drzwiach, wysoki, mocno ściśnięty w pasie rzemieniem. Kaszkiet miał zsunięty od czoła tak, że czarny kędziorek w kształcie obwarzanka wysuwał się spod daszka. Buty predsiedatiela były jak zawsze zakurzone. Odrazu dostrzegł na skrzynce zapaliki i zapalił papierosa, skręconego z papieru gazetowego. Pociągnąwszy kilka razy, dmuchnął dymem na izbę. Po czym przemówił gniewnie: — Dlaczego się wylegujesz, dlaczego nie idziesz w step na robotę? — Podeszedłszy blisko do postłania Janka, krzyknął: — Dawaj wstawać! — i ściągnął z Janka koc.

Janek wiedział wprawdzie, że jest chudy, ale dopiero teraz, kiedy i predsiedatiel widział jego nogi cienkie i sine, wystające kolana i kości biodrowe, doznał uczucia rozpaczyny i wstydu. Leżąc na ziemi, na tym swoim postłaniu, które właściwie było barłogiem, nie potrafił opanować tych uczuć, które mieszając się z sobą, zamieniły się w złość.

— Nie odkrywaj! — krzyknął.

Predsiedatiel splunął na bok i lekceważąco machnął ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: — Nic już z ciebie nie będzie.

Janek krzyczał bez opamiętania: — Będę zdrowy, będę silny! Piechotą pójdę do Polski...

Urwał, bo czuł, że zaraz się rozplacze. Naciągnął więc tylko koc na głowę i tak w ciemnicy odrazu się uspokoił. Długi czas leżał jak martwy. Nie słyszał nawet, kiedy predsiedatiel wyszedł z izby. Pod kocem robiło mu się coraz bardziej duszno. — Mam gorączkę — przeraził się. Byle tylko nie zaczęło go trząść! Taka głupia choroba, że trzęsie, że zęby dzwonią. A po ataku serce takie cichutkie i omdlałe. Wtedy nie ma się już żadnych pragnień i wtedy, gdyby przyszła ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso...

Janek odrzucił koc z twarzy. Predsiedatiel wychodząc zamknął za sobą drzwi. W izbie było więc tak samo duszno. W południe rozgrzewała się lepianka i wtedy zaczynała Jankowi dokuczać pragnienie. Ale lepiej było nie zagłębiać się zbyt w te rozważania, bo wtedy zdawało się, że wysychanie śliny, że skręcanie się jelit i kurczenie żołądka jest nie do zniesienia. Należy raczej mieć silną wolę i wyobrazić sobie, że jest wędrowcem w pustyni. Janek czytał raz w jakiejś zajmującej książce, że pewien wędrowiec przez kilka dni nie pił wody. I wytrzymał. W książce tej było także o zjawisku w pustyni — fata morgana. — Przydałoby się i tu takie zjawisko. Dobrze byłoby choć przez godzinę łudzić się, że „zbliża się zbawienie”. Bo tak właśnie było w tej książce napisane: „zbliża się zbawienie”.

Janek przypomniał sobie, że ma tu przecież takie zbawienie, nawet wcale nie ułudne, tylko rzeczywiste. Było to pudełko ze skarbami. Ilekroć zaglądał do pudełka, zapominał o nekającym go głodzie. Przechowywał bowiem w pudełeczku srebrną dwuzłotówkę, guzik z orzełkiem, kolorowe ołówki, muszelki uzbierane w piasku na Helu i kalendarzyk uczniowski. W kalendarzyku — mapa Polski, cała Polska i skrawki sąsiadujących z nią krajów. Była więc Rumunia, dokąd jeszcze w ubiegłym roku po-

szedł ojciec Janka. Była i Rosja, do której jechali w wagonie towarowym. Przez miesiąc jechali do tego Kazachstanu, którego nie było na mapie, bo to już Azja. Janek nie umiał wtedy pojąć wielu rzeczy i nie był jeszcze przyzwyczajony do głodu. Żalił się, nawet płakał. Bo już w wagonie zaczęło się z tym głodem, z tym wydzielaniem chleba, którego na końcu podróży wreszcie zabrakło. W wagonie umarło dwoje dzieci i jeden starszy pan. Z głodu.

Mały kalendarzyk w zielonej ceratowej okładce zawierał jednak prócz mapy także czas miniony i czas przyszły. Do 1 września 1940-go roku. Był to przecież kalendarzyk szkolny na rok 1939/40. Niektóre dni były podkreślone ołówkiem na znak, że coś ważnego w tych dniach się stało. Więc właśnie 1 września 1939 r. jako dzień wybuchu wojny, 22 września — wejście czerwonej armii do Lwowa. 10 stycznia — ojciec poszedł z domu, aby przejść granicę. 13 kwietnia — wywiezienie do Rosji. 10 maja — przyjazd do Kazachstanu, w step. A teraz był już czerwiec. „Czerwiec ma trzydzieści dni” — czytał Janek. W czerwcu — imieniny Janka. Pojutrze.

— To nie ma tutaj znaczenia — skarcił się Janek, bo już zaczynał marzyć, jak to zwykł czynić i ubiegłego roku i przez wszystkie lata wstecz. Zawsze wolno mu było przed imieninami „coś sobie wymarzyć” i czegoś „pragnąć”. Powierzał te pragnienia rodzicom i jeżeli nie były zbyt dziwaczne, spełniały się w formie upominków jeżeli imeninowych.

Janek uśmiechnął się żałośnie i jeszcze raz powtórzył: — To nie ma tutaj znaczenia. — Ale gdyby tak matka zapytała: — Co ci kupić na imieniny? — Nie zapyta, ale gdyby... Janek odrazu „wymarzył” sobie i odrazu wiedział, czego „pragnie”. Oto, żeby raz jeden, w dzień swoich imienin mieć cały bochenek chleba dla siebie! Raz jeden!

Pomyślawszy o tym, zawstydził się, że już nic innego nie pragnie, że właśnie tak, jak mówił Jędrak — o niczym innym, tylko o jedzeniu... Nic jednak nie mógł na to poradzić, że nawet skarby w pudełeczku nie odwiodły go dziś od tej natrętnej myśli. W istocie były jak owa fata morgana, która, łudząc, nie zapobiega cierpieniu wędrowca.

Głód nie tylko ściągał boleśnie żołądek, ale rozchodził się po całym ciele mrowiącym uczuciem chłodu. Janek postanowił więc wstać i wyjść w step. Pójdzie naprzeciw matce i bratu. Po drodze narwie dzikiego czosnku i naje się do syta.

Step, czerwieniąc w zachodnim słońcu, był jakby zasypywany jarzącym się węglem. Na niebie gorzały płomieniste smugi, a wśród nich stało ogromne słońce — krąg wypełniony ogniem. Wprędce jednak „sopki” połknęły słońce i zaraz też siny zmierzch przeciągnął się po stepie. Janek szedł zrazu dzielnie. W duchu postanowił, że to będzie jakby zaprawa aż do tej chwili, kiedy ruszą w daleką drogę. Wnet jednak poczuł się zbyt ciężki. Chude nogi nie mogły go nieść. Nawet żołądek, choć pusty, zdawał się ciężać. Trzeba było usiąść i odpocząć, a przecież nie uszedł jeszcze pięćdziesięciu kroków. Zapach piolunu odurzał i wnet też zaczęła Jankowi ciężać głowa. Coś jak sen zmaciło myśli chłopca. I gdyby nie ukąszenia komarów, mógłby tak pogrążyć się w błogości bezsily i omdlenia.

Opędzając się od komarów, zawrócił do domu. Szedł długo, zataczając się, padając. W ciemnej już izbie przyznał się sam przed sobą do swojej klęski: nie miał sił. Nic innego już się nie stanie, nic innego... Położy się na swoim postaniu, a kiedy przyjdzie ta chwila, że choćby pieszo, choćby boso — zostanie tu sam...

Po policzkach Janka ciekły bezwiednie łzy. Nie ocierał twarzy. Łzy wpływały do ust i słony ich smak jakby uśmierzał głód i łaknienie. Nagle wstrząsnęła Jankiem myśl: — Jem samego siebie, bo przecież łzy są moje, łzy to ja. — Mógłby być krzyczeć z przerażenia, ale bał się teraz siebie i swojego głosu.

Tak doczekał przyścia matki i brata. Jędrak zaświeceł lampę, zakrzętnął się przy rozpalaniu ognia pod kuchnią z kamieni. Matka pośpiesznie przygotowała garnek z wodą, którą zasypała garścią krup jaglanych. Kiedy jedli wieczerzę i matka podzieliła już chleb na porcje, Jędrak odezwał się swoim zwyczajem trochę burkliwie: — Pojutrze będą kluski na mleku. — Janek wiedział wprawdzie jaki to dzień będzie pojutrze, ale nie przyznał się, że pamiętał o swoich imieninach. Powiedział tylko: — Skąd dostaniesz mleka? — Jędrak zaśmiał się: — To już moja rzecz. Ty pewnie myślisz, że krowie, więc ci odrazu powiem, że kozie. Może ci nie będzie smakowało? Co?

Matka odezwała się cicho: — Nie dokuczaj mu, Jędrku, przecież i tak nam nie wesoło. — Zamilkła na chwilę i znowu: — Nie wesoło nam. I sama nie wiem, jak ci to powiedzieć, Janku, bo tak teraz inaczej niż kiedyś. Pojutrze twoje imieniny. Chciałabym, żebyś mi powiedział, co ci...

Nie dokończyła. Ale Janek prędko, jakby się bał, że inaczej tego nie wypowie, wyrecytował: — Chciałbym żebyś mi dała cały bochenek chleba. Żebym miał cały bochenek dla siebie samego.

Matka milczała. Nawet Jędrak nic nie powiedział. Jankowi dopiero teraz przyszło na myśl, że matka pewno nie ma pieniędzy na ten chleb. Więc też zaczął wszystko obracać w żart. Że tak namyślnie powiedział o chlebie, że tylko dlatego, żeby drażnić się z Jędrkiem.

— Nie — nie — zaprzeczyła matka i wcale nie można było zrozumieć, czy kupi ten chleb, czy też nie.

Janek przez cały następny dzień odpędzał „marzenie” o chlebie, jak złą osę. Ale kiedy był już tak głodny, że prawie tracił przytomność, jawił mu się okrągły, wypieczony bochenek razowca. Była to jednak tylko — fata morgana. Jak wędrowiec przez pustynię, tak wędrował Janek przez długie godziny dnia. Bochenek chleba zjawiał się, zbliżał. Czuł jego zapach, wyobrażał sobie jego smak. Wtedy znikał.

Raz zdawało się Jankowi, że trzymał już chleb mocno w rękach. Teraz już mu się nie wymknie. I nóż miał w ręku. Ten sam, którym matka krajała chleb na trzy części. Więc i on tak samo — na trzy części, sprawiedliwie. Uważnie wycinał na skórcie chleba figurę, podobną do litery „Y”. Dla matki, dla Jędrka, dla siebie. Widział nawet, jak biorą swoje porcje, jak je zjadają ze smakiem.

Radość, jaką z tego odczuwał Janek, na chwilę wybiła go z nieprzytomności. Powiedział szeptem, w którym brzmiała rozpacz: — Nie ma, chcę...

Potem, gdy przyszli ze stepu, przebudził się na krótko. Na jawie i przytomnie ujął rękami chleb. Był cały, był dla niego.

Matka mówiła: — Daję ci go dziś w wigilię imienin, bo świeży. Poprosił o nóż. Głos jego był tak cichy, że matka musiała uklęknąć przy nim i zbliżyć twarz do jego twarzy. Zapytała trwożnie: — Co mówisz, Janku? — Powtórzył: — Nóż.

Ale nie miał siły podzielić chleba. Nóż wypadł mu z ręki. Jeszcze tylko szepnął: — Podzielić — na trzy — części — dla ciebie — dla Jędrka i dla... Słowa „mnie” już nie wypowiedział. Ogarnęła go ciemność i cisza.

## S. S. „BIELSK“, STATEK Z CHARAKTEREM

## 1.

W dawnych czasach (lecz znów nie tak bardzo dawnych) statki posiadały duszę. Były to dla marynarzy wyraźne osobowości, nie mniej żywe niż inne żywe istoty, tylko że osobowości potężne. Również i sami marynarze byli wtedy pełniejszymi niż dziś ludźmi, zdolnymi do żarliwej wiary lub straszliwego przekleństwa.

Wiek dziewiętnasty odebrał marynarzom wiarę a statkom duszę. Żelazo, para i elektryczność, które gdzie indziej tyle dobra wyświadczyły ludzkości, tu poczyniły nielada spustoszenie. Stłumiły rozmach marynarzy, zgasiły barwę mórz, wyjałowiły statki. W tym materialistycznym zdzieraniu uroku ludzkość nie tylko wyrządzała krzywdę rzeczom i żywiołom, lecz krzywdziła i siebie samą. Morzu nie można odbierać czaru, jak kwiatom nie można odbierać zapachu.

Toteż gdy pod koniec owego dziewiętnastego wieku pojawił się wielki pisarz i żeglarz, Słowianin, oddający morzu od nowa odwieczną jego duszę, zapomnianą przez ludzi, Józef Conrad Korzeniowski stał się jakby objawieniem, i uwierzył jemu cały świat, a szczególnie świat angielskich marynarzy. „Tkwi ironia w tym wyobrażeniu, że to Polakowi było zarezerwowane, by Anglikom wytłumaczyć morze”, pisał o nim wytrawny znawca spraw morskich, Geoffrey Rawson, w swym epokowym dziele: „Ships and Seamen”.

## 2.

Jeżeli jest w tym prawda, że statki posiadają duszę i nie są martwą tylko konstrukcją żelazną, to dziwne dzieje s.s. „Bielska” mogłyby nastąpić okazji do różnych ciekawych domysłów. I jeżeli przyjąć, że jakiś statek jest żywą istotą o wrażliwej, kapryśnej i przekornej duszy, to statek ów musiałby zachowywać się właśnie tak, jak zachowywał się „Bielsk” w ciągu całego, dziewięć-letniego swego życia.

Był to udany ze wszech miar parowiec 1500-tonowy, pasażersko-towarowy, zbudowany przez stocznnię duńską według planów polskich i spuszczonej na wodę w roku 1932. Przeznaczony na północne rejsy bałtyckie, gdzie zimą morze często zamara, „Bielsk” miał kadłub łamacza lodu i nasuwał na myśl bizona o tęgiej pierśi, przebijającej się wśród gęstwiny kier. Doskonałe i niezawodne maszyny mogły wyciągnąć szybkość 12 węzłów, co później przydało się nieźle w krytycznych chwilach jego żywota. Wszystkie urządzenia statku były celowe i wysmienite: prawdziwi marynarze, którzy na nim jeździli, nigdy nie szczędzili mu ciepłych słów uznania. Również mile wspominali o nim pasażerowie owych kilku kabin, cóż, kiedy pasażerów nie zawsze było wielu. Były nawet czarne rejsy, gdy pasażerów nie było wcale: stronili od statku jak od ognia, unikali go jak czarta.

Duńczycy to naród uczciwy, lecz konserwatywny i nieufny. W czasach, gdy budowano „Bielsk”, nie dowierzano jeszcze Polakom jako marynarzom. Zapewne podczas budowy statku ścianki jego musiały nasłuchiwać się niejednej ciętej kpiny pod adre-

sem przysłych jego marynarzy, nasiąkając fluidem złego przecucia i zgryźliwością uprzedzeń.

Statki często bywały w oporze przeciw człowiekowi. Lecz rzadko w dziejach żeglugi walkę tę można było obserwować tak wyraziście i śledzić tak dokładnie jak w uderzających perypetiach „Bielska”. W tym wzajemnym ścieraniu się sił — tu statku, tam kapitana — człowiek musiał bezustannie i od nowa składać dowody swej wartości. „Bielsk” z nielitościwą konsekwencją kreślił diagramy losów ludzkich i słabych kapitanów niszczył, dzielnych uznawał, mocnych się bał.

Statek, który w roku 1932 rozpoczął swą karierę, wpływając do portu w Gdyni, miał w sobie coś z bystrego wierzchowca: był wnikliwym psychologiem i nieubłaganym złołnikiem w stosunku do tych, co na niego wchodzili.

### 3.

W owych latach Polska niewiele posiadała własnych marynarzy i musiała posługiwać się ludzką spuścizną, nie zawsze wyborową, po swych byłych zaborcach.

M. był Rosjaninem, synem dygnitarza z carskich czasów, wychowanym w byłej Kongresówce i władającym znakomicie językiem polskim. W okresie Wielkiej Wojny służył jako oficer w rosyjskiej marynarce wojennej, z której wypędziła go do Polski rewolucja bolszewicka.

Gdy powstawały załóżki polskiej żeglugi handlowej, M. zgłosił się około 1927 r. do współpracy i przyjęty, rozpoczął ją jako drugi oficer na jednym z towarowych statków. Awansował szybko, gdyż był miłym człowiekiem i wyrobionym towarzyszem szarmantem. Wielu wycieczkowiczów na Hel zachwycało się układnym kapitanem stateczku, noszącym imię jednej z hoźych cór Marszałka. Kapitanem był M., lecz potem, już jako kapitanowi innego, większego statku, pośliznęła mu się noga. Plotka stugębna łączyła jego nazwisko z zatoką Botnicką i z brzydką przygodą powierzonego mu statku, po której M., niepyszny, osiadł cicho na lądzie.

Był to dusza-człowiek, owa przysłowiowa, rosyjska, szeroka dusza. Inteligentny, wymowny, gładki, przy tym o pięknej postawie męskiej, lecz równocześnie, pomimo tych pozorów, miękki i, jak tyłu innych rozbitków z carskiej Rosji, wewnątrznie zdumiewająco słaby. Mimo to przyrodzoną swą gładkością umiał brać ludzi za serca i budzić w nich niezwykle do siebie zaufanie. Więc gdy afera botnicka poszła nieco w niepamięć a wśród armatorów powstała konieczność wyszukania kapitana na objęcie nowego statku, spuszczono go dopiero na wodę s.s. „Bielska”, wybór padł na kapitana M.

Trudno sobie wyobrazić większą sprzeczność: tam statek, silny jak bizon, podjudzony jak tur, jak gdyby zaczepny szyderstwem duńskich robotników, jak gdyby przepojony ich poczuciem wyższości, — tu rozlewny, zamaszysty, miękki, rosyjski człowiek. Podłoże konfliktu było gotowe.

W sześć tygodni później „Bielsk”, idąc swym ustalonym rejsem Gdynia — Helsinki, znalazł się na wodach fińskich. Panowała silna śnieżycyca, trudno było utrzymać się na kursie. Pod wieczór nastąpiła katastrofa: statek wpadł na podwodną skałę i ugrzązł. Kapitan zaklinał się później, że to nie z jego winy. Mało mu to pomogło; „Bielsk” i morze pozbyły go się raz na zawsze. A chociaż statek wyszedł z tarapatów obronną ręką, armatorzy wybulić musieli sporo za jego ratunek i reperacje.



Ludzie z załogi twierdzili, że w czasie wypadku słyszeli w olinowaniu, wśród poświstu wichru, wyraźne chichoty i urągliwe okrzyki duńskie.

4.

Drugi kapitan s.s. „Bielska”, Z., był rzucającym się w oczy przeciwieństwem pierwszego. Niski, krępy, żywy, głośny, szorstki, muskularny, typ męsko-brzydkiego boksera o wklęsniętym nosie. Na widok jego fizycznej siły mówiło się o nim: chodząca energia.

Jego dał Polsce drugi sąsiad, zachodni, jakkolwiek Z. rodził się Polakiem. Lecz wszystko, czym był i co posiadał, zawdzięczał Niemcom. Pływał w niemieckiej flocie handlowej jako marynarz, gdy Anglicy w czasie Wielkiej Wojny wzięli go do niewoli i umieścili na wyspie Man. Tam przeszedł kurs nawigacyjny. Po wojnie pływał nadal na niemieckich statkach, najpierw jako marynarz, potem jako bosman. Później uzyskał dyplom porucznika żeglugi wielkiej. Służąc wciąż Niemcom, awansował jako oficer na statkach linii Hamburg — Ameryka, a w roku 1928 złożył u nich egzamin na kapitana żeglugi wielkiej. W dwa lata później przybył do Polski.

Przybył w aureoli zagranicznej służby, tryskającej pewnością siebie i niemieckiego dyplomu, więc przyjęto go w Gdyni z otwartymi ramionami. Powierzono mu funkcję pierwszego oficera na statku pasażerskim i przyrzeczono szybkie awanse. Uznanie i zaszczyty stały przed nim otworem, lecz, niestety, któregoś dnia w tym locie wzwyż coś nagle a obmierzle zgrzytnęło: gdy Z. zastępował raz kapitana na jednym z rejsów między Gdynią a Nowym Yorkiem, pech kazał mu posadzić statek paskudnie na mieliźnie w pobliżu Kopenhagi. Ów zgrzyt zwichnął mu karierę, wyśadzając i jego, Z., z kolei na mieliznę.

Z. dopiero przy bliższym poznaniu odkrywał, mimo woli, swe braki. Okazywało się, że matka-przyroda obdarzyła go co prawda imponującą krzepą w mięśniach i zadzierzystem wyglądem, lecz poskąpiła mu oleju w głowie. Po prostu zewnętrznym znamiątkiem tężyzny nie odpowiadał mózg. Gdynia w owe czasy wzięła ten mózg na języki i tak z niego sobie dworowała: Z. posadził statek na mieliznie w drodze do Nowego Yorku, gdyż w pewnym miejscu, idąc w kierunku północnym, powinien był wziąć kurs na lewo, czego nie zrobił. Plotka gdyńska wymyśliła, że gdy statek w drodze powrotnej z Ameryki zbliżał się do tego samego miejsca, idąc tym razem oczywiście w kierunku południowym, Z., pamiętając poprzednią omyłkę, teraz wziął kurs na lewo — i zdziwił się, że znowu wpadł na tę samą mieliznę.

Była to naturalnie „lipa”, zmyślona przez jego kolegów, jednak charakteryzująca go należycie. Co wszakże najbardziej w nim uderzało, to urok, jaki mimo wszystko roztaczał. Jego walory zewnętrzne i fanfaronada nastrożonej siły brały ludzi wciąż na lep, nawet notorycznych lisów.

Armatorzy s.s. „Bielska”, po smutnym doświadczeniu z miękkim kapitanem M., dość mieli ślamazarności. Szukali teraz energii, wydajności, męskości, pięści. Wzrok ich padł na szeroką postać Z. Niedługo się zastanawiali i Z. został kapitanem „Bielska”.

Nikt wówczas nie przewidywał, ile w tej decyzji było lekkomyślnego wyzwania losu. „Bielsk” był przecież organizmem o nieprzebląganej logice, notował z rygorem zegarka każdy objaw słabości przeciwnika i działał jak mściwa, drapieżna istota. Brutal-

na brawura Z., która w Niemczech mogła uchodzić za cnotę, w Polsce rzucać zasłonę dymną, tu rozwiewała się w nicość.

W marcu 1933, akurat w rok po przygodzie na fińskich wodach, „Bielsk” opuszczał ujście rzeki Łaby. Po zdaniu pilota przy latarniowcu Elbe 2 kapitan Z. przeszedł zaraz na lewą stronę farwateru, nie wiadomo dlaczego, gdyż należało kontynuować kurs po prawej stronie. Z morza, naprzeciw, wchodził właśnie inny statek, który, trzymając się swej przepisowej strony, znalazł się w tym samym co „Bielsk” farwaterze. Statki mogły wzajemnie wyminąć się tylko przy zachowaniu największej ostrożności.

Lecz w tym krytycznym momencie, jak na złość, z komina „Bielska” buchnęły gęste kłęby dymu i powiały w kierunku zbliżającego się statku, zakrywając jego widok. Niezwykłość tego zjawiska, jakby niemal czarów, zaparła ludziom oddech. Gdy w chwilę później statki się zobaczyły, było za późno: dziób tamtego uderzył w burtę „Bielska” tuż pod mostkiem, na którym stał ogłupiały kapitan Z. Zatrzeszczało, wgięły się płyty burty, porobiły się dziury, wpadła woda do luk. Stocznia w Antwerpii miała huk roboty przy naprawie.

Zdarzenie to, niestety, nie posłużyło ludziom za przestrożę i kapitan Z. pozostał nadal na „Bielsku”. Więc znowu nastąpiła katastrofa, i znowu akurat w rok później, w marcu 1934 (wszystkie wypadki „Bielska” działy się w marcu, także jego śmierć).

Była noc u wybrzeży fińskich, trzaskający mróz. Powierzchnię morza pokrywała gęsta kasza lodowa. „Bielsk” postępował w odległości pół mili za fińskim łamaczem lodu, który prowadził go przez okolicę, najeżoną rafami. W pobliżu latarni Grahara łamacz lodu skręcił na lewo, dając o tym dwukrotny sygnał syreną. „Bielsk” dążył dalej za nim w pierwotnym kierunku, lecz nie doszedłszy do miejsca skrzyżowania, zboczył przedwcześnie w lewo, jak gdyby chcąc skrócić sobie drogę. Co skłoniło kapitana Z. do tak ryzykownego manewru, nie wiadomo. Zła orientacja? Lekko-myślność? Zanik czujności?

Nagle statek zadrażał, podniósł się i zatrzymał. Zderzył się z podwodną skałą. Rozdarł sobie dno i wnet w maszynowni pojawiła się woda, szybko przybierająca. Pasażerów ratowano do szalupa. Po dziesięciu minutach woda sięgała już szczytów maszyn, a statek przechylał się coraz groźniej w prawo i w lewo, wśród zgrzytów i łoskotu. Lecz nie zatonął. Ostał się na skale, z której ściągneli go później ratownicy.

„Bielsk” ocalał, lecz kapitan Z., pobity teraz na dobre, poszedł na dziady.

## 5.

Trzecim kapitanem s.s. „Bielska” był marynarz, również jak Z., wychowany w marynarce niemieckiej. Lecz Polak duszą i ciałem. Kapitan Czarny. Na długo przed Wielką Wojną, bo od roku 1909, pływał już na statkach handlowych, a w czasie wojny zaciągnięty do niemieckiej marynarki wojennej, dosłużył się stopnia porucznika. Lecz natychmiast po ukończeniu wojny wrócił do Polski, biorąc udział w walkach przeciw Niemcom i Rosjanom. W 1919 był komendantem posterunku polskiej marynarki wojennej we Włocławku; w 1920 szedł z Hallerem do morza, a w kilka miesięcy później wyróżnił się pięknym wyczynem: w czasie odwrotu polskich oddziałów ocalił cały szwadron ułanów, otoczony przeważającymi siłami wroga, załadowując żołnierzy w Libawie w ostatniej chwili na statek „Saratoga” i przewożąc ich cało wraz z końmi i sprzętem do Gdańska.

W roku 1922 przeszedł z polskiej marynarki wojennej do handlowej i został jednym z pierwszych instruktorów-wychowawców na statku szkolnym „Lwowie”.

Był to marynarz z Bożej łaski, oddany zapamiętałe morzu, świetny nawigator i niepowszedni znawca maszyn. Twardy wobec siebie, wobec oficerów, wobec marynarzy, nawet wobec statków, przedstawiał wygasający typ dawnych, srogich kapitanów. Porywczy, łatwo popadał w gniew. Łączył w sobie chropowatą prawdość charakteru z zawziętą energią w wykonywaniu obowiązków.

Więc i wobec „Bielska” zabrał się ostro do rzeczy i jakby od razu ukrócił jego swawolę. W tym zetknięciu się dwóch antagonistów człowiek po raz pierwszy okazał swoją przewagę. Statek musiał się zgodzić, że po kilku miesiącach beznagannego pływania ludzie zaczęli nabierać do niego zaufania i jako pasażerowie korzystać coraz częściej z jego usług.

Jeśli nadal utrzymać teorię o przekornej jego duszy, to „Bielsk” w owych czasach wił się zapewne w obliczu swej niemocy i rozpaczliwym okiem wypatrywał okazji wyrządzenia kapitanowi jakiejś dokuczliwej psoty. Zdarzenie w porcie tallińskim byłoby takiej postawy charakterystycznym objawem.

Przy dobijaniu do przystani w Tallinie „Bielsk” miał zatrzymać się obok szkunera 300-tonowego, leżącego przed nim. Idąc już tylko o własnym rozpędzie wzdłuż mola, zbliżał się powoli do żaglowca. Kapitan Czarny stał na mostku i kierował manewrem. W pewnym momencie, gdy należało zatrzymać statek, posłał przez telegraf okrętowy do maszyn znak: Wstecz!, by dano kontrparę. Lecz wtem mechanizm wypowiedział posłuszeństwo a sygnał wskazywał tylko na „Stop”. Kapitan ostro ponowił rozkaz, lecz telegraf uparcie powtórzył swoje: Stop! Widocznie wentyle od maszyny niespodziewanie się zatarły, lecz w tej chwili nikt nie myślał dociekać przyczyn. „Bielsk” z niepowstrzymaną siłą szedł powoli naprzód, by zmiażdżyć szkuner i może narobić innych jeszcze szkód.

Kapitan w mig zorientował się w niebezpieczeństwie i nie tracąc głowy, krzyknął do dziobu, by rzucono natychmiast prawą kotwicę, potem lewą, a na ląd dano szpring. Rozkazy wykonano błyskawicznie i w ten sposób niemal cudowny uniknięto katastrofy: statek musiał zastopować, wstrzymany bodaj czy na metr przed rufa szkunera.

„Bielsk” uległ swemu pogromcy.

## 6.

Wypadek ów stanowił jak gdyby punkt zwrotny w życiu statku i odtąd człowiek trzymał coraz mocniej w ryzach jego wybujałe skłonności. Czasem jeszcze działy się na nim rzeczy niepokojące, jak tragedia chłopca kuchennego, który popełnił samobójstwo po wbiciu noża w kucharza, lecz były to tylko drobne, osobiste zdarzenia. Wielka linia życiowa statku ciągnęła się teraz przez morza z niezmaconą i nieprzerwaną płynnością. „Bielsk” dobrze służył. Nie ulega również wątpliwości, że dostał się teraz w pewne i godne ręce: po energicznym kapitanie Czarnym nastąpiło kolejno po sobie dwóch młodych i pełnych zapału dowódców, już wychowanków polskiej szkoły morskiej. Również oficerowie i marynarze byli coraz zdolniejsi. Więc „Bielsk” pozbywał się swych złośliwych kaprysów jak ktoś, który wyrasta z młodzieńczych lat nieobliczalnej burzliwości.

Nadeszła wojna i rzetelna praca u wschodnich wybrzeży Atlantyku, w rejsach między Anglią, Francją a Afryką. W czasie upadku Francji „Bielsk” znalazł się w opałach, i jak kilku innym statkom groziło mu internowanie we francuskim porcie zachodnioafrykańskim. Lecz wtedy już był na dobre sojusznikiem Polaków, wciągniętym całą duszą w ich wysiłek. Nikt nie poznałby dawnego złośliwca: „Bielsk” w tej ciężkiej przeprawie afrykańskiej zachowywał się wyraźnie jak oddany przyjaciel i wierny towarzysz broni. Z jego pomocą wyrwali się szczęśliwie z groźnych im kleszczy.

## 7.

W kilka miesięcy później, w marcu 1941, statek zginął żołnierskim losem. Wychodził w nowy rejs z jednego z południowych portów Anglii. Był sam, bez eskorty, więc kapitan chciał odczekać nocy. Lecz władze portowe zapewniły go, że powietrze jest czyste i poleciły mu wyjść przed wieczorem. Musiał usłuchać.

Zaledwie cztery mile od portu wachtowy marynarz zameldował zbliżanie się z lewej burty dwóch samolotów. Przez lornetkę stwierdzono, że bliższa maszyna miała na skrzydłach znaki brytyjskie, druga ścigająca ją, znaki niemieckie. Uciekając, brytyjski samolot pędził wprost w kierunku „Bielska”.

Marynarze spodziewali się widoku walki powietrznej, lecz przeraźliwie się zawiedli. Gdy pierwszy samolot, rzekomo swój, zbliżył się do statku na odległość około dwustu metrów, nagle z jego kadłuba oderwały się trzy podłużne przedmioty. Bomby. Padły do wody tuż o dwadzieścia metrów od statku i wybuchły, nie wyrządzając szkody. Równocześnie obsypał ogniem działkowym mostek kapitański. Był to, tak samo jak drugi bombowiec, niemiecki Dornier, tylko że podstępnie przemalowany.

Oficerowie i marynarze doskoczyli do broni. Mieli z każdej strony mostku karabiny maszynowe Hotchkissa, na rufie działa przeciwlotnicze. Zaczęli odstrzeliwać się z karabinów. Gdy nadleciał drugi samolot, także i on, spuszczał dwie bomby, chybił rufę statku o kilka metrów; lecz fontanny wody, wyrzucone na pokład statku, ogłuszyły na chwilę ludzi przy dziale.

Samoloty nie dały za wygraną. Zawróciły i niestety, ponowny ich atak był skuteczniejszy. Pierwszy Dornier wsadził w jeden z luków „Bielska” dwie bomby, które, przebijając drewniane pokrycie, wybuchły w pustej ładowni. Lecz statek odgryzał się niczym rozjuszony pies. Prawoburtowy Hotchkiss (lewy był już potrzaskany) walił gęstym i celnym ogniem. Obsługiwał go trzeci oficer Łanga, dobry strzelec i znany przed wojną sportowiec. Musiał dobrze podskubać wroga, gdyż bombowiec odleciał od statku i, jak doniosły późniejsze raporty, lądował przymusowo koło Falmouth.

Pozostał drugi Dornier. Nowy atak jego, dokonany z niewielkiej wysokości, był fatalny. Trzy równoczesne bomby trafiły w „Bielsk” tuż przed mostkiem kapitana i wyrwały w burcie potężną dziurę. Woda buchnęła do środka. Była to rana śmiertelna, statek od razu przechylił się na prawo. Kapitan zarządził alarm szalupowy. Działo na rufie dało jeszcze raz ognia, lecz oczywiście bez skutku.

Z jednej burty spuszczone szalupę, z drugiej tratwę. Ratunek marynarzy odbywał się w porządku, chociaż pędem. Niektórzy skakali do wody i dopływali do łodzi. Wszyscy opuścili już statek z wyjątkiem kapitana, który daremnie szukał dokumentów okrętowych w zburzonej kabinie.

Statek przechylał się coraz bardziej i wisiał nad szalupą, jak zły los rzucając na nią ponury cień. Zdawało się, że jeszcze chwila, a pogrzebie ją pod sobą. W tym powolnym przechylaniu się żelaznego olbrzyma nad kruchym życiem ludzkim, zgęszczonym w szalupie, był nieokreślony wyraz drapieźności. Jak gdyby w tej ostatniej chwili odżyła dawna wrogość statku do ludzi.

Kapitan, który jeszcze przebywał na pokładzie, szukając papierów, krzyknął do nich na dół, by natychmiast odbijali. Przecięli falenie, łączące szalupę ze statkiem, i odbili. On sam wspiął się na drugą, sterczącą wysoko burtę i stamtąd, z pasem ratunkowym w ręce, zeslizgnął się do wody.

Gdy łódź oddaliła się nieco od statku, nastąpiła nieoczekiwana rzecz, wprawiająca wszystkich w najwyższe zdumienie. Statek doszedł już do tak niskiego stopnia przechyłu, że, przewrócony bokiem, prawie tonął. Lecz naraz przestał się zapadać. Przeciwnie, zaczął się podnosić, prostować i powracać do swej dawnej, normalnej pozycji. Było w tym coś przejmującego, podniecającego wyobraźnię: niektórym się wydało, że statek, chyląc się przedtem tak groźnie, chciał spłatać marynarzom ostatniego figła; inni widzieli w tym jak gdyby przyjacielskie ostrzeżenie statku, by przynaglic rozbitków do uciezki.

Po zupełnym wyprostowaniu się statek zaczął tonąć naprawdę, zapadając w otchłań dziobem naprzód, z rufą wzniesioną wysoko ponad wodą. Tak wsuwał się w swój morski grób, nurek pełen tragicznego dostojęstwa. Ostatnia nad powierzchnią wody pozostała rufa. Wsiąkała powoli, jakby niechętnie, z żalem. Potem pozostały z niej już tylko dwa szczyty: bandera i armata. Rzekłbyś, dwóch nierozdzielnych towarzyszy. Gdy po chwili armata schodziła, ginęła jeszcze wolniej, niż poprzednio rufa: ginęła jak ktoś bliski i drogi, życiu wrywany przemocą.

W końcu pozostała sama bandera. Plama biało-czerwona sterczała nad wodą dziwnie długo. Marynarze nie mogli oderwać wzroku. Byli wstrząśnięci, ogarniał ich nabożny dreszcz. Kilku przeżegnało się. Zjawisko było aż zbyt wyraźne: tonący Bielsk rzucał żywym przejmujący znak swoją i ich banderą, zanim nie zginął zupełnie.

Niektórzy marynarze mieli wrażenie, że ktoś błogosławi im na dalszą drogę.

## 8.

Więc pozostaje ważne a drażliwe pytanie: czy „Bielsk” posiadał duszę? Niezwykłe przeżycia jego były zwierciadłem czegoś, co miało głębsze znaczenie, czy też były tylko przypadkowym zbiegiem okoliczności? Trudno na to odpowiedzieć, lecz z tych wszystkich wątpliwości wyłaniają się dwie niezaprzeczone prawdy:

Dawniej, gdyby to się działo dwa, trzy wieki temu, kiedy marynarze mieli nieposkromione serca, zuchwałe myśli i zaborczą fantazję, „Bielsk” posiadałby legendę statku o żywej i upartej duszy.

Dziś, choćby odebrać mu te przymioty i osadzić go w trzeźwiejszej wodzie, pozostanie jednak zasłużonym i zagadkowym statkiem, który lepiej, niż powołani do tego ludzie, umiał odróżniać marynarskie plewy od zdrowych ziaren. I „Bielsk” nie tylko odróżniał, lecz więcej: plewy zapamiętałe niszczył, ziarnom szczerze sprzyjał i wiernie służył.

Był to statek z charakterem.

## TIMEO, ERGO SUM

Boję się, więc jestem. W dniach walk, w tak niedawnych czasach, pod bombami, pod ogniem nieprzyjaciela wykształciłem sobie ten właśnie stosunek do dziejącej się wokoło sprawy, do zagrożenia, jakie szarpało nerwami i świadomością, niby uparty bunt instynktu samozachowawczego. Mimo coraz ciasniejszych przestrzeni naszej swobody, coraz węższych perspektyw już nie życia nawet, bo o tym przestawało się myśleć, a tylko wyjścia mniej więcej cało z opalów tego odwrotu i otoczenia, napięcia strachu były intensywne, ale na szczęście urywane, niedługie. Świadomość ogólnego położenia, mimo że beznadziejna i mimo, że istniała w każdym jak tło głębokie wszystkich doraźnych przeżyć i przerażeń, nie potrafiła człowieka pozbawić ani smaku życia ani przyjemności w odczuwaniu, że mu nic nie zrobiły kule, bomby, ani pociski nieprzyjaciela. Bałem się, ale żyję. Boję się, więc jestem — to był wniosek z przeszłości i nauka także na przyszłość.

Od czasu przejścia w niewolę zmienił się jednak nastrój tych odczuć. Nagłe, gwałtowne spazmy lęku w okresie frontowego kontaktu z wrogiem, teraz, w codzienności pożycia z nim ustąpiły miejsca stałej, podziemnej nucie niepokoju, która jak każde jednostajne brzmienie zatracala się często w codzienności zdarzeń, ale nie przestawała istnieć tym samym tonem, ciągle obecna u dna każdej myśli. Nie twierdzę, jakoby to była zwykła u jeńców reakcja, był to raczej rezultat tej szczególnej roli udawania przez cały czas innego niż jestem człowieka. Chociaż to udawanie weszło już w nawyk po dość krótkim czasie, każde przypomnienie tej okoliczności, każde wyobrażenie niebezpieczeństw jakie w sobie kryje — a wyobrażnię mam niestety intensywną i żywą — stawało się dla mnie wstrząsem, który coraz to znowu zakłócał pozorny spokój mojego istnienia.

Nurt tej podskórnej trwogi, podobny był chwilami do troski człowieka zabłąkanego, nie w pustyni nawet i nie w próżni, ale w ślepej uliczce, z której nie ma w tej chwili wyjścia ani odwrotu. Co było za jej murami, za tą ścianą, pochyłoną cieniem ostrym i bezlitosnym nad codziennością mojego życia w obcej skórze — nie próbowałem przeniknąć.

Niełatwo było znaleźć właściwe miejsce w ciasnym obszarze tego „Lebensraumu”, w którym ze wszystkich stron czyhało zagrożenie. Opanowanie jego trzech wymiarów stało się jednak rzeczą dokonaną, kiedy powoli urósł do zagadnienia najważniejszego czwarty. To ten, po którym spodziewałem się ukojenia, odpoczynku, ucieczki. To sen.

Odpowiedzialność za ukrywanie tajemnicy świadome, za cały obraz nowej sytuacji, za odpowiedzi, jakimi próbowałem wymknąć się kleszczom i siłom niemieckiej ciekawości — odpowiedzialność za to nowe życie była ciężka i nieunikniona, nieustanna i przerażająca, ale trzeba ją było przyjąć i znosić i godzić się z jej istnieniem i przeciwstawiać uwagą, pamięcią i przytomnością umysłu jej naciskowi. Kto jednak przyjął kiedykolwiek odpowiedzialność za sny? A na początek sny właśnie toczyły moje sumienie podziemnym nurtem tyłu przerażeń, podsuwały takie wróżby okropności, takie zdarzenia nieszczone i przejmujące. że uciekałem od nich z powrotem do świadomości, jak do ratunku. Nie dawały zapomnieć ani odpocząć. Pogłębiały zgubne uczucie

zbyteczności uporu trwania, a co gorsze nasuwały myśli, że i wybór drogi jest fałszywy. Nie ma ucieczki od tych przywidzeń i od tych urojeń upartych, które się w mojej nieprzytomnej głowie, pod zamkniętymi powiekami snuły bez końca. Ta była zresztą cena osławiania się psychicznego z nową swoją osobowością, głębokiego wrastania w rolę, jaką uparłem się grać.

Dopóki wszystkie jej szczegóły i wszystkie subtelności nie przeniknęły mocno w podświadomość, nie przesyciły jej aż po granicę snu i aż do snu nie dotarły, żyłem ciągle jeszcze pełen trwóg i niepokoju o panowanie nad sobą w czasie nocy, a zwłaszcza w chwilach przebudzeń.

Bo i na cóż tyle wysiłku i tyle zacięcia trzeźwego, trudnego i stanowczego w rozumowym, myślowym, świadomym uporze życia, kiedy jedna godzina snu może go zdradzić, zniszczyć, unicestwić? Skupiła się cała uwaga na tym problemie, ciężącym każdej myśli, jak obsesja. Na nic kryć się i udawać Francuza, kiedy tak łatwo człowiekowi śpiącemu nerwowo i niespokojnie wydać swoją tajemnicę, wygadać się po prostu przez sen ze swoją polskością.

Wkoło tego tematu i tego niebezpieczeństwa toczą się teraz wszystkie moje sny. Śnię na przykład, że niechcący już powiedziałem to słowo, tych kilka słów polskich, podsłuchanych przez kogoś przypadkiem i które teraz mnie gubią, które są jak wyrok dla straceńca. Dokoła mnie sami Niemcy. Już wiedzą, ale udają, że jeszcze nie. Kryję się jak umiem, odwracam głowę i oczy przed piętnującym oskarżeniem ludzi, którzy uparli się i chcą mnie zgubić. Nie ucieknę. Dopadają mnie na drodze, otoczonej barierami i zastawionej ścianą. Wyrywam się, krzyczę: to nieprawda, nieprawda! I uświadamiam sobie, że mówię „nieprawda” — po polsku. I że tym samym już im się nie wymknę, że podpisałem krzykiem swe stracenie. Ktoś mnie szarpie za ramię, zatrzymuje rozwój tych obrazów, tego myślenia w głąb przepaści. Czy to ratunek? Nie, to obudzenie. Jeden z kolegów moich, pytający: dusisz się?... Pyta po francusku. Nic nie rozumiem. — No, bo myślałem, że się czymś dławisz...

Aha, już wiem, już rozumiem. Co to było? Czy przez sen mówiłem? Czy powiedziałem co?

— Mówiłeś, ale nikt tego nie rozumiał. To był bełkot, to nie były słowa. Uspokój się. Musiałeś śnić coś strasznego...

Coś strasznego naprawdę. Jak długo jeszcze, jak często? Nie można w tych warunkach pozwolić sobie na głęboki, na bezpieczny sen. Trzeba spać tylko powierzchnią, ledwo, ledwo zapadając w nieobecność i nie tracąc całkowicie przytomności. Jakież to trudne w okresie kiedy zmęczenie człowieka z nóg wali i obuchem po głowie bije, skoro tylko wieczorem przyjdzie się wreszcie wyciągnąć na swoim barłogu. Rozrasta się zaraz znowu gorączką nocnych widziadeł ta lekka powłoka snu, oddzielająca rzeczywistość pełną przykrości i troski od tej pozornej warstwy nieistnienia, jaką kotłuje się i dręczy podświadomość.

Leon, w tej samej co ja sytuacji, przeżywał z pewnością podobne trwogi i podobne trudności wrastania w osobę Marcela Bouton. I sny musiał mieć podobne. Ale nie rozmawiało się o tym. Byliśmy tak rzadko sami. Przv Francuzach, mimo że coraz pewniej czuliśmy ich ludzka i koleżeńską solidarność, trudno było rozmawiać na te tematy. Półsłówkami, przenośniami dotykało się ich czasami, krzepiąc się wzajem i podtrzymując już tylko samym faktem obecności w bliskim sąsiedztwie. Robota była dla Leona równie jak dla mnie nieznośna, przekraczała jego siły. Niezadowolenie chłopów wybuchało nad jego głową przycinkami rudej baby,

która nie odstępowała go na krok i popędzała nieustannie. A i on przecież miał przy sobie Polaków, przed którymi nie wolno było odstępować ani rąbka prawdy.

W tę bezwzględną i mozolną codzienność naszego przywykania wbił się nagle nowym klinem troski, trudności i zdenerwowania postawiony przed nami oficjalnie problem korespondencji. Było to jeszcze za pierwszego wachmana, gdy przyszły instrukcje z kim, jak i kiedy mogą jeńcy korespondować. Ale nie tylko mogą, nawet muszą. To przecież jest zupełnie zrozumiałe. Byłoby raczej dziwne, gdyby nie chcieli. Trudno się przyznać mnie i Leonowi ile nas ten rozumiały przymus kosztuje w tej chwili wątpliwości i lęku. Do kogo tu pisać pod tym nowym nazwiskiem, pod którym nie zna nas nikt? Jak tłumaczyć w liście przechodzącym przez ostrą cenzurę, co się stało i skąd ta komedia?

Leon szczęściem miał we Francji siostrę i wiedział, a raczej przypuszczał, że wobec sytuacji wyjechała na pewno z Paryża i że znajduje się na południu, u przyjaciół. Siostra, jakby nie było, pozna pismo brata, chociażby podpis był inny i adres nadawczy niespodziewany. Kto pozna moje pismo? A podałem w dodatku że jestem żonaty. Więc chyba to całkiem normalne pisać od razu do żony. Ale gdzie żona? Gdzie szukać takich znajomych, którzyby się podjęli niewdzięcznego zadania korespondencji z człowiekiem o nieznanym nazwisku i w dodatku zastąpili mu żonę. Nie ma rady, trzeba ryzykować. Przebiegam myślą wszystkich moich bliższych i dalszych znajomych we Francji. Mam ich tylu w Paryżu, tak niewielu tylko na południu. A korespondować pragnę jedynie ze strefą wolną — byłoby inaczej za łatwo moim prześladowcom sprawdzać na miejscu kto ona, gdyby się im sprawdzania zachciało. Arcachon, moje niby rodzinne miasto także zajęte. Ale w poplochu czerwcowej klęski i dezorientacji żona przecież mogła z dzieckiem pojechać na południe, na Riwierę powiedzmy, do swoich niby rodziców, a moich niby teściów. W tym też kierunku szły wszystkie moje odpowiedzi na natarczywe pytania Schnabla.

\* \* \*

Pierwszy list z niewoli, pierwszy list jeńca René Monsort, który szuka żony i wobec tego pisze do dobrej ciotki, mieszkającej w Montpellier, chociaż adresu jej dokładnie nie pamięta. Każde słowo tego listu musi mieć znaczenie podwójne. Każde słowo jest postawieniem całego losu na jedną kartę — nie wiadomo tylko, w którym słowie może się znaleźć ratunek, a w którym zguba. Okrężnymi drogami trzeba powiedzieć to co jest istotne: kto pisze. Przypomnieć sobie nazwę pieska, imię siostrzenicy, tych parę drobnych szczegółów, które uwagę pani Dieuledonne, mojej znajomej z Paryża, starej damy, zakochanej w muzyce i wiodącej intensywne życie herbatek, przyjęć, wizyt i rewizyt przykuje z miejsca i zastanowi. I pobudzi do jakichś domysłów, na dnie których być może leżeć zechce to tak zbawienne dla mnie i tak oczekiwane odkrycie: ach, to ten Polak, który u mnie bywał w Paryżu, a który jadąc z oficjalnego polecenia już w czasie wojny do czechosłowackiego obozu w Agde, odwiedził mnie przed paru miesiącami w Montpellier. Widzę zdziwioną twarz pani Dieuledonne, czytającej list podpisany nieznanym nazwiskiem René Monsort, kiedy podejrzewa pomyłkę, zaraz od pierwszych słów. Bo przecież napisałem „ma chère tante”. I w dodatku niedokładny adres. Przypominam sobie, jak była zawsze roztargniona, mieszejąca nazwiska i ludzi, żyjąca w kołowrocie towarzyskich imprez, do-



broczności, koncertów i went. Czy zechce skupić się na jedną sekundę, czy zechce zrozumieć co mówię, kiedy wspominając kwietniowe odwiedziny i zapach kwitnących drzew w jej ogrodzie, którym zachwycaliśmy się wszyscy, piszę nagle o sytuacji, że uległa zupełnej zmianie, że położenie moje i możliwość przetrwania zależne są w tej chwili wyłącznie od listów, jakie pod mój nowy adres pisać powinna pani Yvonne Monsort, moja najdroższa żona. Że tylko ona, Madame Dieuledonne, ma chère tante, byłaby dzisiaj w stanie sprawić, by tak się stało, bo nie wiem doprawdy do kogo się zwrócić o pomoc, a dla jejca taki list od żony to sprawa życia i śmierci. I niech mi pisze o mojej córce, Jeanette, która kończy dwa lata i do której tatusiowi bardzo tęskno. Byłoby mu nie sposób żyć bez tych wiadomości.

Czoło pani Dieuledonne marszczy się — dama pewno nie zechce zrozumieć. Jeżeli nawet poznaje autora tych słów, kto wie, czy przy całej swojej inteligencji i subtelności osoby z dużym życiowym doświadczeniem nie powie po prostu: przecież wiem, że nie był żonaty. To wobec tego nie może być ten. Pewno pomyłka. A może prowokacja, a może głupi żart? Czyżby się jednak ludzi żarty trzymały w tych ciężkich czasach? Dobra Madame Dieuledonne zrobi na pewno co może, aby zrozumieć i pomóc. Kwestia w tym, czy nie napisałem jeszcze za mało dla niej a już za wiele dla cenzury, która być może uzna ten dziwny list za podejrzany. Jeśli powziąwszy jakieś podejrzenie zechce mnie wziąć na spytki? Tyle się wątpliwości wiąże z jego treścią. Ważyłem wprawdzie każde słowo listu, ale czy jest sposób uniknięcia pomyłki w tak niezwykłej, w tak beczelnej próbie?

Odczytuję go raz i drugi. Powierzyłem temu listowi los i przyszłość, tak bardzo wiele. Jeżeli robię głupstwo, nie mogłem zrobić inaczej. To już nieodwołalne. Wachman zbiera wszystkie nasze listy, liczy je i odnosi. Stało się.

Leon jest spokojniejszy co do swego listowego przedsięwzięcia. Zna dokładny adres przyjaciół i liczy na siostrę, której prawdziwie imię wymienił kilka razy. Jasne jest z listu, że tylko ona ma klucz do jego znaczenia i treści. Koledzy nasi francuscy czują się po swych listach ukojeni wewnątrznie, choć jeszcze podnieceni myślą o rychłym nawiązaniu kontaktu z rodziną, z domem, o którym od katastrofy nie wiedzą nic. Zapadli wieczerem w swego rodzaju błogostan, wyprzedzili drogę tych skrzątnie zapisanych papierków, są znowu u siebie, pełni marzeń, złudzeń, nadziei. Przywróciła każdemu równowagę ta możliwość napisania, sprawiła ogromną ulgę. Życie toczy się dalej i zaciera ślady tego wstrząsu, jaki nam przyniosła sprawa poczty. Nie wiedziliśmy tylko, że głupi wachman, nie zrozumiawszy widocznie instrukcji w sprawie listów jenieckich, zamiast je odesłać do cenzora obozowego, napisał na każdym „Feldpost”, że niby poczta polowa i wolna od wszelkich opłat — po czym wrzucił ze spokojnym sumieniem do skrzynki w najbliższym mieście.

— Będziecie czekać na odpowiedź może miesiąc, może dwa miesiące — powiedział, a następnego tygodnia kazał nam pisać znowu. Napisałem pod tym samym adresem w innych wprawdzie słowach tę samą treść, jak jakieś skomplikowane S.O.S., szukające ratunku ciągłym powtarzaniem raz ustalonej formułki. Będzie co będzie, ale do otrzymania odpowiedzi muszę uparcie trwać przy swojej wersji i ślać te słowa pod niepewny adres pani Dieuledonne, będącej uosobieniem niepewnej mojej, a tak w tej chwili upragnionej „rodziny”.

Dopiero ze zmianą pierwszego wachmana, który przypłacił stratą posady swoje nieskromne popędy w kierunku miejscowych dziewczyn i z nastaniem jego następcy, poczciwego właściwie bubka, którego wojna wypchnęła zza lady sklepika kolonialnego, ale skierowała z pominięciem frontu od razu na tę służbę pilnowania jeńców, mieliśmy się dowiedzieć, że wszystko co robił jego poprzednik, było zupełnie pozbawione sensu, i że listy jeńców wrzucane do skrzynki w mieście równają się listom wrzuconym do kosza.

Poruszenie między nami było wielkie. Jak to, więc cały wysiłek i tyle uczuć, nie mówiąc już o nadziei, włożonej w te pierwsze słowa pisane z niewoli, poszły na marne? I wszystko trzeba znów zaczynać od początku, kiedy wiadomo, że korespondencja jest tak niezmiernie powolna? Byli tacy, którzy myśląc bez przerwy o wysłanych przed trzema tygodniami listach wyobrażali już sobie scenę ich dojścia i wrzuczenia w domu i łez i radości i gotującej się odpowiedzi przybierającej formę nie tylko słów, ale i paczek.

Stwierzenie nowego wachmana położyło kres marzycielstwu. Było to jedno jeszcze brutalne szarpnięcie świadomością, lekcja rozczarowania, codzienna w tyłu drobiazgach życia przez czas niewoli a teraz tylko jak nowe podsumowanie zasadniczej przykrości tego istnienia, jedno z wielu, nie pierwsze i nie ostatnie. Nie pomogły żale ani pretensje, wachman miał na każde moje słowo dwa wzdrygnięcia ramionami jako odpowiedź, do której dodawał: ja was rozumiem dobrze, ale nic na to nie poradzę. Byłem na wielkiej wojnie — rozwodził się, zadowolony że ma okazję przypomnienia nam swoich dokonań i swojej znajomości Francji, — ale Parvża nie znam, bo Niemcy w wielkiej wojnie do Paryża nie doszli.

Była jakby ukryta pretensja w tym cichym admiratorze Francji, pretensja do Francuzów samych, że mu nie pozwolili zwiedzić Paryża. Obecnie mógłby go zwiedzić, ale musi pilnować jeńców. To trudno. Żołnierz jestem, a dla żołnierza przepisy święte. Tak i z waszymi listami. Nic nie poradzę. — I znowu wzdrygnięcie ramion.

Najgorzej, poza nami dwoma, mną i Leonem, którzyśmy mieli specjalny powód troski o załatwienie tej sprawy, przyjął oświadczenie wachmana z kolegów-jeńców Maurice, chłopisko małe i trudnopiśmienne. Jak to więc, będzie teraz musiał całą robotę odwalenia listu zaczynać od nowa, bo się wachman pomylił? — Zażarcie urągał im obu, byłemu i obecnemu, że tacy głupi. A o pisaniu listu mówił jak o ciężkich jakich robotach, do których będzie trzeba zaprząć znowu te ogromne łapy i mięśnie, falujące pod skórą tatuowaną i plecy przywykłe raczej do dzwigania ciężarów, niżeli do pochylenia się nad małą kartką papieru, wywołującą na czole drobne kropelki potu. Wysiłek pisania był bowiem stanowczo nad stan jego atletycznego ciała i rąk, zgrabniejszych kiedyś do kierownicy, a dziś do wideł raczej, niż do ołówka. Ale raz wzięwszy na ambit nie pozwolił sobie pomóc w tym akcie komponowania epistoły, chociaż przyznawał, że pisanie nigdy nie było jego mocną stroną.

Założyłem się ni stąd ni zowąd z Georges'em, że mimo oświadczeń wachmana, iż nasze pierwsze listy należy uznać za stracone, istnieją pewne szanse, by mimo wszystko doszły, przeszedłszy zwykłą cenzurę wojskową, zamiast obozowej, jenieckiej. Opierałem nawet znaczne nadzieje na tej możliwości — nadzieje rychłego otrzymania tego dowodu, że można liczyć na pomoc z Francji, nadzieje, ku którym myśl wybiegała często, podsycana marze-

niem o sposobach dotarcia do ludzi, którzy mnie znali kiedyś, którzy mi może ułatwią kontakt z prawdziwą rodziną, którzy pozwolą nawiązać znowu te zerwane więzy z moim światem. Nikomu nie mogę inaczej dać znać o sobie. Że jestem, że żyję, że czekam. Nieobecność, w którą się zapadłem, równa się nieistnieniu. Z punktu widzenia moich najbliższych na przykład. Co sobie myślą, kiedy oto mija miesiąc za miesiącem, kiedy się mnoży i pogłębia czas tego oddalenia, niby przepaści z dna której nie sposób dać im sygnału ani naprowadzić na ślad mojej nowej, niewdzięcznej egzystencji. Gdyby mi się co stało dzisiaj — rozważam sobie spokojnie i trzeźwo tę okoliczność — kto i jak dojsć potrafi kiedykolwiek do sedna tej tajemnicy, w którą otuliłem się umyślnie, jak w chmurę, zacierając po sobie ślad? Dręczące są te rozmyślenia i niewesołe. Nie ma w sercu miejsca na żadną radość. Pocięcha marzeń nieśmiałych i odległe, nierzeczywiste szanse dotarcia na tej drodze do jakiejś rozsądnej mety, nie wystarczają na przepojenie dwudziestu czterech godzin dnia i nocy, powtarzających się z maniacką monotonią i wydłużonych w nieskończoność — światłem jakiegokolwiek satysfakcji.

Mimo przygnębienia w jakim się żyje i zmęczenia, które nam odbiera resztki kawalerskiej fantazji, snujemy upartymi nawrotami myśl o ratunku. Rodzą się w głowach fantastyczne projekty ucieczki. Ale zanim mogła o tym być mowa, trzeba się było najpierw pozbyć ciężaru tego znużenia, które nas, nieprzywykłych jeszcze do ciągłego wysiłku i napięcia mięśni, pozbawia po prostu siły na wykonanie tego, do czego nieprzerwanie zachęca wyobrażenia, do czego namawia i kusi uparcie obietnicą szaleńcych spełnień.

Na tle tych odczuć nawiązała się nagle rozmowa o konieczności ucieczki, którą rozpoczął Leon, kiedy nas wachman zostawił samych w drodze do chłopów któregoś wczesnego rana.

— To nie ma sensu — powiedział Leon — to, co robimy. Ja już i tak długo tego nie wytrzymam. Ciągle myślę jak i kiedy uciec...

Przypadła mi w udziale niewdzięczna rola namawiania Leona do ostrożności. — Trzeba przeczekać — mówiłem — zebrać doświadczenia, przygotować tę sprawę solidnie, bez pośpiechu, ale broń Boże, nie robić tego na wariata, jako coup de tête, jako odruch szaleńczy i nieprzemysłany. To się może fatalnie skończyć, bo pomyśl tylko... I już chciałem tłumaczyć ryzyko jakie związane jest z naszą specjalną sytuacją zakamuflowanych w skórze francuskiej Polaków, gdybyśmy wpadli w ręce Niemców po raz drugi i zwrócili na siebie uwagę nieudaną próbą ucieczki, kiedy przerwał mi Leon stwierdzeniem dość niecierpliwym i bardzo nieoczekiwanym:

— To się i tak skończy fatalnie.

Zorientowałem się wtedy, że jest bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek przedtem, że jest podminowany niepokojem, że przeżywa jakąś głęboką rozterkę wewnętrzną.

— Słuchaj, — powiedział szybko — co ty myślisz, gdyby nas tak złapali i wydało się że jesteśmy Polacy, ty oficer, ja podchorąży — to... to co?

Zdaje mi się, że od początku uważałem to ciężące nam zagadnienie, co by było gdyby który wpadł, za pozbawione rozsądnego rozwiązania. Rola przez nas przyjęta i stosowana prowadziła, według mego zdania, w kierunku dwóch zasadniczych skrajności: ratunku i wyzwolenia w razie jeżeli się uda, i zupełnej zguby, je-

żeli nie. Grałem ją od początku z poczuciem człowieka, który stawia wszystko na jedną kartę. Bez możliwości ubezpieczenia się na wypadek, gdyby nie wyszło. Z tępym, głuchym, podziemnym uporem wiecznego szczęściarza, który się zawiązał raz jeszcze spróbować szczęścia, chociaż nie śmie wierzyć, aby go miał naprawdę aż tyle. Za to jeżeli przegra — to ta przegrana jest już ostateczną, ostatnią próbą, jest wnioskiem, że przedstawienie skończone, jest jak czarna kurtyna. Nie próbujemy wiedzieć, co może być poza nią. Odcięta widownię od sceny, połączenie dwóch światów w człowieku, przekreśliła jego bieg i drogę. Po co męczyć się zgadywaniem, czy jest jeszcze zapasowe wyjście w tym teatrze, w którym rola bohatera sztuki jest skończona?

Próbuję bardzo ostrożnie odpowiedzieć na pytanie Leona. Czuję, że jest pełen zniechęcenia, albo złych przeczuć. Ale nie będę go oszukiwał optymizmem. Powiem, co myślę i co widzę na ten wypadek najgorszy, decydujący.

— Obawiam się po prostu, że nie zechcieliby uwierzyć tłumaczeniom się naszym, że szukaliby innych powodów niż te, które nas zdecydowały na włożenie jako jency maski. Cóż łatwiejszego — dodałem, zapędziwszy się może dalej w tym powiedzeniu, niżlibym chciał naprawdę — coś łatwiejszego, jak oskarżyć nas o zamiary, za które grozi kula w łeb. Będą na pewno szukać pozbycia się tak niewyraźnych gości, jak my dwaj...

Ledwom to jednak powiedział, już żałowałem swych słów. Leon spojrział na mnie dziwnym, przejmującym wzrokiem i powiedział głosem raczej ściśniętym:

— Tak to sobie myślałem właśnie.

I tyle było naszej rozmowy owego rana. Ale pozostało mi po niej w ciągu następnych godzin uczucie nie tylko niepokoju, ale nawet niesmaku. Zakłopotanie także, czy tonem tych stwierdzeń nie pogłębiłem rozterki, w jakiej żyć przecież musiał nie tylko René Monsort, ale także Marcel Bouton? Zamiast mu pomóc w tej tak trudnej sprawie, kto wie, czy oto nieostrożnym słowem nie przyspieszam dojrzewającej w nim i tłukącej się od tyłu dni nieostrożnej decyzji?

Byliśmy kosić trawę tego rana. Kosilem sam coraz lepiej i wolałem kosić, niżli grabić. Stasiak nauczył mnie ostrzyć kosę po swojemu, nosiłem podłużny kamień w rogowej pochwie z wodą, zatkniętej za pas. Schnabel jednak uważał, że stosować należy inną metodę, niemiecką i ostrzyć nie od siebie, opierając kosę niemal o pierś, ale do siebie, trzymając ją w pewnej odległości od ciała, co, jeśli o mnie chodzi, wydawało się właściwie wszystko jedno. Dla świętego spokoju i żeby nie podkreślać, że mi bardziej odpowiada metoda polska, ostrzyłem ją tak, jak tego chciał Schnabel. Był to zresztą przeważnie pretekst do rozprostowania zmęczonego grzbietu, który jeszcze nie nawykł do tego pochylenia na rozstawionych nogach, ani do drobnych kroczków i gimnastyki całego tułowia, od bioder aż po rozmach ramion, wiodących regularnym łukiem srebrny, rozwarty półksiężyc kosy.

Ze wszystkich zajęć, do jakich musiałem się wdroyć przez czas mego jenieckiego stażu u chłopów w Niemczech, gdzie pełniłem służbę parobka o charakterze „Mädchen für alles”, jedno koszenie dawało mi wśród wielu innych, odrażających a nieuniknionych, pewną sumę wewnętrznej satysfakcji. Nie umiem tego wytłumaczyć inaczej, jak chyba faktem, że chciałem się tego naprawdę nauczyć — nie obchodziły mnie nic umiejętności takie jak technika używania wideł lub szpadla, jak nauka noszenia ciężarów, pod postacią miechów z ziarnem albo mąką, jak nawet

sztuka rąbania drzewa, choć to zbliżało mnie nieco do pracy najciekawszej w tym życiu i do niezrozumiałej właściwie ambicji, jaką się stała ochota opanowania kosy. Była to przede wszystkim jedna z niewielu robót co się zowie czystych, tak świeżością pory i narzędzia, jak samym faktem cięcia równo, raz przy razie, kładąc nastroszoną od bujności i rosy trawę jednym trafnym pociągnięciem ostrza, jakby ciosem, pod którym padała. Była to także robota, w której, pobudzony ambicją osiągałem w przeciwstawieniu do wszystkich innych zajęć i zadań pewną sumę doskonałości w wykonaniu. A tylko umiejętność, tylko wprawa i wynikająca z niej łatwość potrafi dać człowiekowi to drobne poczucie przyjemności i zadowolenia, bez którego każde zajęcie jest przecież nudne, nieznośne i bardzo męczące.

Różniłem się tylko w jednym od Schnabla, od Wandy i Staśka. Wszyscy oni kosili nie tylko czysto i łatwo, równo jak brzytwą, ze świstem i srebrnym chrzęstem każdego machnięcia, ale także niezmiernie szybko. Nie mogłem za nic dociągnąć do tego tempa, utrzymać taktu z jakim jeden za drugim posuwali się, puszczając kosę krótkimi, suchymi cięciami pod ścianę gęstej jak szczecina, ale miękkiej niczem jedwab łąki. Zostawałem w tyle i chociaż często czułem zadowolenie ze swej niespodziewanej sprawności we władaniu tym narzędziem, ani Schnabel ani nawet Polacy nie uważali moich osiągnięć w tej dziedzinie za godne jakiegokolwiek uznania. Wartość roboty mierzona tutaj była nie tylko jej jakością, ale także czasem — nie wystarczało robić dobrze, trzeba było robić szybko. Zwłaszcza w okresie sianokosów i mimo, że ze względu na falistość terenu wypadło koszącemu nieraz pięć się po zboczach i machać kosą w ciągłym niebezpieczeństwie stracenia równowagi na zbyttno spadzistym stoku. Praktykowanie tej sztuki przykuło moją uwagę dwoma zjawiskami, które, powtarzając się nieustannie, aż do końca nie straciły w mych oczach wagi symbolu, utkwily mi w pamięci dziwnością tego przykładu, który zauważony w czasie koszenia dotyczył nie tylko łąnu, nie tylko kosy i gestu użycia jej przeciw niemu, — ale także życia, ludzi i losu.

Przed każdym zamachem ostrza, jakby próbując drogi którym pójdzie, grzbiet kosy głąskał miękkim, pieścziotliwym nieledwie muśnięciem tę samą gęstą ścianę trawy, która za chwilę miała paść podcięta. Były to jakby dwa skrajne okresy tego samego gestu, jeden łagodny, ale ostrzegawczy, niosący w sobie groźbę zamachu, już obecnego w tym dotknięciu grzbietu, niespełnionego dopóty, dopóki ten sam ruch powrotnym łukiem wahadła nie dokona zawartego i zapowiedzianego w pieścziocie stali wyroku ścięcia. Powtarzał się ten podwójny ruch kosy, łączący ostrzeżenie i groźbę z jej wykonaniem. I tak aż po ostatni pokos, aż do zatrzymania się tej roboty, kiedy z przyzwyczajenia, nie odrywając kosy od ziemi prowadzi się ją tym ostrzegawczym pociągnięciem popod grzywę następnego zakosu i dotyka go muśnięciem przeznaczania, i wstrzymuje nagle gest następny, zapowiedziany, nieodzowny niby gest podcięcia, gest spełnienia wyroku, by przerzucić kosę przez ramię i odejść do innego zajęcia. Ale myśl i spostrzeżenie tej sprawy już nie zostawia spokoju. Wraca ciągle tą samą refleksją, zapytaniem nieodpartym i męczącym: ile razy zdarzyło się w życiu poczuć to zimne dotknięcie grzbietu kosy, które jak sygnał jakiś ostrzegawczy już się przesuwają po plecach, pod gardłem, już się wczepiło pod skórę kleszczami łęku,

już przeraziło i mrozi oczekiwaniem dalszego ciągu i wypełnienia groźby prostym nawrotem wahadła?

I to zdziwienie nieśmiałe, a tak przejmujące, roślinne zdziwienie najgłębszych pokładów instynktu, samego dna świadomości, które musi odczuwać trawa, kiedy głośnieta grzbietem kosy i przygotowana na ścięcie nie doczeka się zamachu przeznaczenia i rośnie nadal, nikt nie wie czemu nagle ułaskawiona?

Zrodzona ze spostrzeżeń na łąkach i nauczona doświadczeniem ta była treść mych rozmyślań, kiedy torowałem sobie kosą drogę w bujnych łąkach traw czy koniczyny. Jedno w nich było jeszcze źródło zdziwienia — to ta częsta obecność jakiegoś jednego źdźbła trawy czy koniczyny po przejściu bezlitosnych cięć ostrzonej co chwila stali — uratowana zda się cudem i nie wiadomo naprawdę jakim przypadkiem od zupełnej zagłady, jaką niosła łące sycząca stal naszych kos.

Także i to zjawisko miało swój odpowiednik w ludzkich stosunkach i sprawach. Widzieliśmy człowieka wychodzącego cało spod huraganów żelaza i ognia w czasie wojny, ratującego się w sytuacjach, w których na rozum biorąc nie było ratunku ani wyjścia, w których działał już tylko ten nierozumny, nieogarnięty zmysłami ani rachunkiem cud przypadku. Zastanawiałem się, przymierzając te rozważania do swojej sytuacji, ile jest szans i czy istnieją szanse, abym się raz jeszcze uratował z opresji i spod ciężaru grożących mi niebezpieczeństw, zawsze przecież dotąd uważany za swego rodzaju dziecko szczęścia, urodzone pod łaskawą gwiazdą. Trochę mi się wydała bezczelna i bardzo śmiała ta pretensja do przeznaczenia, aby mnie znowu zechciało wyróżnić niczem to źdźbło koniczyny, które po przejściu kosy stoi nietknięte, nie wiadomo skąd i dlaczego. Ale żywiąc prawdziwy szacunek dla tego rodzaju przypadków nie poprawiałem już nigdy tego wyroku przeznaczeń, nie podcinałem łodygi ocalonego źdźbła — zostawiałem je na drodze mego przejścia z kosą jako znak, że istnieją cuda, że działają szczęśliwe trafy i zbiegi okoliczności, że jest jakaś jedna, drobna szansa ratunku dla ukrytych i niewiadomych nikomu wybrańców losu...

\* \* \*

Kosiliśmy tego dnia dużą łąkę pod lasem. Trzeba było obkosić wszystkie jej stoki i szerokie pasy po brzegach, po czym Stasiek szedł po konie i kosiarkę i kończył resztę maszyną. Schnabel miał tego rana jeden ze swoich wybuchów pilności. Siadł sam na kosiarkę i hukając na konie oraz wykrzywiając twarz zwykłym sobie grymasem, łamiącym ją w tysiąc zmarszczek, które pozorowały niesłychane skupienie i wielki wysiłek umysłowy, podprowadzał maszynę pod nastroszone zgęszczenie traw, opuszczał lewarem sterujące po boku skrzydło zygzakowatej i chodzącej ruchem tłka kosy, i odstrzygał każdym przejazdem równe pasmo zielonego łąnu.

Zaraz za maszyną trzeba było pokos leżący gęsto raz przy razie rozgarniać widłami i rozsypywać równo — miało to schnąć czym prędzej, korzystając z każdej godziny słońca. Po obiedzie należało zeschniętą z wierzchu trawę odwracać — a wieczorem na tej samej łące już ją zbierać na kupki, ochraniając przed wilgocią wstającej rosy to jutrzejsze siano, przy którym robota zaczynała się nazajutrz znowu od początku, aż do władowania na wóz i przywiezienia w podwórze. Ani chwili wytchnienia, z pośpiechem, z udziałem wszystkich sił miejscowych, do których czasem dołączała się i Frau Nebel i kuzyn z młyna w sąsiedniej wsi i na-

wet szwagier, członek Partii, Herr Wirt, zawsze spocony w swoim miejskim ubraniu, choć kurtkę zdejmował i krzątał się pośród nas z podkasanymi rękawami koszuli, w spodniach podwiniętych i wiszących jak worek na bardzo kolorowych szelkach. Schnabel od rana przejęty nawałem roboty poganiał nas i konie, a kiedy tylko zaczął wreszcie ujeżdżać tam i z powrotem na swojej kosiarce tnącej łąkę równymi ściegami z łoskotem co przypomina maszynę do szycia, odesłał nas troje, Wandę, Staśka i mnie z kosami do koniczyny, gdzie mieliśmy co prędzej jeszcze „Futtru” dla krów nakosić. Wanda od rana zdawała się jakaś nieswoja, nieskora do gadania ani głupich żartów, jakich w przystępie dobrego humoru nie szczędził przy robocie Schnabel, a zwłaszcza kuzyn-młynarz, zawsze bardzo pewny siebie i pozwalający sobie na niewybredne dowcipy z Wandą, do poklepywań włącznie, jeżeli pozwalała na to nieobecność babci, bo przed starą Frau Nebel nie było się co żenować. Wanda odcinała się jak mogła tym jego zalecankom, wymyślała przed Staśkiem, że cham i bydlę, ale trudno się jej było stawiać zbyt ostro, tym bardziej, że Schnabel przymykał oczy na te kuzynowskie sposoby, rad jego obecności i uważając widocznie, że mu się za nią należy trochę zabawy z tą polską dziewczyną, która stanowi być może powód częstszego niż przedtem zjawiania się młynarza w Rabenhofie w porze żniw, sianokosów i każdej większej roboty.

Stasiek patrzył na niego nieprzychylnym wzrokiem jak na rywalą, który go zresztą z racji swej rasowej wyższości traktował za nic i nie żałował okazji, by mu okazać swą nieprzychylność czy to rozkazem twardym i bezwzględny jak policzek, czy też uwagą jakąś pogardliwą o Polakach, powiedzianą tak aby Stasiek nie tylko słyszał, ale i rozumiał. Tłumaczyłem więc sobie dzisiejszą zaciętość i mrukowatość obojga Polaków nowym jakimś dowodem bezczelności młynarza, który traktując Wandę inaczej wprawdzie niż Staśka, nie oszczędzał ich swoją pogardą i nieznośnym, drwiącym stosunkiem człowieka, znaczącego na każdym kroku swą nieodpartą wyższość.

Nie mówili nic, zabraliśmy się do koszenia koniczyny, ja na końcu, aż nagle Wanda powiedziała do Staśka, jakby kończąc poprzednią rozmowę, której początku nie słyszałem wcale: — i nie wiem teraz co to z tego będzie. Może by tak powiedzieć Francuzowi?

Ścisnęło mi się serce uczuciem nagłego strachu, jakby od uderzenia alarmowego dzwonka. Stało się coś, o czym nie wiem, coś co wygląda w tej chwili niepokojąco a groźnie, a co Wandę i Staśka zdaje się mocno przejmować...

Stasiek odpowiedział nie zaraz, namyślając się, trochę niepewnie — Po mojemu to ten Francuz wiedział...

Czułem dobrze, że mi nie oszczędzą powiedzenia swojej tajemnicy, Wandę język zanadto świerzbi, aby mogła ją teraz utrzymać, tym bardziej, że Stasiek nie protestuje. Ale już mnie przenika znowu nagłe osłabienie, ugięcie się kolan, skurcz w gardle, niby reakcja ciała na tę wewnętrzną sprawę rosnącej trwogi, której tak chciałyby uniknąć. Tak bym pragnął nie wiedzieć, bo wiem już, że cokolwiek powiedzą po tym przerażającym wstępie będzie z pewnością jak cios. Przeczuję katastrofę. Nie, tego nie sposób uniknąć. To trzeba przyjąć z opanowaniem wszystkich odruchów, spokojnie...

Już nie pora cofnąć się, ani uchylić przed groźącym wyznaniem Wandy. Zatrzymała się, ostrzy kosę, patrzy na mnie, jak

udają obojętność. — Ryne — mówi tym swojskim sposobem, którym mnie oboje wołali, i dodaje parę niemieckich słów, jakie się zamieniają w moim umyśle na bezlitosne stwierdzenie, że wszystko co budowałem udawaniem, próbą grania roli i ukrycia prawdy przed Niemcami, wali się teraz jak od uderzenia gromu w krucze moje nadzieje i nieprzytomne złudzenia. Więc się Leon zdradził nieopatrnie? Oni, Wanda i Stasiek już wiedzą, że jest Polakiem. I tamci Polacy, którzy z nim pracują, też wiedzą. I wszyscy inni. Przypomina mi się nagle moja ranna z Leonem rozmowa. Więc i on już o tym wiedział, nieszczęśliwy, a próbujący przede mną odwlec przyznanie się? I upewniał się, co nam może grozić, niczym skazaniec, kiedy próbuje odsunąć widmo wyroku, o którym wie, że jest nieunikniony. Co się stało? Co się to mogło stać, że wszystko stracone? Nie robię sobie nadziei, aby ta sprawa raz opuściwszy krąg wtajemniczonych i szerząc się dziką, sensacyjną plotką między Polakami naszej wsi i wsi sąsiednich mogła być zatrzymana, zduszona, cofnięta i schowana pod ziemię.

Badawczo przygląda mi się Stasiek i patrzy na mnie Wanda — mieliśmy szybko kosić, ale nie ma tu nikogo kto by pilnował, więc rozmawia się o sprawie najpilniejszej. Czuję, że i Staśkowi i Wandzie dolega, że cięży im ta nowina, że sobie zdają sprawę z jej wagi i z niebezpieczeństwa.

Wanda ze Staśkiem mówią po polsku, żebym nie rozumiał, tak jak w teatrze dawnym aktor, mówiący „na stronie”. Ale ten teatr niestety niczego mi nie może oszczędzić, tej świadomości zwłaszcza, że ciekawość obojga przerażonych tym odkryciem Polaków w jednym tylko mierzy kierunku: czy ten ich Francuz wiedział, że Marcel jest Polakiem, czy nie wiedział.

— Du, Ryne, du wissen Marcel Pole?

To nie jest pytanie, to brzmi oskarżająco, nie do odparcia, jak pokazanie palcem współnika tego oszustwa, którym się zdają oboje dotknięci, przejęci i przerażeni.

I chyba tylko zmieszanie moje nieudawane, prawdziwe, wytrącenie nagle z równowagi, którego nie umiem ukryć prowadzi ich teraz na trop fałszywy: skoro taki jest zaskoczony i tak przerażony, to to pewno i dla niego nowość i niespodzianka tak samo dziwna, jak dla nich.

Ze swej strony mam prawo do wniosku, że chyba cała ta sprawa tyczy wyłącznie Leona, że o mnie nie wiedzą nic dotąd, że jeszcze warto podjąć dalszą próbę ratowania się z tej sytuacji. Próbuję tę ich wiadomość obrócić w żart. To niemożliwe, żeby Marcel był Polakiem! Może i mówi po polsku, ale urzędnik biura podróży mówi różnymi językami...

Wanda zaprzecza gwałtownie. Nie, oni wiedzą na pewno. Marcel rozmawiał po polsku z Magdą i Wojtkiem i powiedział im, że jest oficerem polskim, który kryje się przed Niemcami. I zdaje się Niemcy już wiedzą, bo Wojtek po głupiemu wygadał. Takie nieszczęście. A ty nic nie wiedziałeś o tym?

— Ja? Skądżeby znowu. Mnie nikt o tym nie powiedział nigdy, Francuzi nie wiedzą o niczym.

Próbuję odgrodzić się od tej sprawy jak umiem, chociaż nie wiem czy się to zda na cokolwiek. Najważniejsze to byłoby teraz zobaczyć Leona i dowiedzieć się, co się stało. Ale na zobaczenie go trzeba czekać cały dzień, aż do wieczora, a do wieczora może się tyle stać, skoro, jak mówi Wanda, już nawet Niemcy wiedzą.

Kosimy dalej, bo trzeba kończyć robotę, każdy po swojemu pod wrażeniem tej wiadomości, przytłoczony uczuciem idącej kata-



strofy. Czuję jak strach uderza mi do głowy falą krwi niespokojnej, mgłą myśli skotłowanych obłędem. Czuję muśnięcie grzbietu kosa, jak się przesuwam wzdłuż całego rozpięcia mojej obecnej życiowej sytuacji i zatrzymuję na chwilę przed powrotnym pociąganiem ostrza. Czekam, nie wiedząc skąd i kiedy przyjdzie. Wanda i Stasiak powrócili do swoich rozmów.

— Ryne nic nie wie — mówi Stasiak. — Tamten mu nie powiedział, udawał chytrego przed Francuzami. Ale po co mu było gadać z Wojtkiem i Magdą? Wojtek w dodatku taki głupi, zaraz wszystkim rozpowiedział...

— Bo to on prawdę komu powie? — protestowała Wanda. — Że on Polak to tyle wiadomo, ale co za jeden i czemu tak się skrywał między Francuzów, to tego nie zdradzi...

— Niemcy z niego wyduszą — podejmował rozmowę Stasiak. — Jak nie powie po dobru, to go będą bili. Albo to oni pierwszy raz takie rzeczy robią? Już się nie bój, Wanda, jak raz go złapią, to się biedak z tego nie wyciągnie, aż im wszystko wypieje raz przy razie i po kolei od samego początku...

Serce mi bije mocno. Tak to jest strach, podły, paskudny strach. Nie mogę opanować tego odruchu nerwów, który mnie przyprawia niemal o mdłości. Niesmak istnienia. Dobrze mi znany spazm, przewracający wnętrzności, którego za nic nie mogę opanować niby dreszczów gorączki, nagłej a nieustannej. Boję się, więc jestem. Jakie to dziwne stwierdzenie, jaka groteskowa prawda, która teraz zamyka sens życia. Pod jej znakiem toczył się cały dzień, nieskończenie długi i rozwlekły, przeniknięty tysiącem przypuszczeń najgorszych, cały zużyty w poszukiwaniu jakiejś rozsądnej drogi wyjścia z impasu dla Leona, ale także dla mnie. Zresztą nic jeszcze nie wiem, dopóki się z Leonem nie spotkam. Jeżeli to wszystko prawda, co mówią Stasiak i Wanda, może go już wieczorem nie będzie, może go już więcej nie zobaczę? I wszystko zamknie się dla mnie zanurzone w morze niepewności, nieznośniejszej i trudniejszej, niżli najgorsza pewność. Z uczuciem ogromnej ulgi zobaczyłem go jednak idącego jak co dnia wieczorem po robocie w stronę Rabenhofu. Schnabel był nadto zajęty swoją robotą, aby mieć czas na słuchanie wiejskich plotek i opowiadań. Do niego jeszcze nie dotarła ta wiadomość. Udaję ogromnym wysiłkiem panowanie nad sobą, że jest wszystko w porządku, że nie ma żadnych zmian w moim stosunku do kolegi jeńca, bo się właśnie nawinął Schnabel i odprowadza mnie do drzwi, gdzie czeka Leon i gdzie za chwilę nadejdzie wachman, aby nas zabrać do lagru. Zagadał nawet Leona jak gdyby nigdy nie. Nie, Schnabel jeszcze nic nie wie. Zostaliśmy na chwilę sami.

— Co się stało? — mówię do Leona głosem ściśniętym z emocji, pilnując się teraz jak umiem, aby nie wybuchnąć. Chciałbym mu prawie rzucić jak oskarżenie: nie powiedziałeś mi prawdy, ukrywałeś przede mną twoje potknięcie się, twoją chwilę słabości, która nas może tyle kosztować. Chciałbym krzyknąć to zduszone przez cały dzień odczucie człowieka, który się uparł wytrwać i widzi nagle, że mu ten opór zacięty wytrąca już nie przypadek, ale człowiek, na którego pomoc najbardziej liczył. Chciałbym wołać mu w twarz: nie rozumiem! Nie rozumiem co się stało i jak się to mogło stać? Ale mówię nieledwie szeptem. I zaklinam o pospiech: mów. Mów szybko, bo nie wiadomo przecież czy nam pozwolą jeszcze być samym. To może ostatnia okazja? I rozpraszam jego wahania i wątpliwości nagłym, ostrym stwierdzeniem: wiem. Wiem, żeś się wygadał. Wiem, że Polacy już

wiedzą. Powiedziałeś im przecież. I wobec tego nie kryj już nic przede mną. Powiedz...

Opowiadanie Leona jest męczące, poszarpane, trudne. Tak, dzisiaj rano kiedy mnie się pytał jakie byłyby szanse dla nas, gdyby wydało się, cośmy zrobili, tak, dziś rano prowadził rozmowę do wyznania swojej tragedii. Nie było jednak czasu aby mógł wszystko powiedzieć, co miał do powiedzenia. Próbował odsunąć ode mnie ten koszmar stwierdzenia, że wpadł. Jak się to stało? Bardzo po prostu — przy robocie, kiedy zniecierpliwiony i nieuważny, mówiących po polsku Polaków zagadał nagle — po polsku. Podaj mi widły — czy coś takiego. Ucieszyli się, zaskoczeni. A to pan Polak?

Co miał robić? — Przyznał się, prosząc o tajemnicę. Ale więniacy nie wytrzymali. Rozgadali wszystkim wokoło. Rodzi mi się w głowie szaleńcza myśl: a gdyby to wszystko próbował jeszcze obrócić w żart? Mówi przecież wielu językami, to i po polsku umie. Za późno. Uwaga jest już na nim skoncentrowana. Podejrzania nikt nie odwróci. Jeżeli Niemcy zechcą sprawdzać jego tożsamość — wyda się wszystko i tak. Nie był nigdy w żadnym biurze podróży. Adres ani nazwisko nie zgadza się. Wystarczy jeden telefon do Paryża, aby ich o tym przekonać. Ogarnia mnie nagle jak gdyby uczucie buntu, jakiejś wściekłej pretensji do Leona, że nie uważał, że się dał nabrać, że jest wyspany. Mówię: gra była na całego. Wszystko za wszystko. Gra była o całą przyszłość, o ratunek!... Leon opuszcza głowę. Odpowiada krótko, decydująco: przegrałem.

Nie ma co robić wyrzutów. Na nic każdy wyraz żalu czy zawodu. Jeszcze tylko jedno pytanie: czy powiedziałeś co o mnie? Czy napomknąłeś może, że nie jesteś sam? Czy domyślają się, że także ja...?

Nie powiedział nic o mnie. Mogę być o to spokojny. Nie, spokojny nie będę już nigdy. To wykluczone. Będę najwyżej wiedział jak dalej prowadzić swoją grę, która się teraz nagle stała tak bezwzględnie skomplikowana.

— Czy możesz mi dać na to słowo? — pytam, szukając mocniejszych podstaw jakże kruchej w tej chwili nadziei, że się potrafię uratować z tego potrzasku, z przepaści w którą mnie niechęć pociągnął.

Słowo. Podał mi rękę. Była spocona i zimna. Przestałem myśleć o sobie. Czuję na piersi ucisk straszliwej troski o niego. Głęboki napływ żalu jest jak fala słabości, która roztapia wszystkie pretensje i wyrzuty, gromadzące się w mózgu raczej, niż w sercu i zamienia je w jeden wielki płomień współczucia, w gotowość poświęcenia się nawet, byle móc ratować przyjaciela, zagrożonego tak ciężkim i niewiadomym losem. Tymczasem wniosek jest tylko jeden w bezradnym, pośpiesznym szukaniu wyjścia: trzymaj się, zaciśnij zęby, tak jak ja je zaciśnałem właśnie. Jutro może byloby dobrze pogadać z twoim chłopem, sam do niego pójdz, poradź się, nie sposób przecież tak tego zostawić i czekać na zmiłowanie się opatrności, która jest teraz przeciw nam. Bo ja wiem zresztą...

Jutro. Złośliwie brzmi to słowo, wrogo wygląda obraz tej bezpośredniej przyszłości dnia, podminowanego niepokojem najgorszych przecuć. Jutro...

\* \* \*

## WBREW CZASOWI POGARDY

## I.

Obecna wojna nie dla wszystkich zaczęła się o jednym czasie. Niektórzy przyjęli ją do wiadomości wraz z jej oficjalnym ogłoszeniem, inni razem z pierwszą bombą, jeszcze inni dopiero opuszczając swój dom obrócony w gruzy, albo czytając na liście strat nazwisko najbliższego człowieka.

Ale byli i tacy, dla których pokój wcale po Traktacie Wersalskim nie nastąpił. Należąc do pokolenia, które dość było dojrzałe w czasie pierwszej wojny światowej, by zrozumieć jej problematykę, a nie dość stare, by w obliczu katastrofy ogłosić désinterressement — ci ludzie świadomi rozpadli się po wojnie na dwie grupy. Jedna grupa, utraciwszy wiarę w humanitaryzm, zainaugurowała Czas Pogardy. Rozczarowani, bez względu na to czy w obrębie narodów zwycięskich, czy też zwyciężonych, uznali hasło „Wolność, Równość, Braterstwo” za slogan mistyczny równie nierealny jak nakazy chrześcijaństwa. Wolność ale czego? — pytali. Życia czy wegetacji? Handlu, czy lichwy? Wydawania, czy słuchania rozkazów? Równość wobec czego? Wobec prawa, czy wobec sumienia? Braterstwo czyje? Przemysłowca z robotnikiem, buchaltera z poetą, czy może Wice-Króla Indii z pariasem? Po dojściu do przekonania, że ludzkość nie osiągnęła jeszcze w swoim rozwoju punktu, poniżej którego jest chaotyczny bełkot żywołów, a powyżej — jednoznaczna mowa istot rozumnych, pesymiści — o ile nie odwrócili się od sprawy publicznej by popaść w mniej lub bardziej jałowy egocentryzm — uczynili z niej strefę dla wtajemniczonych. Wtajemniczonych w bezduśność tłumu. Ci wtajemniczeni nie zawsze zasługiwali na nazwę rekinów, lub demonów. Wielu podjęło trud bezinteresowny uwolnienia mas z nakazu wolności, narzuconego im przez religie i przez rewolucje. Czyn — na pozór — miłosierny, skoro w świecie zmechanizowanym wolność przerodziła się w trudną sztukę, wymagającą twórczej wyobraźni zarówno rządzących, jak rządzonych. Wiadomo zaś, że nawet nędza nie jest tak wstrętą dla tłumowi, jak wysiłek wyobraźni.

Druga grupa — mimo gorzkich doświadczeń — nie zrezygnowała z drogi, wytkniętej przez wielkich optymistów w rodzaju Sokratesa, czy Chrystusa. Wierzyła nadal, że cywilizacja jest sumą zdobyczy indywidualnych, że wolność — nawet najtrudniejsza — nie przestaje być obowiązkiem jednostek i narodów, że instancja odwoławcza wszelkich sporów o równość — prawo boskie, jest prawem realnym i, że braterstwo między Wice-Królem Indii a pariasem da się osiągnąć w królestwie z tego świata.

Ludzie tej grupy nie zgodzili się na Czas Pogardy, bo wiedzieli że pesymiści wydali wyrok na ludzkość, nie przeprowadziwszy rzetelnego śledztwa. Nie wszystkich świadków wysłuchano, wizje lokalne przeprowadzono źle, sędziowie bywali przekupni. Pokój nie sięgnął do korzeni konfliktu, historyczne i psychologiczne tajemnice, jak niewygasłe wulkany, groziły nadal pracom i nadziejom.

Wśród optymistów niepoślednie miejsce zajęli artyści, a więc i pisarze. Ze tak było, dowód znajdujemy w podejrzliwym, nieraz nienawistnym do nich stosunku dyktatorów. Raz po raz po-

jawiały się książki takie jak „Zauberberg”, „Srebrna Łyżka”, „Faux Monnayeurs”, „Condition Humaine”, „Babitt” czy „Historia Świata” Wellsa, których autorzy usiłowali dotrzeć do tych pokładów konfliktu światowego, do których nie chcieli przeniknąć dyplomaci, ani wodzowie. Jednocześnie charakter ludzki, opisywany przez pisarzy typu Balzac’a czy Dickens’a na zasadzie jego klasycznej funkcji społecznej, podług katalogu cech „dobrych” i „złych” — teraz, wzorem Proust’a, stał się przedmiotem naukowej niemal analizy, mającej na celu wykrycie tajnych motorów energii człowieka. Mimo pozorów amoralności metoda ta sprzyjała istotnym moralistom, gdyż przez odsłanianie mechanizmu procesów psychicznych — ułatwiała zarówno diagnozę, jak terapię złą.

## II.

Książka Rebeki West o Jugosławii, mimo że ukazała się w trzecim roku drugiej wojny światowej, jest owocem niepokoju, jaki nękał optymistów w czasie pokojowego antraktu.

Rebeka West jest optymistką. Na końcowych kartach dwutomowego dzieła o kraju, z którym nie łączy jej nic — oprócz dzieciennych snów i dwóch parotygodniowych podróży — pisze: „Dobroć jest zachwycająca i jest nieśmiertelna. Wdeptana w ziemię, odpręża się znowu, a ludzie grzebią w prochach, żeby odnaleźć pierwszy kielek zielony jej powrotu. Nienawiść wyprzedza miłość i daje nienawistnikowi przedziwne i wielkie rozkosze. Ale dzieła jej są krótkotrwałe, głowa odpada od tułowia przed czasem śmierci naturalnej; kłamstwo rozbija plany innego kłamcy zanim one przybiorą kształt ostateczny. Wcześniej czy później społeczeństwo nuży się układaniem mozaiki z tych złowrogich cząstek. I nawet gdy rządy nienawistników trwają przez kilka stuleci, nie mieszczą się w czasie prawdziwym — są luką w przebiegu rzeczywistości. Najogromniejsze kradzieże, wyprawy w skały światowej po śpichrze i po kopalnie, luki tej nie zapełnią”.

Cóż więc ją zapełni? — pyta czytelnik. Zaryzykuję odpowiedź: Niepokój ludzi mądrych.

W prologu autorka przywołuje z niepamięci pewien dzień października 1934 roku, kiedy słuchając radia w londyńskim pokoju szpitalnym, nazajutrz po ciężkiej operacji, dowiedziała się o zamordowaniu w Marsylii króla Jugosławii. „Przeszliśmy więc w następną fazę misterium, jakie tu odgrywamy na ziemi — pomyślała — Wojna wydaje się nieunikniona”. Przywołała pielęgniarkę i gdy ta stanęła w progu, Rebeka West krzyknęła: „Szybko, szybko telefon! Straszna rzecz się stała: Król Jugosławii zamordowany!” — „Boże jedyny — jęknęła pielęgniarka. — Czy Pani go знаła?” — „Nie” — odpowiedziała West. „Więc czemu uważa pani tę rzecz za tak straszną?” Autorka notuje: „to pytanie przypomniało mi, że słowo „idiotka” wywodzi się z greckiego pierwiastka, który znaczy „osoba prywatna”.

Przeczytawszy to zdanie wstrząsnęłam się, jak za dotknięciem prądu elektrycznego: oto krótkie spięcie mądrości z głupotą. W błysku tego spięcia ujrzałam mądrość i głupotę w aspekcie o ileż właściwiej tłumaczącym dramat ludzki, niż banalna wersja o mędrca obojętnym na ból świata i o współczującym prostaczku!

Rebeka West zapomniała o własnej ranie i o sonecie Joachima du Bellay ... „Heureux qui comme Ulysse a fait un beau voyage”... z ciepła i komfortu swego pokoju w Londynie dzwoniła gorączkowo, żeby zakłócić czyjaś ciszę dlatego że na kontynencie otwar-

ła się znowu rana w ciele obcego narodu, ropiejąca rana odwiecznych konfliktów i przemocy.

Czy dzwoniła w egzaltowanym odczuciu klęski tego obcego narodu? Czy bała się nowego przyływu cierpień na kontynent, oddzielony od niej tak skutecznie La Manche'em? Nie. Dzwoniła ze strachu o swoje szczęście. A więc z egoizmu? Nie, z mądrości. Z tej przyczyny, że mądrzy wiedzą, jak lotne, jak niemożliwe do zlokalizowania jest zło. Jak nieubłagane precyzyjny i dalekonośny jest mechanizm zła, jak nikt w całym wielkim świecie nie zdoła uniknąć ciosów zła, na które się zgodził swoim milczeniem, brakiem wyobraźni, swoją prywatnością, swoją poczciwą głupotą. I z tej także przyczyny, że czas mądrych nie zamyka się w granicach ich własnego życia: czują ból i radość godzin, które będą kiedyś przeżywały ich dzieci — te prawdziwe i te urojone. „Rzeczywiście zmartwiałam ze zgrozy — przyznaje Rebeka West — gdyż wszystkie te zabójstwa (zabójstwo cesarzowej austriackiej Elżbiety przez kosmopolitycznego proletariusza Luccheni'ego, zabójstwo Aleksandra Obrenowicza i królowej Dragi przez oficerów serbskich, wreszcie sarajewski zamach Princip'a), wszystkie te fakty przyśpieszały moją własną zagładę, albo ją uzmysławiały. A teraz znowu to morderstwo w Marsylii”...

Szlachetne słowa. Nie mylmy się bowiem: obsesja osobistego zagrożenia nie jest oznaką egoizmu. To brak wyobraźni wytwarza strefę neutralną między własnym bezpieczeństwem a cudzym cierpieniem. Mądrzy boją się i nienawidzą zła, najbardziej nawet odległego od ich domów, gdyż znają jego magiczne sposoby na czas i na przestrzeń. „Idioci, czyli osoby prywatne” trwają w błogim lekceważeniu zła, nie dlatego, że obojętne im jest własne bezpieczeństwo, lecz, że nie umieją sobie wyobrazić związku między wydarzeniami w obcych krajach a ich prywatną egzystencją. I tak powstaje z jednej strony międzynarodowe braterstwo istot czujnych, niespokojnych o własne szczęście dlatego, że na antypodach ktoś cierpi — istot mądrych. Z drugiej strony — sypka masa pozornych stoików, pewnych własnego szczęścia, gdyż nawet męczarnie sąsiada zza ściany oddzielone są od nich międzyplanetarną przestrzenią głupoty.

Ale, jeśli chce się walczyć ze złem, nie dość jest bać się go; trzeba jeszcze przyjrzeć się z bliska jego ofiarom i triumfom.

Przyszły do zdrowia, Rebeka West postarała się o kilkakrotne obejrzenie filmu, na którym utrwalono zabójstwo króla Aleksandra. Komentarz jej jest jednym z najpiękniejszych fragmentów prozy, jakie znam. Pisarka osiągnęła tu szczyt przenikliwości, której pozadrościć by jej mogli zarówno kryminolodzy, jak wielcy poeci. Spotkanie Aleksandra Kara Georgewicz'a z Ministrem Barthou — w jej interpretacji — urasta do spotkania dwóch losów tej samej Europy, a także dwóch niewspółmiernych, dysharmornijnych dusz. Jak gdyby zawstydzona — w tym wypadku — błahością duszy łacińskiej, West likwiduje p. Barthou w kilku wyrazach, żeby tym głębiej pograć się w kontemplację duszy słowiańskiej. Niestety, już na trzeciej stronie komentarza wiatr zza świata rozprasza to misterium lokalne i ciało króla, przez tyle lat sztywne od żądy wielkości — sztywnieje w agonii.

Autorka nie może pogodzić się z tą śmiercią. Zaczyna się jej cierpliwa, trudna praca badawcza.

„Gwałt był — w istocie — wszystkim, co wiedziałam o Bałkanach — wyznaje. — W Paryżu, zbudzona raz w pokoju hotelowym przez niedostatecznie prywatne życie moich sąsiadów, usłyszałam

odgłos klapsów i głos kobiecy, łkający: „Bałkany, Bałkany!” Pewnego dnia w Nizzy, gdy jadłam langustę na werandzie małej restauracyjki, rozległy się strzały, marynarz wytoczył się z sąsiedniego baru, właścicielka biegła za nim krzycząc „Bałkany, Bałkany!” Bo marynarz strzelał przed chwilą do lustra. A teraz stanęłam wobec bezmiernej szlachetności tego króla na filmie, króla który niewątpliwie uosabiał „Bałkany, Bałkany”, ale który wyszedł naprzeciwko gwałtowi z trzeźwością, stanowiącą najpełniejsze zaprzeczenie gwałtów. Nie wiem nic o tym kącie Europy, z którego stale tryskają prądy grożące memu bezpieczeństwu; a zatem nie wiem nic o moim własnym losie”.

W dwa lata później nastąpiła pierwsza podróż Rebeki West do Jugosławii. Wróciwszy, powiedziała mężowi: „Naprawdę, my nie jesteśmy tak bogaci na Zachodzie, jak się nam wydaje. Albo raczej istnieje wiele rzeczy, których my tutaj nie mamy. Muszę prędko znów pojechać do Jugosławii”.

Nie jest moim celem streszczanie dwóch około 600 stronicowych tomów, w których zamknięta została — pod osłoną wrażeń turystycznych — historia krajów Bałkańskich, zespolonych w 1918 roku w blok jugosłowiański. Zatrzymałam się nieco na prologu, gdyż w nim autorka najjaśniej sama formułuje swoją postawę.

\* \* \*

Książka „Czarne Jagnię i Szary Sokół” (tak się to dzieło o Jugosławii nazywa) dostała się do rąk czytelników w czasie, gdy barbarzyństwo wojenne osiągnęło zenit. Gdy tyle osiedli ludzkich leżało w gruzach, ile ich nie zagrzebały pod lawą wszystkie wulkany w ciągu dziejów świata. Gdy granice państw kontynentalnych, jak krawędzie grobów, przepuszczały już tylko mrowie żołnierzy, przewalające się po trupach na podobieństwo zbrojnych w twarde skrzydła żuków, zwanych grabarzami. Gdy w komorach gazowych duszono tłumy Żydów. Gdy dzieci polskie, tysiąc za tysiącem, potykały się jak bezdomne szczenięta, o śmiertelny śnieg na Syberii, o śmiertelny głód i żar azjatyckiego stepu, o stokroć śmiertelniejszy nonsens tej wojny, która tyle złych mocy ułaskawiła by osiągnąć swój „triumf nad złem”. Gdy mieszkańcy Aten, stoczywszy walkę — jakże zawsze szlachetną, choć zawsze nierozsądną — z przeważającą siłą wrogów, kładli się na chodnikach swego miasta by umierać na tyfus pod niebem muz i Apollina. Gdy we Francji nie było już ani logiki, ani wolności, ani dobrych win. Gdy w Niemczech pogaństwo miało twarz bez uśmiechu. Gdy w kraju wiernej Solweygi Quisling wyrósł na symbol zdrady. Gdy dziwność uczuć i tajemniczość czynów przybrała formy koszmaru, z którego nikt nie śmiał się obudzić. W takim to czasie ukazała się ta książka Angielki — ogromna, źródłowa, pełna inteligencji i talentu — poświęcona narodowi zwyciężonemu, ubogiemu, a przy tym kłopotliwemu, gdyż nie skłonnemu do zrzeczenia się swoich praw do odrębnego losu na miarę własnych potrzeb. Sądzę, że nawet gdyby ta książka nie była tak świetna jak jest, sam fakt jej ogłoszenia w zenicie Czasu Pogardy przyczyniłby się do rehabilitacji człowieka.

\* \* \*

Na czym polega jej świetność literacka? Na niezwykłości. Już w roku 1885 Maupassant oświadczył: „Trzeba być w istocie szaleńcem, i to bardzo zuchwałym, albo bardzo głupim aby dziś jeszcze porywać się na pisanie. Po tylu mistrzach o naturach tak różnych, o geniuszu tak bogatym, cóż pozostaje do zrobienia, cze-

go by jeszcze nie zrobiono, co jeszcze powiedzieć, co by już przedtem nie było wielokroć powtórzone?" Otóż Rebeka West w roku 1942 zrobiła i powiedziała rzeczy nowe. Jugosławia jest wprawdzie krajem mało znanym i niewielkie miejsce zajmuje w literaturze świata, jednak nie temat stanowi nowość „Jagnięcia i Sokoła”, lecz sposób traktowania tematu.

Rebeka West opisuje narody nie jak abstrakcyjne obiekty historii, nie jak sumy faktów politycznych i gospodarczych, lecz jak żywe osoby, jak sumy ludzkich jednostek. Pisarz rzadko bohaterów swoich powieści zna od urodzenia; zazwyczaj zastaje ich w pół drogi, jeśli nie u schyłku życia, i usiłuje na zasadzie obserwacji ich postępowania odgadnąć ich przeszłość, zrozumieć motywy, wyjaśnić sobie miejsce jakie zajmują w świecie. R. West poznała Jugosławię w dziewiętnastym roku jej bytu państwowe-go, ale narody które weszły w skład tego państwa miały już za sobą długie wieki historii. Żeby zrozumieć Jugosławię, autorka postarała się zrozumieć współczesnych Jugosłowian. Historia posłużyła jej za środek do poznania ich psychologii, tak jak retrospekcja dopomaga belletrystyce do scharakteryzowania bohatera powieści.

„Jagnię i Sokół” — o p o w i e ś ć o konglomeracie narodów — napisana została, podobnie jak tom o „Jeunes filles en fleurs”, czy o rodzinie Swanów, w poszukiwaniu utraconego czasu. Proust, skazany przez chorobę na ciemnicę, przeraził się pewnego dnia swojej ignorancji, postanowił lata przeżyte w nieświadomości własnych i cudzych uczuć — odbudować, sięgając pamięcią do początku spraw i ludzi, z którymi los kiedyś zetknął go, nie odsłoniwszy ich tajemnic. Rebeka West, skazana na ciemnicę przez obojętność i krótkowzroczność środowiska, w którym żyła w antrakcie międzywojennym, postanowiła dla siebie, dla własnego uświadomienia, odbudować lata ubiegłe w świetle wydarzeń, jakie zachodziły podczas jej życia w tajemniczych krajach bałkańskich, tym wiecznie wrzącym kotle Europy.

Podobnie jak Proust wobec barona de Charlus, czy Odetty Swan, czy starej Françoise, Rebeka West wobec Serbii, Chorwacji, czy Bośni nie przybrała postawy prokuratora, którą tak łatwo przybierają moralisci i historycy. Sięgając do korzeni współczesnych instytucji i koniunktur, starała się przede wszystkim zrozumieć prawdę o człowieku. Punktem wyjścia jej pracy jest przeświadczenie o monizmie spraw ludzkich. R. West należy do tych ciągle jeszcze niezmiernie rzadkich obywateli epoki radia i samolotu, którzy we własnym samopoczuciu znajdują potwierdzenie faktu, że granice państw nie odpowiadają żadnej zasadniczej prawdzie życia i że pod każdą szerokością geograficzną różnice czy podobieństwa między człowiekiem a człowiekiem są istotniejsze, niż różnice czy podobieństwa między narodem a narodem. Skala bowiem cech indywidualnych jest bogatsza, niż skala cech narodowych. A normy moralne — mimo to — łatwiejsze do ustalenia dla ludzi, niż dla narodów, skoro narody są funkcją historii, jednostki zaś funkcją przyrody. W kategoriach zaś religijnych — dziećmi Boga.

Posiadając takie samopoczucie, pisarka nie mierzy osiągnięć politycznych, społecznych, artystycznych Jugosławii miarami brytyjskimi. Nie ustala też hierachii narodowych osiągnięć. Po Proustowsku świadoma ścisłych — często niemożliwych do wyśledzenia — związków dobra ze złem, niczego nie idealizuje i na nic się nie oburza. Jej ironia nieustannie łączy w jednym uśmie-

chu pychę silnych z zarozumiałstwem słabych, tępotę szczęśliwych z histerią wydziedziczonych, rozrzutność ubogich z ubóstwem duchowym bogaczy.

\* \* \*

Osią krystalizacyjną obserwacji, rozważań i studiów R. West nad Jugosławią jest dwumiesięczna podróż w 1937 r. Pierwsze media, które pozwalają jej na nawiązanie kontaktu z nową rzeczywistością, to trzej dawniej już poznani ludzie: 1) Serb, literat i urzędnik, pochodzenia żydowskiego, urodzony w Serbii już wolnej, żonaty z Niemką, lojalny Jugosłowianin, 2) patrycjusz chorwacki, federalista, anty-Jugosłowianin, zwolennik autonomii Chorwacji, 3) wreszcie inny gatunek Chorwata, stary rewolucjonista przeciw-austriacki, dla którego twór polityczny, zwany Jugosławią, jest ziszczeniem młodzieńczych marzeń i świętością niepodległą krytyce.

Wtajemniczenie wstępne w sprawy polityczne i historyczne następuje zatem przy pomocy testów psychologicznych, jakim autorka — świadomie i nieświadomie — poddaje te trzy typy. Charakterystyka ich — zwłaszcza Serba — należy do majstersztyków książki.

Na pierwsze wrażenie zdawaćby się mogło, że wybór człowieka pochodzenia żydowskiego — męża Niemki — na jedną z figur reprezentacyjnych narodu słowiańskiego, jest błędem. Niebawem dochodzimy do wręcz przeciwnego wniosku. Człowiek ten bowiem — intelektualista wysokiej klasy, obdarzony przy tym wrażliwością artysty — kreuując się na Serba świadomie, nie zaś drogą przypadkowych atawizmów, niejasnych wspomnień i mieszaných tradycji — stał się Serbem, że tak powiem — w stanie czystym: w stanie najwyższego nasilenia cech, dobrowolnie przyjętych za swoje. Fakt zaś małżeństwa z Niemką, która gardzi nim podwójnie: jako Żydem — bardziej, jako Słowianinem — mniej — cechy słowiańskie, mniej wzgardzone, doprowadza do egzaltacji. Constantine — postać głęboko i wieloznacznie tragiczna — ilustruje swymi przeżyciami zarówno dramat żydowski, jak jugosłowiański. Dla Jugosłowian t.zw. „rasowych” mogą jego przeżycia słowiańskie wyglądać nie dość autentycznie, na tej samej zasadzie, na jakiej dla praktyków wszelka synteza naukowa wygląda podejrzanie. Ale dla cudzoziemca możność studiowania charakteru narodowego na przykładzie osobnika, który nie tylko intensywnie odczuwa, jasno formułuje, ale i posiada świadomość egzotyizmu własnych uczuć i myśli — jest szansą pierwszorzędą.

R. West korzysta z niej skwapliwie. Za pośrednictwem wybujałych nerwów, inteligencji, wyobraźni tego nowego Otella konfrontuje się z takimi stronami życia Słowian Południowych, które — bez udziału Constantine'a w jej podróży — pozostałyby prawdopodobnie w sferze fałszywych domysłów.

Jego żona, Gerda, nie jest Desdemoną klasyczną i Constantine nie morduje jej, chociaż ta jego blondynka kusi śmierć o każdej godzinie dnia i nocy. Nie morduje, bo nie jest ani Maurem ani hitlerowcem. Gerda zaś — mimo że tak samo, jak Desdemona, wciela dla zakochanego ideał pańskości — nie posiada w sobie ani poezji, ani bezbronności, ani miłosierdzia — żadnej z zalet arystokratycznych, które by mogły ulec zniszczeniu z ręki barbarzyńcy. Gerda tych zalet nie posiada, gdyż jest Niemką, czyli niewolnicą — a więc duchową kaleką, gardzącą wszystkim co „słabe”.



Ukazanie tej kobiety — mściwie uśmiechniętej, ślepej na piękno świata, organicznie niezdolnej do cywilizowanego współżycia — na tle czarodziejskich pejzaży bałkańskich, w otoczeniu ludzi czułych i naiwnych, jest wspaniałym efektem.

Myśląc o niej nie mogę obronić się przed podziwem dla trafności niektórych polskich słów. Niemiec, Niemka — ludzie niemi. Któż w ciągu historii poznał Niemców z bliższego dystansu, z głębszego doświadczenia, niż Polacy i Czesi; ich nazwa na tę rasę istot niekompletnych, pozbawionych wspólnego z resztą ludzkości języka uczuć, jest nazwą miarodajną.

Żona Constantine'a przechodzi przez tę Arkadię jak strzyga z podziemnego państwa złego króla Mime — zabłąkana na ziemi, niezrozumiała, nierozumiejąca. Nie wiadomo, czy brzydzić się nią, czy jej raczej żałować.

Sądzę, że R. West posłużyła się tą kontrastową postacią dla celów nie tylko artystycznych — żywioł niemiecki był jej potrzebny do obrazu sił politycznych na Bałkanach. Wobec świetności, z jaką Gerda odegrała swoją rolę, tym silniej uderza brak figury, która by symbolizowała Rosję — drugi żywioł, od wieków do dziś szturmujący Bałkany.

\* \* \*

Proustowski — jak go nazwałam — stosunek R. West do minionego czasu na płaszczyźnie historii znajduje znakomite uławtwienie w teoriach Freuda, które przypisują narodom tę samą świadomość i podświadomość, co jednostkom. Nie wiem, czy metoda autorki „Jagnięcia i Sokoła” wypływa z tych teorii, czy z jej własnej intuicji. W każdym razie historię rozsyfrowuje się w tej książce podobnym kluczem, co sekrety przyjaciół. Rozbiór mitów, wierzeń, herezji zastępuje psychoanalizę. Manicheizm, czy mitraizm, prawosławie, islam, czy katolicyzm — jak obsesje sene, jak zepchnięte w podświadomość urazy, jak nocne strachy i dzienne marzenia — krążą pod powierzchnią dziejów, nasycając sugestiami czyny zdobywców i reakcje ludów. Nawet Napoleon I i marszałek Marmont — z chwilą gdy wstępują w krąg bałkański — stają się wykładnikami manichejskiego światopoglądu, nie mówiąc już o tym jak dalece katolicka polityka dożów nad słowiańskim Adriatykiem nasiąka mistyką Wschodu.

Ale R. West nie zatrzymuje się na tej swoistej psychoanalizie. Uzupełnia ona freudowską teorię analogii między s w i a d o m o ś c i ą narodu i jednostki, stwierdzeniem analogij istniejących w m e c h a n i z m i e losu, bez względu na to, czy on dotyczy życia prywatnego p. X. czy pani Y. w wieku XX, czy też bytu społeczności średniowiecznych.

Oto np. w XIII w. hordy mongolskie zalewają Europę. Król węgierski Bela schronił się na wysepkę opodal dalmatyńskiego miasta Trogir. Herold najeźdźców wykrzykuje u bram miasta wszelkie pogrożki, jakie w podobnych okolicznościach bywają miotane. Król odpowiadać zabronił. Mieszkańcy, o ile go nie wydadzą, zapłacą własnymi głowami. Porażeni — milczą. Los wzbiera do kulminacji, czytelnik czeka na katastrofę. Tymczasem R. West mówi: „Wszyscyśmy w naszym życiu osobistym slyszeli słowa gromkie, które powinny były rozpętać tragedię. Wszyscy także rozpoznali, w powodzi innych, to zdanie, po którym nic już nie mogło wyniknąć, tylko miłość i szczęście. A potem nie wynikało nic. Życie szło naprzód dokładnie tak samo, jak przedtem. W historii pionek popchnięty zazwyczaj pada. W Trogirze stało się inaczej. Po tej wielkiej chwili — nie nastą-

piło nic zgoła. Herold wykrzyczał swoje patetyczne wezwanie — strażę królewskie milczały. I cios nie spadł: Mongołowie zabrali się do domu”.

Czyż nie tak samo Proust w momencie szczytowym swoich uczuć do Albertyny staje nagle przed Albertyną, której nie ma — przed Albertyną uśpioną?

\* \* \*

Niesamowita próżnia — anty-climax dziejów — pauza między katastrofami — taki jest ten cały czas w Europie, kiedy R. West poznaje Jugosławię. Wszystko nagle ustało, czy też nic jeszcze się nie zaczęło... Jak przed bramami oblężonego miasta, albo przed twarzą śpiącego człowieka, stoi autorka przed Jugosławią, czekając na uderzenie losu. Nie stoi bierna — nie jest przecież „osobą prywatną”. Z wiosek i z rzek, ze starych cerkwi, z haftów ludowych, z legend, z rozmów i z uśmiechów stara się odcyfrować sens minionych oraz przyszłych wydarzeń.

Kraj odsłania się przed nią — raz świeży, jak Eden, raz pokryty zmarszczkami pradziejów, wystygły niemal. Język i obyczaj, pogoda, światło, rośliny — wszystko jest obce — nic nie jest obojętne. Poczucie wspólności wszystkich ludzkich spraw, bez względu na teren i na czas, w jakim się dzieją, owo rzadkie, integralnie chrześcijańskie poczucie odpowiedzialności za k a ż d ą ludzką sprawę — czyni, że pisarka niczego nie ośmiesza, nie dziwi się, a także nie szuka łatwych triumfów nad cudzym grzechem. Nasycona wiedzą historyczną i psychologiczną w stopniu nieporównanie wyższym, niż jej otoczenie, cierpliwie tłumaczy i rozgrzesza.

Jej ciekawość w pierwszym rzędzie kieruje się do wydarzeń od których zaczął się jej niepokój o pomyślność świata i własną — do tych okrutnych bałkańskich „zamachów” — widomych znaków jakiegoś zawilego nonsensu, trawiącego organizm Europy. Zabójstwo Dragi i Aleksandra, zamach serajewski i marsylski użyskały — na skutek przenikliwych studiów R. West — perspektywę historyczną, miejsce określone w splocie światowych koniunktur politycznych — ale i pełną wymowę ludzkiego nieszczęścia. Pełnia tej tragicznej wymowy wynika stąd, że w oczach autorki los człowieka ani przez chwilę nie toczy się poza kręgiem powszechnego prawa życia, obejmującego zarówno królów, jak prostytutki, zarówno Anglików, Serbów, jak sarny, czy niedźwiedzie. Poczucie monizmu sprawy ludzkiej prowadzi więc pisarkę konsekwentnie do franciszkańskiego poczucia jedności życia. I oto stajemy się świadkami najdziwniejszej konfrontacji w historii Europy nowożytnej: konfrontacji pomordowanych zwierząt ze skazanym na śmierć Habsburgiem. Pierwsza bomba w Serajewie już została ciśnięta, adiutanta raniono, młodego zamachowca Szabrinowicza ujęła już policja — w ratuszu serajewskim burmistrz skamieniały z przerażenia, bełkocze mowę powitalną przed arcyksięciem tak wzburzonym, że w twarzy jego i ruchach nie widać nic ludzkiego. Za kwadrans, czy za pół godziny, uroczystość się skończy, orszak wiedeński powróci na ulice orientального miasta i wystrzelone zostaną kule, którymi Prncip dokona tego, czego Szabrinowicz nie zdołał.

I znowu synkopa. Znowu pas transmisyjny, niosący ludzką miłość między gwiazdami — wstrzymany na sekundę... Rebeka West pisze: „Byłoby niesprawiedliwością twierdzić, że Franciszek Ferdynand nie miał kontaktów z przyrodą. Sala wokół niego zapełniona była ludźmi patrzącymi nań z tą nieosobistą zgro-

zą, jaką budzi każdy, co ma za chwilę umrzeć. Ale równie dobrze można by twierdzić, że sala była wypełniona widmami niezliczonych ptaków i czworonogów, które padły pod jego strzałami. Był wspaniałym strzelcem; piękna rzecz dla mężczyzny, świadcząca, że sam jest pysznym zwierzęciem, chybkiem w oku i dłoni, wytrzymałym na wszelką pogodę. Ale Franciszek Ferdynand uczynił z tego talentu sportowego, talent morderstwa... Na krótko przed śmiercią oświadczył satysfakcję z faktu, że zabił swego trzecztyśięczonego kozła... Darem rzeźniczym wyrażał nienawiść, jaką czuł dla całego niemałego świata, jaką — można to śmiało powiedzieć — żywił dla wszystkich z wyjątkiem swojej żony i swoich dwojga dzieci... Podczas swego zatargu z hr. Donnersmarkiem, wymówiwszy mu dzierżawę jego dóbr na Górnym Śląsku — zanim z tych dóbr ustąpił — wybił, w nieustannych obławach, całą zwierzynę tak rzeźniczym sposobem, że granica między życiem a konaniem zatarła się zupełnie, a oszaleli ludzie stracili świadomość tego, że zabijają. Ale Franciszek Ferdynand i jego służba uznali, że potęgi życia przewyższają jeszcze ich siły i część polowania odstąpiono pewnemu przemysłowcowi z Wiednia, pod warunkiem by prowadził taką samą krucjatę zniszczenia... Należy zatem przypuszczać, że — podobnie jak św. Julianowi, w noc kiedy miało się dokonać jego przeznaczenie, ukazała się okrutnie przezeń pomordowana zwierzyna — tak do tej sali serajewskiej nadciągnęło pół miliona bestii zatłuczonych przez arcyksięcia Habsburga. Ogromny ścisk upiórów pierzastych, widm porośniętych sierścią... Ich zwierzęce oczy, przezroczyście i ciemne, jak woda, patrzyły bez zmużenia na swego oprawcę, zmierzającego ku końcowi tak podobnemu do ich własnego — niegdyś — końca. Gdyż wielkość Franciszka Ferdynanda, jako myśliwego, nie polegała jedynie na jego talencie strzeleckim, lecz również, i nade wszystko, na umiejętności organizowania obławy”...

Ktoś powie: sentymentalizm, ktoś inny: wstrząsająca wizja. Jedno jest pewne: polityką i ekonomią nie można krwawych konfliktów ludzkości bez reszty wytłumaczyć. Za sprawą nauki i praktyki, upadły przeszkody do zgodnego współżycia klas i narodów. Głód, epidemie, nienawiść przestały być koniecznością. Jednak nasilenie konfliktów nie słabnie. Kto wie zatem, czy nie bliżsi prawdy od polityków, ekonomistów, socjologów są ci pisarze, których niepokój odwraca się od tanków, bezrobocia, komór gazowych i totalizmu, by krążyć uparcie nad źródłem wszelkiej nieprawości: nad sercem złego człowieka.

\* \* \*

Książka R. West jest — jak wszystkie prawie historie stosunków ludzkich — książką o przemocy jednych ludzi nad drugimi. Nawet jeśli wątkiem powieści jest miłość, sprawa rzadko obchodzi się bez wymuszonej lub dobrowolnej ofiary bohaterki na rzecz bohatera, lub odwrotnie. A trudno uważać za romans dyplomatyczne zbliżenia i zbójce spory między narodami.

Zasadą stosunku jest tutaj wyłącznie interes, zabarwiony czasem sentymentami tradycji.

I znowu — jak w prologu — stajemy przed zagadnieniem dobroci, która pokrywa się z mądrością. Czy interes oparty na krzywdzie może być dobry?

Z „Jagnięcia i Sokoła” wynika, że przemoc, w polityce międzynarodowej zwana imperializmem — jest interesem złym. Bałkany, odwieczny teatr różnych imperializmów — są zarazem tych

imperializmów cmentarzem. Prądów przemocy, które wsiąkały w półwysep, będący pomostem z Europy ku Indiom, naliczyć można wiele, nie sięgając nawet w dzieje zbyt głęboko. Ale ani wyśoka Porta Ottomańska, ani Republika Wenecka, ani Napoleon, ani Cesarstwa Rosyjskie i Austro-Węgierskie nie zbudowały tu niczego, co by uznać było można za więcej niż nagrobek fałszywych ambicji.

W miasteczku Trebiny na Hercegowinie autorka — oprowadzana przez jegomościa w brokatowym fraku i w fezie, mówiącego po niemiecku — zwiedziła dom byłego paszy. Eks-dygnitarz zaborczego eks-mocarstwa mieszkał teraz gdzieś w zapadłej wiosce i utrzymywał rodzinę z tego, co jego maskaradowy sługus wyłudził od turystów za oglądanie rekwizytów haremowych i za oddychanie przez godzinę powietrzem egzotycznej tyranii.

„Gdyśmy wyjeżdżali z tego miasta — pisze R. West — powiedziałam mężowi: Jakże wstrętne są trupy imperiów — cuchną jak nic w świecie. Cuchną tak strasznie, że nie mogę uwierzyć, aby nawet za życia były zdrowe. — Wątpię — odrzekł mój mąż — czy zdołasz wytłumaczyć ludziom, że narastanie wielkiego imperium jest pozbawione cech wspaniałości. — Oczywiście — zgodziłam się — ale ohyda przewyższa piękno. Nie powiesz, mam nadzieję, że imperia narzucają prawo ludom żyjącym bez prawa. To właśnie imperia żyją łamaniem praw. — Poniżej szosy mogliśmy teraz widzieć w przejeździe olbrzymie koszary zbudowane przez Austriaków. I znowu przypomniałam sobie rzecz, o której usiłowałam zapomnieć, kiedyśmy jechali w stronę przeciwną. Tu mieszkańcy Hercegowiny przekonali się jak bardzo podobne są do siebie wszelkie imperia i że Austria nie była w niczem lepsza od Turcji. W obrębie koszar Imperium Austriackie powiesiło osiemdziesiąt osób za przestępstwa, których nie wzmiankują żadne kodeksy od początku świata”.

Z kolei pisarka przypomina jak to — po swoim zwycięstwie — Napoleon nagroził pomoc Republiki Dubrownickiej przeciwko Rosji i Czarnogórze zniesieniem tejże Republiki. „Napoleon nie dał Republice nic wzamian za jej niepodległość” — stwierdza R. West i konkluduje: „nie sposób zatem wierzyć, że Napoleon był geniuszem w roku 1808. A jednak z pewnością był nim do przełomu stulecia. Wynika stąd, że imperium degraduje zarówno tych, których wynosi na szczyty, jak tych, których poniża”.

Podobnie melancholijne refleksje nastęrcza imperialistyczna polityka Rosji. O czarnogórskim Cetynje autorka mówi: „To ubogie miasto bielone, zbudowane na nieużytkach, było widownią niezliczonych błazeństw popełnionych przez carat”. A nieco dalej: „gdy rząd carski zniszczył w ten sposób mechanizm, utrzymujący ład w Czarnogórze, kraj pogrążył się w anarchię”...

Niebawem jednak — dodajemy w myśli — Imperium Carów podobnie jak przedtem Imperium Napoleona, pogrążyło się w nicłość. Żaden z tych imperialistycznych interesów nie opłacił się żadnej ze stron.

\* \* \*

Interes się nie opłacił. Żli okazali się głupcami. Silni stracili swój wkład na równi ze słabymi. „Osoby prywatne (czyli idioci)”, podzielili obie klęski. Ale słabi stracili na walkę z przemocą ceny czas, dany narodom po to, by — jak to formułuje R. West — „doświadczyły losu każdy na swojej własnej drodze i doznały własnej rewelacji wszechświata”.

Na czym więc opiera autorka swój optymizm co do przyszłości Jugosławii? Mimo że książka ukazała się w dwa lata po czasie, kiedy wolny związek narodów, określony tym mianem, rozpadł się pod ciosami imperializmów faszystowskich, a stosunki wewnątrz irredenty bałkańskiej wskazywały już na wielkie skłócenie elementów tego związku, autorka nie zajęła się aktualiami politycznymi, nie wypowiedziała żadnych przepowiedni, nie dała żadnych rad. Postawiła diagnozę. A raczej przeciwnie: wystawiła swoim bohaterom świadectwo zdrowia.

Po przeczytaniu tych dwóch ogromnych tomów, w których erudycja walczy o lepsze z artyzmem, a metafizyka z doświadczeniem, nabieramy pewności, że Jugosłowianie są ludźmi o bogatym i trafnym instynkcie życia, nieumniejszonym przez sprzeczny historii i że — bez względu na ramy w jakich ułoży się ich byt po wojnie — zdołają wypełnić swoje jugosłowiańskie przeznaczenie.

Czy nie przeszkodzi im w tym gospodarcza i polityczna słabość? Chociaż awersja do imperializmu stanowi jeden z leitmotiv'ów książki, korzystne wrażenia, jakie R. West komunikuje czytelnikom ze współpracy w kopalniach starej Serbii inżynierów szkockich i angielskich ze społeczeństwem miejscowym, stanowią aluzję do możliwości pewnych form nie tyle państwowej kolonizacji, co międzynarodowego współdziałania fachowców i organizatorów. Czy i jak byłyby rozwiązane trudności finansowe na płaszczyźnie, wykluczającej imperializm kapitału, R. West nie wyjaśnia. Wydaje się, że i w tym wypadku, liczy ona raczej na rozsądek i uczciwość ludzi, niż na skuteczność doktryn.

Zamykamy dzieło o „Jagnięciu i Sokole” z uczuciem podwójnego triumfu: byliśmy — w toku drugiej wojny światowej — świadkami procesu, wytoczonego przez pisarza o mądrym sercu imperialistom i „osobom prywatnym”. Imperialiści i „osoby prywatne” przegrały.  
d. c. n.

DOROTA FALSKA

## KRZYŻOWIEC BEZ KRZYŻA

Artur Koestler jest pisarzem dźwigającym na sobie bezmierne brzemię rozczarowań ideowych Europy. W swej wędrówce pisarskiej, a po części i osobistej szedł on od republikańskiej Hiszpanii do francuskich obozów koncentracyjnych dla uciekinierów z Niemiec i Austrii jeszcze przed 1940 rokiem, ku mrocznej celi więziennej jednego z bohaterów procesów moskiewskich. Na tych wszystkich etapach wędrówki widział ideę w rozkładzie i nadzieję zdradzoną. W książkach swoich mierzył jak gdyby wysokość fali rozczarowania, która zalewała kontynent. W rozczarowaniu tym nie odbywał jednak „podróży do kresu nocy” — nie wypierał się idei, przeciwko której najmocniej zdawał się świadczyć rozkład moralny jej zwolenników — ani nadziei, ściąganej w błoto przez tych, którzy dzierżyli jej sztandar. Wysoko ponad wzbierającą falę rozczarowań Koestler wznosił swą wiarę w lepsze instynkty i w lepsze jutro człowieka.

Nowa powieść Koestlera „Arrival and Departure” (Przybycie i Odjazd) to nowy obraz rozbicia i rozkładu, nad którym w końcu góruje wiara w ideę. Nie jest to wiara łatwa. Nie jest to już wiara ślepa entuzjazmem lub nieprzytomną wyidealizowaną wizją przyszłości. Jest to wiara trudna bo sceptyczna. Wiara człowieka, który ujrzał na własne oczy ogrom upodlenia i barbarzyństwa, ciężącego nad cywilizacją europejską.

Bohater „Arrival and Departure” jest jak gdyby duchową kontynuacją Rubaszowa z „Darkness at Noon”. Pracował w nielegalnej partii w jednym z krajów „między Dunajem a Bałkanami”. Był specem t.zn. inteligentem, który oderwał się od swego środowiska mieszczańskiego, by oddać swe siły na usługi ruchu robotniczego. Co skłoniło 18-to letniego chłopca do tego skoku ideowego — nie wiadomo. Dość, że oddał ruchowi cały swój zapal młodzieńczy, energię i wiarę. Lecz ruch ten toczony już był przez raka rozkładu. Cynizm i bezgraniczny oportunizm, kierujący się względami na czyjaś rację stanu, pleniły się wszędzie. Gdy Piotr zdaje sobie z tego sprawę, gdy wewnętrznie dojrzał do zerwania ze złudą swej młodości, jest już za późno. Ochrana owego kraju między Dunajem a Bałkanami trzyma go już w potrzasku. Młody rewolucjonista cierpi teraz za partię, która stała mu się już obcą. Znosi jednak niesłychane tortury w celi śledczej, nie załamując się i nie wydając nikogo. Ponosi konsekwencje swych wierzeń. Nie zdradza utopii zdradzonej już przez innych i na wymyślne tortury odpowiada niezłomnym milczeniem. Ofiara jego urasta w oczach młodzieży owego kraju na legendę. Trzy lata mijają w murach więziennych. Towarzysz Tomasz i inni jemu podobni przestali już być sprzymierzeńcami, zwłaszcza od chwili, gdy przytaknęli pewnemu paktowi. (Autor powieści nigdy nie wymienia nazw krajów lub stronnictw, o których pisze, lecz nie pozostawia żadnych wątpliwości o kogo chodzi).

Ofiara ponoszona dla świętości, które przestały być świętościami jest podwójnie trudna i bolesna. Lecz w końcu Piotr wydostaje się z więzienia i ukradkiem na jakimś statku towarowym dociera ze swego kraju, który w międzyczasie stał się satelitą Osi, do Neutralii. W opisie Neutralii czytelnik bez trudu odnajduje krajobraz i specyficzną atmosferę Portugalii. Tu, w stolicy kraju, który nie zaznał burzy wojennej, gromadzą się szczęśliwi rozbitekowi katastrofy europejskiej: uciekinierzy polityczni, Żydzi, emigracja ideowa i bezideowa, posiadacze wiz i biletów okrętowych oraz wiecni bywalcy niezliczonych ogonków, wystających przed urzędami konsularnymi. Piotra nic niemal nie łączy ze wszystkimi kategoriami tych uchodźców. Byli towarzysze partyjni powiadają, że potrzebni im są teraz nie bohaterowie lecz żelazni urzędnicy. Od emigrantów, których na tułaczkę skazała nie ich postawa duchowa, lecz tylko pochodzenie, dzieli go niepokój ideowy, który go trawi. Łąduje na wybrzeżu Neutralii chyłkiem, sypia w kabinie plażowej, a przed sobą ma sen o lotnictwie „małej wysepki” na której broni się jeszcze Wolność. Mała flaga owej wysepki, która służyła jakimś dziecku za zabawkę, staje się dla niego nowym sztandarem opromienionym ideą.

Chwilami wydaje się, że i to nowe marzenie zwarzy się w atmosferze Neutralii, w biurze konsulatu owej wysepki, gdzie zapal młodego rewolucjonisty zahacza o druty kolczaste biurokratycznej formalistyki, gdzie przybysz witany jest nie jak towarzysz, lecz jak podejrzany przybłąda. Urzędnik konsulatu studzi porywy jego i radzi starać się „na wszelki wypadek” o wizę w sąsiednim konsulacie amerykańskim, gdzie ogonek petentów pływ-

nie bez końca i sprawnie, jak taśma ruchoma w nowoczesnej fabryce.

Nerwy Piotra wytrzymały w podziemiach nielegalnego ruchu i w celi tortur policji bałkańskiej, lecz teraz w spokojnej atmosferze Neutralii ulegają naporowi wszystkich przeżyć, cierpień i rozczarowań. Zbliża się ciężki kryzys nerwowy. W stolicy Neutralii Piotr spotyka dawną przyjaciółkę swej matki, lekarkę psychoanalityka, Sonię. Z kabiny na plaży przenosi się do jej wygodnego i zacisznego mieszkania. Sonia jest w kolonii cudzoziemskiej neutralnej stolicy jedynym człowiekiem, którego nie wypędza z Europy ani przesładowania polityczne ani terror rasowy. Lecz wszystkie, zarówno jednego z przedstawicieli oprawców, urzędnika ambasady niemieckiej, agenta Gestapo, jak i skołatanych nerwowo rozbitków, którzy wymknęli się z sieci oprawców. Sonia jest poza katastrofą i poza wszelkimi sporami ideowymi. Konflikty narodowe i społeczne, ruchy masowe, potężne maszyny terroru, kultury wodzów, militarne trzęsienia ziemi — wszystko to sprowadza do kompleksów, żądz utajonych, urazów i innych pojęć z dziedziny teorii psychoanalitycznej. Hasła i idee to jak gdyby świecidełka, którymi obwieszona jest nagie drzewo psychiki ludzkiej. Dla siebie Sonia z gąszcza doświadczeń neurotycznych wysnuła dość prosty wniosek: „Smak banana, który w tej chwili mam w ustach, ważniejszy jest niż przyszłość, niż wasze idee i systemy”. Dla tej epikureistki ważne jest tylko jedno: odnalezienie rozkoszy w samym procesie vegetacji ludzkiej.

Dylemat Koestlera zarysowuje się: Ideał vegetacji czy vegetacja w rozkładającym się ideale? Piotr w domu Soni poznaje Odette, jedną z owych neurasteniczek, zasięgających porady przenikliwej lekarki. Odette jest równie jak Sonia, nie z jego świata. Z Sonią zresztą łączy ją jakiś nieokreślony stosunek. Być może ów specyficzny stosunek pacjenta do lekarza psychoanalityka, wchodzący w fazę uczucia erotycznego.

Piotr zakochuje się w Odette. Spędzają z sobą jedenaście dni nieoczekiwanej idylli na marginesie tragedii europejskiej. Idylla nagle przynika się. Odette otrzymała wreszcie wizę amerykańską. Nie chcąc mącić nastroju, nie uprzedziła o tym Piotra i nagle wyjechała.

Zniknięcie Odette działa jak ostatni katalizator kryzysu nerwowego. Napór przeżyć powoduje załamanie się, którego pierwszym objawem jest paraliż nogi. Diagnoza lekarska stwierdza, że paraliż nie ma żadnych przyczyn organicznych. Jest to zjawisko czysto psychiczne i jako takie należy całkowicie do kompetencji Soni.

Koestler opisuje skomplikowany i efektowny proces psychoanalityczny. Znaczący psychoanalizy będą mogli osądzić, czy proces ten opisany jest prawidłowo i wiernie, czy autor nie popełnia pomyłek lub uproszczeń. Lecz autorowi samemu zależy zdaje się na czymś więcej, niż na powieściowym pokazie leczenia psychoanalitycznego. Leczenie to jest jak gdyby jednym mistrzowskim i nieubłaganym zamachem psychoanalizy na postawę ideową Piotra. W zimnej analizie snów, wspomnień i obrazów lekarka sprowadza wszystkie przeżycia i koleje losu swojego pacjenta do jednego zasadniczego urazu. Jest to uraz winy, który panuje nad psychiką Piotra i kieruje jakoby jego krokami i czynami.

Ten uraz winy przecina wszystkie nawarstwienia w psychice bohatera. Od nawarstwień najświeższych do najdawniejszych. Na samej powierzchni są urazy winy, nabyte w działalności rewolucyjnej. Piotr spowiada się z nich. Gdy ścigany był przez

policję po ulicach swego miasta rodzinnego, mimo woli krzyknął zagradzającym mu drogę przechodniom, że nie jest robotnikiem. Jest to kompleks winy inteligenta wobec masy robotniczej. Gdy stanął wobec szefa policji, przyjaciela swego ojca, poczuł się wobec niego przez chwilę winny. Szef policji, nim zesłał go do celi tortur, powoływał się na pamięć ojca jego i namawiał go do skruczy. Piotrowi z rozmowy tej pozostał posmak zdrady, popełnionej przez siebie wprawdzie nie w czynie lecz w myśli. W rozmowie z szefem policji miał podwójne poczucie winy: jedno wobec ojca, a drugie, wtórne jak gdyby, wobec samego szefa policji. W strzępach wspomnień zresztą te dwie postaci, ojca i szefa policji, płaczą się i przenikają nawzajem. Z tego wszystkiego zdrada się w nim poczucie winy wobec partii, tym silniejsze, że sam już przejrzał jej nicość. Wreszcie podczas śledztwa i tortur był moment, w którym chciał zdradzić i wyznać. Nie uczynił tego dlatego, że kaci zakneblowali mu usta i nie mógł mówić. Gdy wyjęli gabkę z ust, odzyskał upór i milczenie. Ale w swoim własnym sumieniu Piotr osądził siebie jako zdrajcę. Decydujący był moment, w którym zrodził się zamiar zdrady, a nie ten, w którym znów postanowił zamiaru tego nie wykonywać. Poprzez analizę tych świeżo dopiero sformowanych kompleksów Sonia sięga wstecz do kompleksów innych, przykrytych powłoką czasu. Schodzimy wraz z autorem w psychoanalityczną piwnicę świadomości i podświadomości dziecięcej.

W majaczeniach swoich Piotr powtarza psalm nad rzekami Babilonu: „Jeśli cię zapomnę, Jeruzalem, niechaj uschnie prawica moja”. Z wyznań pacjenta wynurza się inne przeżycie, od którego biegna nici ku przeżyciom późniejszym. Jeruzalem, to było imię nadane królikowi, któremu Piotr w dzieciństwie ślubował, że uchroni go od śmierci. Ślubowania jednak nie dotrzymał. Myślni swymi zdradził zwierzątko. I oto teraz, w gorączce i paraliżu, zniekształca słowa psalmu i powiada „Niechaj uschnie prawa noga moja”. Lecz kompleks winy początkami swymi sięga jeszcze dalej wstecz. Jako pięcioletnie dziecko Piotr spowodował mimowoli kalectwo czy też śmierć swego młodszego brata, który podczas zabawy dziecięcej i szarpaniny traci oko.

Od tego przeżycia ciągnie się jak pasmo niewidoczne owo poczucie winy, które opłata całe życie Piotra. Wszystkie jego postanowienia i porywy tłumaczą się jako chęć odkupienia grzechu. Surowa, nieświadoma moralność człowieka domaga się bezustannie ciężkiego okupu. W gorączkowym majaczeniu pacjentowi wydaje się, że kieruje już samolotem brytyjskim, toczy bój powietrzny. Aż wreszcie zostaje zestrzelony. Kula nieprzyjacielska przeszływa mu oko.

Sonia cierpliwie i spokojnie rozplątuje psychoanalityczny węzeł. Tłumaczy swemu pacjentowi fikcyjność długiego szeregu win, pod którymi się ugina i zarazem wyjaśnia wszystkie jego porywy ideowe jako refleksy spowodowane urazami. Idee, przekonania, poglądy — to tylko preteksty lub raczej owe świecidełka, pokrywające urazy psychiczne. Rozwiązywanie tych kompleksów winno również uwolnić Piotra od niepokojów ideowych i nawrócić go na spokojny epikureizm, który wyznaje sama lekarka. Odette w Ameryce czeka przyjazdu Piotra. Nadchodzi wiza amerykańska dla pacjenta, który w międzyczasie wraca do zdrowia, odzyskuje władzę w sparaliżowanej nodze i wydaje się całkowicie uwolnionym od balastów ideologii. Nie zgłasza się on już więcej do konsulatu malutkiej wyspy, choć zawiadomiono go w międzyczasie, że i stamtąd nadeszła dla niego wiza. Nie marzy już



o samolocie ani o boju przeciwko tym, którzy wepchnęli Europę w błoto i krew. W umyśle Piotra zacierają się jak gdyby straszliwe obrazy owych „mieszanych transportów”, które oglądał na własne oczy nim dotarł do Neutralii. Były to transporty Żydów, którzy z pieśnią o Mesjaszu szli na śmierć, cyganów skazywanych na sterylizację, dziewcząt i kobiet spędzanych z różnych miast i krajów do domów publicznych armii niemieckiej, robotników, pędzonych do obozów pracy, oraz więźniów politycznych. Niedawno te właśnie obrazy kazały mu przekraść się przez granice do Neutralii, by stąd ruszyć dalej i podjąć walkę na nowo. Lecz teraz, po zwycięstwie psychoanalizy nad ideologią, w trakcie owych długich seansów psychoanalitycznych, obrazy te zasnuły się jak gdyby mgłą.

Wystarczy jednak, by Piotr uniósł się z łoża boleści i zetknął się na nowo ze światem zewnętrznym, nawet tym spokojnym stonunkowo światkiem Neutralii, by na nowo wciągnięty został w orbitę nowych dylematów i konfliktów. Kompleksy zostały rozwiązane i rozwiane. Lecz oto Piotr natyka się na postać lotnika angielskiego o twarzy niesamowicie zniekształconej podczas walki z wrogiem, a już nowy kompleks winy zaczyna się w nim rozwijać. Ów lotnik jest teraz urzędnikiem ambasady swego kraju w Neutralii. Rwie się z powrotem do czynu, lecz lekarze nie pozwalają mu wrócić do lotnictwa. Piotr tymczasem pakuje swe manatki i przygotowuje się do wyjazdu do neutralnej jeszcze Ameryki. Przypadkowo wdaje się w dyskusję z agentem wrogiej ambasady i na nowo odczuwa ogrom niebezpieczeństwa. Agent używa argumentów ostrych i przenikliwych. Wyczuwa on doskonale wszystkie słabe punkty stanowiska ideowego Piotra. Uderza w nie chłodno i precyzyjnie. Stary świat — powiada — kończy się. Europa idzie ku swemu zjednoczeniu. Nie dokona tego ani kapitalistyczna demokracja ani też obałamucony proletariat, dający się zwodzić swoim przewódcom po to tylko, by co dwadzieścia lat wyrzynać się wzajemnie na polach walki. A jednak Europa winna być zjednoczona. Anachronizm małych państewek winien być zmieciony. W argumentach agenta jest czasem jakiś nieodparty realizm, któremu Piotr niewiele może przeciwstawić. Agent zresztą nie jest bynajmniej tuzinkowym propagandzistą swastyki. Podobnie jak Piotr, buntuje się on przeciwko swemu własnemu ruchowi. Widzi w nim objawy zdziwienia. Lecz mimo to wierzy, że pod sztandarami tego ruchu ludzkość rozwinie wyższe, udoskonalone formy bytowania. Daje on jak gdyby naukową, oczyszczoną od przypadkowości agitacyjnych, wizję świata, wizję owego nowego porządku, który ma być narzucony Europie. W tej wizji silne jest wszystko to, co jest negacją przeszłości. Piotr zachowuje się w tej dyskusji jak szermierz, zdający sobie sprawę ze wszystkich dziur i szpar w swym panczeru ideowym. Pchnięcia przeciwnika są tym groźniejsze, że i on wie jak i gdzie wymierzać ciosy. W tej dyskusji, podobnie jak w dialogach Rubaszewa z „Darkness at Noon”, przeciwnicy ideowi Koestlera szermują argumentami „zabójczo” logicznymi. Czyżby sam Koestler nie posiadał dość argumentów ideowych na poparcie swego słusznego stanowiska? Czyżby jego światopogląd był czysto emocjonalny? A jednak przeciwnik jest odrażający zarówno przez swą wiedzę i przenikliwość jak i przez swą niewiedzę i tępotę. Nie można mu się wywinąć, nie można od niego uciec. Oto już proponuje współpracę, oto już zapowiada, że pojedzie za Piotrem do neutralnej Ameryki. Europa „mieszanych transportów”

odżywa w Neutralii i jak cień podąża za uleczonym z kompleksów Piotrem.

Nadchodzi wreszcie dzień wyjazdu. Na pokładzie, jeszcze przed odbiciem od brzegu, odczuwa całą swą samotność, w tłumie zwichniętych istot ludzkich i bezideowych mieszczuchów żydowskich, z którymi ma popłynąć ku nowemu światu. W dodatku w tłumie mignęła mu twarz agenta. Przed oczyma stają mu postaci dawnych towarzyszy: Towarzysz Tomasz, który przestał być sprzymierzeńcem dwa lata temu, a teraz (po czerwcu 1941) znów się nim staje, postać robotnika Ossie, z którym razem uciekał przed pościgiem policji w swym mieście rodzinnym i który kazał jemu — specowi — inteligentowi — biec szybciej, by uratować swą wiedzę i swe zdolności dla ruchu. W ostatniej chwili przed podniesieniem kotwicy Piotr zrywa się z miejsca i gnany jakąś niepojętą siłą, przedziera się przez ciżbę, wyskakuje z okrętu, o którym marzył i staje z powrotem na ziemi Neutralii, by znów zgłosić się do konsulatu małej wysepki i poprosić dla siebie o miejsce wśród walczących.

Piotr odnosi więc na nowo tryumf nad Sonią. Idea nad ideałem wegetacji, poryw nad psychoanalizą. Wszystkie kompleksy już były zanalizowane, wyjaśnione, a tym samym unieszkodliwione, a jednak żąda czynu, niepokój duchowy, te rzekome świecidełka i symbole psychoanalityczne pojawiają się na nowo. Czy oznacza to, że diagnozy i metody Soni były fałszywe? Niekoniecznie. Ale na pewno były jednostronne. Nie wszystko mieści się w kategoriach psychoanalizy. W liście do Odette pisanym już z lotniska na małej wysepce Piotr wyjaśnia: „Jako dzieciom dawano nam osobliwą łąmigłówkę dla zabawy. Był to papier pokryty siecią bardzo cienkich linii niebieskich i czerwonych. Gdy patrzyło się nań po prostu, nie można było nic z niego wyczytać. Lecz gdy papier przykrywało się kawałkiem przezroczystej czerwonej bibułki, czerwone linie rysunku znikały, niebieskie zaś składały się na obraz — był to błazen w cyrku, trzymający obręcz przez którą skakał mały piesek. A jeśli ten sam rysunek nakrywało się niebieską bibułką, to zjawiał się ryczący lew, ścigający błazna po arenie. Można to samo uczynić z każdym śmiertelnikiem, żywym czy umarłym; można spojrzeć na niego przez bibułkę Soni i napisać biografie Napoleona pod kątem widzenia jego gruczołów śluzowych, jak to zresztą czyniono. Fakt, że przypadkowo zdobył on Europę, okaże się wówczas tylko symptomem aktywności tych dwóch drobnych ciałek wielkości grochu. Można wówczas orędzie proroków wyjaśniać jako epileptyczną pianę, a Madonnę Sykstyńską jako projekcję kazirodczego snu. Metoda ta jest słuszna, a obraz sam w sobie pełny. Lecz strzeż się zuchwałego błędu, który kazałby ci przypuszczać, że jest to obraz jedyny. Obraz, który uzyskasz, gdy spojrzysz przez niebieską bibułkę będzie niemniej prawdziwy i pełny. Błazen i lew — obaj istnieją — obaj wpleceni w ten sam wzór”.

Tą „czerwoną bibułką” — wyjaśnia dalej Koestler ustami swego bohatera — jest nasze myślenie naukowe, a intuicja i wierzenia etyczne — „bibułką niebieską”. Koestler mówi dalej o jednostronnym rozwoju myślenia naukowego kosztem intuicji i wierzeń moralnych. Można by na to odpowiedzieć, że obraz Europy znany naszemu pokoleniu, bynajmniej nie świadczy o przeroście myślenia naukowego. Można również wątpić, czy niedobór intuicji jest właśnie tą główną słabością, która wydała Europę na łup swastyki. Poza tym naukowe myślenie niekoniecznie musi spro-

wadzać odruchy i czyny ludzkie, walki narodowe i społeczne, wojny i rewolucje do funkcji gruczołów, pian epileptycznych lub kazirodczych snów; ani też nie można naukowego myślenia — jak to czyni Koestler — identyfikować z tą wizją świata — laboratorium eksperymentu rasowego, o której mówi agent swastyki w powieści Koestlera. Winić rzekome przerosty myślenia naukowego za klęski cywilizacji europejskiej na tej podstawie, że widzi się myślenie naukowe tylko w psychoanalizie lub w majaczeniach agenta swastyki jest błędem aż nazbyt oczywistym. I od tego jednego a jakże kapitalnego błędu nie ustrzegł się Koestler w swojej świetnej powieści. Jest to jednak zarazem błąd dość typowy. Tak często przecież słyszymy dziś nawoływania do korzenia się przed czynnikami irracjonalnymi jak gdyby właśnie to korzenie się przed irracjonalizmem nie było chorobą życia duchowego naszych czasów, podstawą kultu wodzów i histerii masowych.

Powieść Koestlera jest mimo tej sprzeczności arcydziełem piarskim, nacechowanym precyzją myśli i słowa. Wątki tej powieści rozwinięte są niezwykle subtelnie i trafnie. Pozostanie ona głębokim dokumentem walki przeciw rozczarowaniu, walki tym bardziej znaczącej, że jeszcze nie ukończonych i jeszcze nie zwycięskiej. Oto na przykład jak Piotr charakteryzuje siły zmagające się ze sobą w wojnie:

„Zamiast zwykłej wojny dwufrontowej, jest to wojna w trójkącie. Jedną stroną jest Utopia Zdradzona, drugą — Tradycja Upadająca, trzecią — Zniszczenie Nacierające. (One side was utopia betrayed, the second — tradition decayed, the third — destruction arrayed). Oczywiście, że trzeba walczyć przeciwko temu trzeciemu, lecz jest to obowiązek a nie misja — a dla martwych iluzji nie ma zmartwychwstania. W wojnie tej nie ma trąb, które obaliłyby mury, a słońce nie zatrzymuje się w biegu, gdy bitwa się toczy”.

Bohater Koestlera wybiera więc nie dobro, bo tego nie ma dokoła, lecz najmniejsze zło z trzech. Wybór jest czysto negatywny. Piotr idzie ku swemu obowiązkowi — nie misji, z oczyma otwartymi, odartymi ze złudzeń i wierzeń.

„Jest krzyżowcem bez krzyża” — „w poszukiwaniu krzyża”.

TADEUSZ POTWOROWSKI

CHARLES BAUDELAIRE

DZIWNOCI ESTETYCZNE

Jak przyjemnie jest odejść od terażniejszości i odnaleźć w jakiejś starej książce napisanej prawie sto lat temu rzeczy istotne na które czas nie miał prawie żadnego wpływu.

Taką książką są krytyki z salonów paryskich Baudelaire'a z lat 1845 — 1849.

Rozmyślenia o malarstwie stały się dla malarzy jakąś istotną potrzebą w tym czasie wojny, kiedy wielu z nich było pozbawionych możliwości malowania. Mam wrażenie, że jesteśmy świadkami zaczynającej się nowej epoki, epoki środkowej 20-go wieku.

To co było za nami zostało odgradzone od dnia dzisiejszego wielkim murem totalnej wojny.

Odczuwamy potrzebę skontrolowania osiągnięć naszego malarstwa; — Krytyki Baudelaira, który był świadkiem pojawienia się w Salonach paryskich pierwszych obrazów Delacroix i Doumier'a są istotne i genialnie przenikliwe, a wskazówki i wnioski, które wyciąga są bardzo aktualne dla dzisiejszego malarstwa: dla malarstwa, które wyzwoleło się z suchego klasycyzmu Picassa i ponurej ciasnoty Surrealistów w jakiś bardzo spontaniczny barok czy romantyzm. — Staralem się wydobyc z tych krytyk najbardziej aktualne i podać je w tym krótkim szkicu.

Delacroix ma wyobraźnię poetyczną, która jest wspólną dla poetów i malarzy, jest to rodzaj wyobraźni artystycznej, którą można nazwać również wyobraźnią rysunkową.

Delacroix jest czasami niezręczny, ale zawsze jest twórczy, jego dzieła to poematy naiwnie poczęte, ale wykonane z arogancją zwykłą geniuszom. Otwierają one drogi dalekie dla wyobraźni i uczucia, są bardzo wojownicze w zmaganiach się z powolnością rzemiosła malarskiego nie pozwalają mu na pozostanie spokojnym i umiarkowanym. Nie ma nic głępszego jak posądzanie tak głęboko wykształconego człowieka jak Delacroix o to, że jest w swojej sztuce przypadkowy.

Nie ma przypadkowości w sztuce, tak samo jak w mechanice. Coś co zostało szczęśliwie znalezione jest konsekwencją dobrego rozumowania w którym czasami przeskoczono pośrednie etapy. — Błąd jest konsekwencją złego rozumowania.

Obraz jest maszyną, której system jest zrozumiały dla wprawnego oka, gdzie wszystko ma swój sens, jeżeli naturalnie obraz jest dobry. Gdzie jeden ton istnieje po to ażeby podkreślić istnienie drugiego tonu, gdzie czasami błąd w rysunku staje się właśnie koniecznym i ratuje od utraty czegoś bardziej istotnego.

Delacroix jest jednym z nielicznych artystów, który pozostał zawsze oryginalnym pomimo ciągłego czerpania ze źródeł prawdziwej wiedzy i którego nieposkromiona indywidualność przeszła dobrowolnie pod kolejne jarzma wielkich mistrzów, ale zawsze wychodziła nieposkromiona.

Delacroix wychodził z założenia, że obraz powinien zasadniczo wyrażać myśl intymną artysty, który opanowuje swój model jako twórca. — Malarstwo będące sztuką głęboko rozumową, która wymaga natychmiastowego współdziałania masy czynników materialnych, musi mieć jak najmniej przeszkód w samej technice realizacji, ręka malarza musi z szybkością wypełniać rozkazy rozumu, w przeciwnym razie idea ulatuje. —

Dlatego też długą powinna być sama koncepcja artysty a przed-kim wykonanie.

Namalowanie w obrazie jakiejś części jako dominującej jest zawsze rezultatem poniżenia reszty. —

— Istnieją właściwie trzy rodzaje rysunku, jeden to ten zły który po prostu kopiuje naturę, drugi to ten, który umie wyszukiwać, poprawiać, odgadywać a nawet schlebiać naturze (Ingres), ale najszlachetniejszy i najdziwniejszy to ten rysunek, który porzuca naturę i przedstawia jakąś inną podobną do umysłu i temperamentu autora. (Delacroix, Doumier).

— Litografie Delacroix, szalenie żywe i pełne niesamowitego uroku, nieoczekiwane w swojej ekspresji, wzbudzały nienawiść

w krytyce z powodu zupełnie nowej formy plastycznej, którą Delacroix tworzył bezkompromisowo.

— Rysunek to walka pomiędzy artystą a naturą, walka w której artysta może zatryumfować, jeżeli zrozumie dążenie natury.

W rysunku nie chodzi o kopiowanie natury, ale o interpretowanie językiem prostym i jasnym.

Wielcy koloryści rysują pod wpływem temperamentu, prawie że nieświadomie (to znaczy że rysując myślą o kolorze).

W swoich rysunkach Delacroix zwracał głównie uwagę na ruch, kolor i atmosferę, te trzy rzeczy wymagają niezdefiniowanej linii. W ogóle właściwie linii nie ma w malarstwie jest tylko granica pomiędzy kolorami.

— Zwiątpienie doprowadziło eklektyków do czerpania pomocy z wszystkich sztuk naraz. Do próbowania przeciwnych sobie metod. Do prób wprowadzenia jednej sztuki w domenę drugiej. Wszelkie próby wprowadzenia poezji i elementów duchowych do malarstwa są winą eklektyków.

— Artyści pozbawieni prawdziwie malarskiego talentu, dezorientowani ubóstwem środków plastycznych którymi rozporządzają szukają pomocy z zewnątrz, niektórzy wprowadzają do malarstwa poezję, co jest absurdem.

— Przede wszystkim poezja nie jest celem bezpośrednim malarza, jeżeli jednak istnieje w samym malarstwie, jeżeli po prostu i naturalnie przenika do malarstwa, to staje się jedną z zalet obrazu, nie może jednak maskować słabości plastycznej i ubóstwa kolorystycznego.

— Poezja musi zjawiać się w obrazie bez wiedzy artysty, musi być rezultatem samego malarstwa.

— Poezja znajduje się w duszy widza i genialność malarza polega na obudzeniu jej środkami czysto plastycznymi. Malarstwo musi interesować wyłącznie kolorem i formą, malarstwo jest podobne do poezji tylko o tyle o ile poezja budząca w czytelniku idee plastyczne jest podobna do malarstwa.

— Najlepszą metodą poznania rzeczywistej wartości jakiegoś artysty jest zbadanie jakich posiada zwolenników.

— Delacroix miał za sobą malarzy i poetów. Decamp — malarzy. Horace Vernet — garnizony. Ary Scheffner — kobiety estетки.

Jakie to wszystko jest prawdziwe dzisiaj!

Do tych wszystkich elementów obcych, które wkraczają w domenę malarstwa niepotrzebnie przybył dzisiaj jeszcze jeden który bym nazwał „modernizmem programowym” polegającym na deformacji nie wychodzącej z konieczności malarskich, ale z chęci wzbudzenia zainteresowania za wszelką cenę.

Przecież w rzeczywistości chodzi o tak bardzo prostą rzecz. Jeżeli budujemy dom uczciwie, to budujemy go z cegły, czy z kamienia, a nie ze słów jak poezję. Jeżeli chcemy malować uczciwie to musimy budować obraz formą i kolorem i jeżeli forma i kolor są ubogie i złe to inne elementy wprowadzone w obraz nic nie pomogą.

Zupełnie nieoczekiwane i jakieś wprost rewelacyjne są u Bau-delaire'a wystąpienia przeciwko kultowi indywidualizmu, — pamiętajmy, że to było pisane prawie sto lat temu. —

„W szkołach malarskich, które są w rzeczywistości siłą odkrywczą zorganizowaną; jednostki, które są naprawdę pełne indywidualności pochłaniają słabszych, i to jest słuszne, bo wielka twórczość nie jest niczem innym jak myślą o tysiącu ramion.

Nadmierny indywidualizm zabił oryginalność kolektywną. Rozbicie wspólnego wysiłku doprowadziło do zaniku prawdziwej oryginalności.

W czasach kiedy istniały szkoły malarskie o wyraźnej ideologii plastycznej, człowiek bez charakteru i z małym talentem mógł być przynajmniej dobrym rzemieślnikiem dziś jest przeważnie niczem."

Mam wrażenie, że dążenie do tworzenia grup o wyraźnej wspólnej ideologii było w Polsce bardzo silne, świadomość konieczności pracy kolektywnej, troska o ogólny wysoki poziom grupy były elementami dominującymi. Można by nazwać niektóre z tych grup szkołami ze względu na zupełnie zdecydowany ich program plastyczny.

Baudelaire był tym człowiekiem, który może najlepiej rozumiał malarstwo współczesne. Podałem tutaj tylko drobną część jego myśli, jestem pewien, że mają one wielkie znaczenie dla każdego człowieka, który interesuje się skomplikowanymi zagadnieniami współczesnego malarstwa, a w szczególności są ciekawe dla malarzy.

PAWEŁ WILGA

### LISTY BOLESŁAWA MICIŃSKIEGO

Ze spuścizny pisarskiej po zmarłym niedawno w Grenoble Bolesławie Micińskim część jej najbliższa może ideałowi literackiemu autora nie została wydana drukiem, lecz rozproszona jest dziś po świecie, wszędzie tam, gdzie los wojenny zaniósł Polaków: to listy Micińskiego do przyjaciół. Te kartki papieru, zapisane drobnym, dokładnym pismem o bardzo różniczkowanej interpunkcji, pełne podkreśleń, i słów, pisanych dla uwydatnienia właściwego sensu myśli wielkimi literami — zbierze kiedyś historyk literatury i przekaże polskiemu czytelnikowi, jako słowa do niego adresowane i jemu należne.

Miciński miał wielu przyjaciół — i znał sztukę pisania listów. „Mam ci coś bardzo istotnego do powiedzenia — miał — napiszę do ciebie list”. I w parę dni potem otrzymywaliśmy, przyjaciele jego, znakomite essay, namiętny wykład jakiegoś punktu widzenia w

ważnej sprawie — rzecz nawszkroś „literacką”, a jednocześnie jakże osobistą, do nas skierowaną, i w naszym wspólnym napisaną języku. Zapytywano go często, czemu przy swej niezwykłej łatwości wypowiadania się piórem, tak mało pisze do druku. Odpowiadał, że nie potrafi pisać „do nikogo”, a nie czuje się jeszcze przygotowanym wewnętrznym, by zwracać się „do wszystkich”. Ta potrzeba pisania „do kogoś” uwydatnia się zresztą wyraźnie w jego dorobku literackim. Każdy niemal essay, co drugi rozdział książki opatrzony jest imienną dedykacją.

W lecie 1939 r. pokazywał mi Miciński zbiór szkiców swych p.t. „Dylizans filozoficzny”; rękopis tej książki, która miała być wydana drukiem na jesieni tegoż roku, pozostawiony został w Warszawie i spłonął w czasie jej oblężenia. Ze zbioru tego przypominam sobie szkic, zatytułowany „Pochwała epistolografii”. Zwalczał w nim

Miciński prądy „artystowskie” w literaturze, momenty „sensacji” i „ciekawości” artystycznej. Obowiązek pisarza wobec czytelnika — zdaniem Micińskiego — jest analogiczny do odpowiedzialności obdarowanego biblijnymi talentami: trzeba się z nich przed czytelnikiem wyliczyć. Słowa, które przekazuje pisarz czytelnikowi, niechaj mają wagę i wartość listu do przyjaciela. Bach napisał na manuskrypcie swych chorałów słowa: Tibi, Jesu. Nie każdemu artyście dane zostały skarby wiary i talentów Bacha. Ale jak Bach muzykę swą poświęcił wierze w Boga, uczciwy pisarz winien mieć szczerą wolę, by sztuka jego służyła sprawie miłości bliźniego: dobra literatura jest taką, którą autor podpisać może słowami, jakimi by zakończył list do przyjaciela: Twój Brat.

Z listów Bolesława Micińskiego wybraliśmy kilka fragmentów, które ułatwiają czytelnikowi, nieznającemu dorobku pisarskiego zmarłego autora, wytworzyć sobie o nim pojęcie, jako o pisarzu i człowieku. Pierwszy z zacytowanych poniżej fragmentów zawiera uwagi o totalizmie i obecnej wojnie, drugi mówi o posłannictwie pisarza, trzeci — jest wspomnieniem Micińskiego o Antonim Sobańskim, przyjacielu jego, zmarłym w Londynie w roku 1941 na chorobę płuc, która w dwa lata później, 30 maja 1943 r. zabrała z grona żyjących Bolesława Micińskiego.

„Montegut - en - Combray, 15.IV. 1940 . . . Tragizm tej wojny leży w tym, że zatruwa ona nienawiścią nie tylko dusze naszych przeciwników — tych, którzy stworzyli totalizm i wojnę tę nam narzucili — ale i dusze tych, którzy w niej walczą w imię miłości. Nienawiść do zła jest zapewne uczuciem słusznym, ale nie potrafimy wyzволić bezkarnie słusznej na-

wet nienawiści. Worka, w którym Eol zamknął wiatry, nie można otworzyć po to tylko, by jeden pomyślny wiatr uderzył w żagle. Złe wiatry wyrwywają się równocześnie z otchłani magicznego worka. W każdym naszym ruchu, w każdym słowie dochodzą dziś do głosu potępione, na dno świadomości zepchnięte uczucia, wyzwolone przez prawo do nienawiści. Nie wierzę, że ta wojna toczy się „o naftę” albo o „wolność mórz”. To jest wojna o koncepcję życia. Totalizm, to jest: kult zbiorowości, dyktatura instynktu, determinizm, wynikający z pesymistycznej oceny jednostki — oto podstawy tej koncepcji życiowej, z którą jesteśmy w wojnie. Przeciwwstawiamy im: jednostkę, która nie rządzi się instynktem, ale którą rządzi myśl. Abstrakcję zbiorowości, rządzonej instynktem, zastępujemy rzeczywistością jaką jest myśląca jednostka — pascalsowska „trzcina myśląca” — która ma wolność wyboru i działania. Dla nas zbiorowość jest fikcją, dla de Maistre’a, pierwszego totalisty w literaturze, jednostka była fikcją. „Przedziwne słowo: człowiek; — pisał — nie spotkałem dotąd nigdy człowieka”. Walczymy o jednostkę, o człowieka, bo tylko jednostka jest nieśmiertelna. Zbiorowość — rasa, naród, klasa — może być długowieczna, nigdy wieczna. Dzieje każdej zbiorowości kończą się u wrót doliny Józefata.”

„Grenoble, 7.XI. 1941 r. . . . Pamiętasz, jak oburzyłem się wtedy w Kownie na Janusza za jego zachwyty nad „Ma Mère l’Oye” Ravela. Nie mówię o muzyce Ravela w ogóle, ale o owym cynicznym podejściu do sztuki jako do „ciekawostki”. Ta „zabawa w siebie”, owo mizdrzenie się w obliczu spraw najważniejszych — jest straszliwym grzechem przeciw miłości

bliźniego. Komu natura dała do ręki tę wspaniałą broń, jaką jest możność oddziaływania na masy innych jednostek, mówienia im o prawdach, dla nas już jasnych, a które dla nich są jeszcze zakryte lub nie dość jasne — nie wolno orężem tym walczyć dla zabawy — w obronie lub na chwałę wiatraków — ani w jakiegokolwiek sprawie, której w głębi naszego sumienia nie uważamy za słuszną i ważną. Obowiązkiem naszym jest mówić czytelnikowi naszą prawdę; możemy — jak każdy człowiek — mylić się; ale nie wolno nam ani jednego słowa powiedzieć nieszczerze, albo bez pełnego za nie poczucia odpowiedzialności.”

„Grenoble, 31.XII.1941 r. . . .  
Wiadomość o śmierci Tonia bardzo smutna. Nikt tak jak on — z tym jego olimpijskim altruizmem i niemyśleniem ani przez chwilę o sobie — nie zasłużył bardziej na to, żeby „doczekać”. Znałem prawdopodobnie kilka tysięcy gruzlików; w żadnym nie widziałem tyle prostoty i pogody wobec tego rzeczywiście skomplikowanego i egotyżującego problemu ile w Toniu. Widzę go po pierwszym

kryzysie, jesienią 1936 roku. Okryty kraciastym pledem, z psem w nogach, z maszyną do pisania pod rękę, patrzył na mnie z poza okularów. Mówiliśmy o różnych drobiazgach, o chorobie nie było mowy. O zdrowie nie pytałem bynajmniej nie przez delikatność; wiedziałem, że Tonia jego własna choroba „nie interesuje”. Tonio ograniczył problem choroby do wymiarów pledu, którym był nakryty. Wbrew pozorom Tonio był przede wszystkim „z Podola”, „ze swojej ziemi”. Wszystko inne było w nim przypadkowe, nieistotne. Istotne były te cechy „porządności”, zasad, prostoty, dobroci, opanowanego sentymentalizmu. Był człowiekiem, na którego można było liczyć. Miał wielką mądrość i rzetelność życiową, tak niezgodną z tym, że ulubionym jego poetą był Theophile Gauthier, a „livre de chevet” — „Les nourritures terrestres” Gide’a. Nie warto zajmować się „pokarmem” Gide’a i poezjami Gauthier’a, kiedy się jest „z Podola”. Jedno dobre i rozumne spojrzenie Tonia z poza okularów jest więcej warte, niż wszystkie memoire’y Gide’a o samym sobie.”

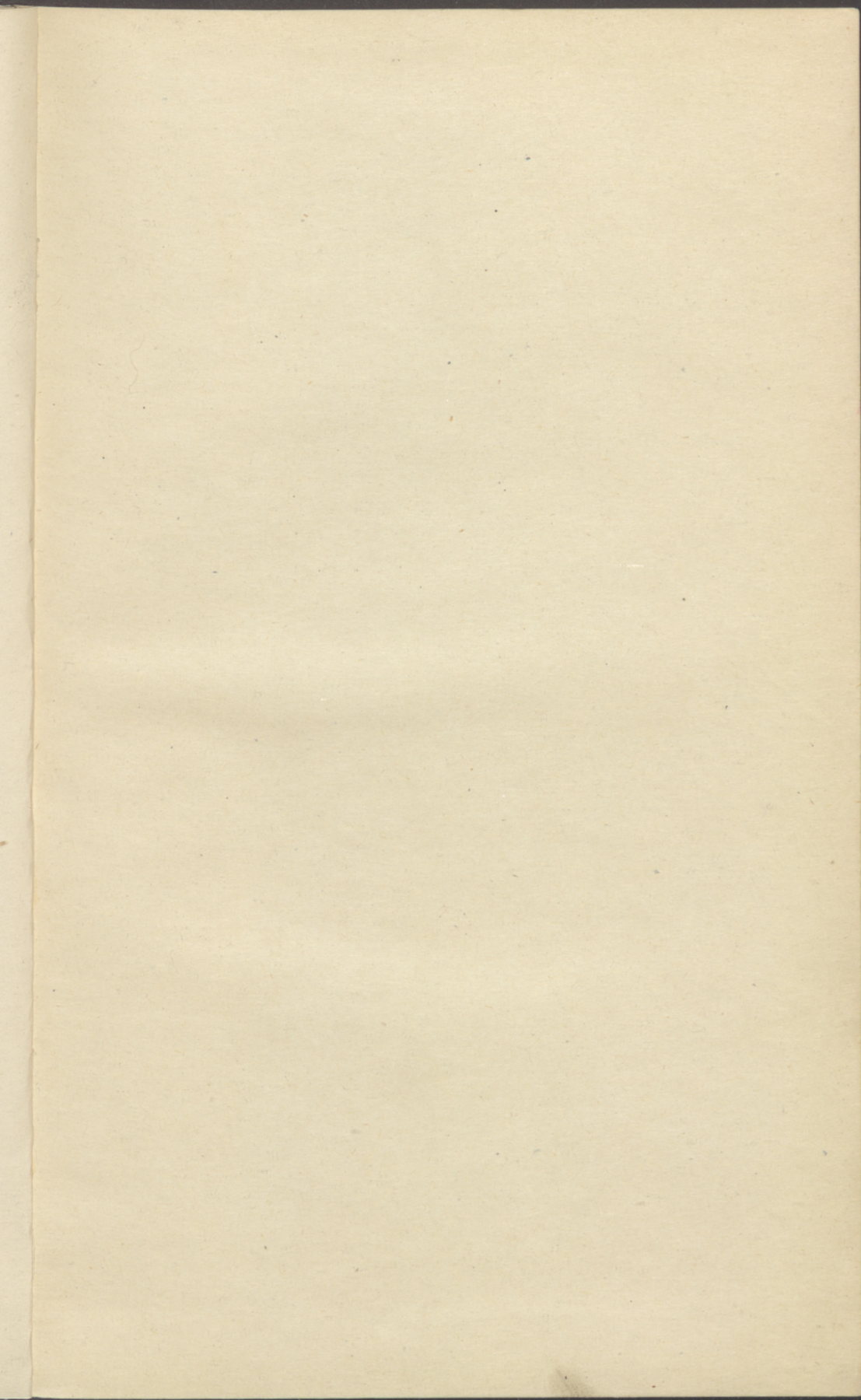


Biblioteka Główna UMK



300043923512









Biblioteka Główna UMK



300043923512